

RW2010



kolce w kwiatach

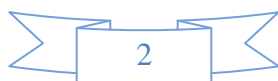
Andrzej W. Sawicki



ANDRZEJ W. SAWICKI

KOLCE W KWIATACH

OPOWIADANIA



Kolce w kwiatkach

Powietrze było gęste i lepkie, choć zegar na wieży dworca kolei wiedeńskiej nie wskazywał jeszcze ósmej rano. Sierpniowe słońce bezlitośnie prażyło warszawskie ulice, zalewało miasto oślepiającym blaskiem. Po bruku Elektorальной turkotały ospale koła dorożek i wozów handlarzy zmierzających na plac Zielony. Przechodnie zdawali się poruszać w rozgrzanym powietrzu jakby w zwolnionym tempie. Tylko jeden młodzieniec szedł energicznym krokiem, pogwizdując przy tym wesoło. Skręcił w imponującą bramę Szpitala Ducha Świętego i wszedł na jego wysypany białym makadamem dziedziniec. Z dumą popatrzył na jasne, błyszczące w słońcu ściany neorenesansowego pałacyku z pawilonami oskrzydłającymi przestronny plac. Najnowocześniejszy szpital w mieście lśnił nowością, jego widok krzepił i dodawał pewności.

Młody doktor Stanisław Loewenhardt dotarł do schodów i już miał wejść do budynku, kiedy przez bramę, ze zgrzytem koła trącego o kamienny ogranicznik, wjechała pędem kariolka – zgrabna dwukółka. Woźnica stał wyprostowany, trzymał lejce jedną ręką, a drugą unosił nad głowę i machał.

– Hej, człowieku! – wrzasnął do Stanisława. – Trzeba lekarza, szybko!

– Co się stało? – Loewenhardt zauważył, że stangret to policjant w charakterystycznych niebieskich spodniach, ciemnej koszuli i z czapką z carskim orłem.

– Ranny grodowej, potrzebna mu pomoc! – Powóz zatrzymał się przed doktorem.

– Ja jestem lekarzem – po wahaniu trwającym mgnienie oka przyznał Stanisław.

– Wskakuj pan! – Policjant wyciągnął rękę i pomógł doktorowi wspiąć się na dwukółkę.

Trzasnął lejcami, konie ruszyły gwałtownie, wzbijając tumany pyłu na wysuszonym jak pieprz dziedzińcu. Po chwili galopowali Elektorálną w kierunku Marszałkowskiej. Stanisław opadł na siedzenie przeznaczone dla dwóch pasażerów i kurczowo złapał się podłokietnika. Nie zdążył nawet zebrać myśli, nie mówiąc o torbie lekarskiej, która leżała w gabinecie. Miał udzielić rannemu pomocy gołymi rękoma?

Policjant kłął wściekle i obrzucał wyzwiskami mijane powozy, a właściwie ich woźniców. Wolną ręką bez przerwy wymachiwał i groził, wymijał wlekące się do-

rożki, zmuszał jadące z naprzeciwka pojazdy do zjechania na chodnik. Koła kariatki załomotały na niedawno położonym bruku Królewskiej, niespodziewanie policjant ściągnął wodze i zatrzymał powóz przy parkanie Ogrodu Saskiego. Cała galopada trwała może ze trzy minuty.

W furcie, za którą znajdowała się jedna z rogatek ogrodów, stali dwaj mundurowi pilnujący wejścia przed grupką gapiów. Wśród ciekawskich dominowali klienci i przekupnie z pobliskiego targowiska na placu Zielonym. Loewenhardt został wprowadzony, a właściwie zaciągnięty na teren parku przez grodowoja, który go przywiózł. Znalazł się między drzewami w przynoszącym wytchnienie cieniu; jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki policjant przeniósł go z wielkiego miasta do sielankowej i cichej krainy. Stukot końskich kopyt i terkotanie kół powozów, codzienny gwar miasta – docierały tu stłumione przez kurtynę zieleni.

Stanisław został wepchnięty w tłumek policjantów, nim zdążył się rozejrzeć. Niemal wpadł w ramiona jedyne go w tym gronie mężczyzny ubranego po cywilnemu, w białą wykrochmaloną koszulę o podwiniętych rękawach. Wąsaty jegomość, o elegancko, na rosyjską modłę przyciętych baczkach i niemal łysej głowie, spiorunował lekarza wzrokiem.

– Taki młody? – mruknął z niezadowoleniem.

– Taki się nawinał, panie komisarzu – zameldował grodowej i rozłożył ręce.

– Dobra, chodź pan tu, panie doktor! – Oficer złapał Stanisława pod ramię i niecierpliwym gestem rozgonił grupę stójkowych.

Loewenhardt niespodziewanie trafił w sam środek koszmaru. Przed nim roztaczał się las jak ze złego snu. Pomiędzy parkowymi kasztanami i klonami z ziemi wyrastały dziwaczne bulwiaste twory przypominające przerośnięte, amorficzne grzyby. Groteskowe rośliny rozgałęziały się w powykrzywiane konary pokryte długimi, czarnymi kolcami. Agresywnie rozczapierzone nieodparcie kojarzyły się z wyciągniętymi ramionami zastygłych w bezruchu krwiożerczych bestii. Stanisław zorientował się, że grzyby te są niesamowicie zdeformowanymi drzewami – pokrywała je popękana kora, z której ciekła gęsta, lepka ciecz. W plątaniu konarów dostrzegł bulwiastą narośl o niepokojących kształtach. Dopiero kiedy zmrużył oczy i zogniskował wzrok, dostrzegł, że to fragment ludzkiego ciała.

Owinięty kolczastymi gałęziami, jakiś sążeń nad ziemią, głową w dół wisiał mężczyzna w policyjnym mundurze, przerwany w połowie. Jego nogi i biodra tkwiły dobre kilka kroków dalej – wrośnięte w wykrzywiony

w literę S pień. Kolejny trup klęczał jak do modlitwy, owinięty ciasno gałęziami, których długie na stopę kolce tkwiły zagłębione w jego piersi i brzuchu. Po chwili oglądania makabrycznego pobojuwiska Loewenhardt dostrzegł wiszące w konarach strzepy co najmniej jeszcze jednej ofiary, tym razem poszatowanej na niewielkie, trudne do zidentyfikowania kawałki. Ziemia wszędzie wokół była czarna od soku ciekącego z drzew i krzepnącej krwi zabitych. W powietrzu unosił się nieprzyjemny odór śmierci, posoki, wyprutych wnętrzności. Wielkie muchy, o błyszczących zielenią odwłokach, bzyczały wściekle, krążąc nad szczątkami.

– Widział pan kiedyś coś takiego? – zagaił oficer. – Wygląda to na efekt działania okresowej turbulencji, prawda? Wytworzył nam się tu mały wrzód na rzeczywistości; na szczęście sam pękł. Anomalia powstała nocą, mój patrol wlaź w nią pewnie przez głupotę, kiedy była jeszcze aktywna, i oczywiście marnie skończył. Tyle razy powtarzałem, że jeśli zobaczą coś takiego, mają się nie zbliżać. Ech, w Warszawie mamy pierwszy taki przypadek od pięciu lat, może dlatego nie zachowali ostrożności.

– Na co był panu lekarz, komisarzy?

Stanisław domyślił się już, że rozmawia z prystawem, dowódcą cyrkułu, czyli jednego z dziesięciu okręgów, na które podzielona była Warszawa. Przynajmniej

tak wynikało z tytułowania go przez stójkowych „komisarzem”. Wysoki rangą oficer policji był Polakiem, co zdarzało się coraz rzadziej. Odkąd w Królestwie zrobiło się gorąco, Rosjanie stopniowo zastępowali władze policyjne przekwalifikowanymi oficerami żandarmerii i wojska.

Komisarz skinął na doktora i poprowadził go ostrożnie między kolczaste gałęzie. Stanisław poczuł się nieswojo, wchodząc w serce obszaru dotkniętego turbulencją rzeczywistości. Właściwie ruszył za policjantem po krótkiej walce ze sobą; włożenie w miejsca skażone czynnikiem mutatio nie należało do najlepszych pomysłów, nawet jeśli aktywność wynaturzenia była krótkotrwała i już ustała. Nie dość, że groziło to niebezpieczeństwem, to jeszcze prawo surowo zakazywało podobnej brawury. Carskie służby zazdrośnie strzegły wszystkiego, co miało związek z turbulencjami; zgodnie z prawem po pojawieniu się wypaczonego obszaru należało natychmiast powiadomić wojsko. Soldaci izolowali anomalię i wzywali funkcjonariuszy z otoczonego ponurą sławą Urzędu Przemian. Nikt poza nimi nie miał prawa zbliżyć się do zdeformowanego fragmentu rzeczywistości.

– Proszę spojrzeć... – Oficer kucnął przy pniu jednego z drzew. – To stójkowy Artem. Niezbyt bystry chłopak, przyjąłem go na służbę tylko dlatego, że rodzina nalegała. Chłopak jest moim bratankiem. Nie chcę, by za-

brali go ci dranie z Urzędu Przemian. Wiadomo, jak wtedy skończy, wywiozą go do twierdzy w Kurlandii, gdzie badają wszystko związane z cholerstwem roznoszącym mutatio, i wszelki ślad po nim zaginie.

Stanisław pochylił się obok komisarza. Grodowej Artem siedział na ziemi przyszpilony do bulwiastego pnia dwoma wielkimi kolcami. Czarne szpikulce wyrastały z konaru, który obejmował go w pasie, jakby drzewo chciało przytulić młodego policjanta. Głowa chłopaka opadła na pierś, ale na trupio sinych wargach pojawiały się bąbelki różowej śliny. Stanisław położył dłoń na jego tętnicy szyjnej; wyczuwał równomierny, choć niezbyt mocny puls.

– Kiedy przybyłem na miejsce pół godziny temu, chłopak był jeszcze przytomny – odezwał się komisarz. – Posłałem ludzi po piły, spróbujemy odciąć te kolce. Da się chłopaka przewieźć do szpitala i uratować?

Loewenhardt podrapał się nerwowo po głowie. Prystaw chciał zabrać młodzieńca, zanim pojawią się żołdaci. Pewnie dlatego zwlekał z powiadomieniem wojska, od którego, przez sąsiedztwo Pałacu Saskiego, w okolicy aż się roilo. Było kwestią minut, kiedy na miejscu zjawi się jakiś przypadkowy ruski patrol i przegoni polską policję. Wtedy chłopak na pewno przepadnie, nawet gdyby był na tyle silny, by przeżyć.

– Wie pan, co grozi za ukrywanie osoby skazanej czynnikiem mutatio? – spytał komisarza.

– Wiem, że wiele pan zaryzykuje, udzielając mu pomocy. – Prystaw z powagą skinął głową. – Karą jest śmierć, bezapelacyjnie. Proszę jednak, nie, błagam! Niech pan okaże serce. Zrobię wszystko co w mojej mocy, by to się nie wydało. Niech pan choć spróbuje mu pomóc, zorganizuje dyskretną salę w szpitalu, przeprowadzi operację. Koszta nie grają roli.

Stanisław patrzył na konającego chłopaka, powoli duszącego się krwią z przebitego kolcem płuca. Bardziej przydałaby mu się modlitwa, medycyna nie mogła już wiele zdziałać.

– Odwdzięczę się. Widzę, że rany są bardzo ciężkie, zdaję sobie sprawę, że wygląda to beznadziejnie, ale niech pan choć spróbuje. – Prystawowi dygotała broda. Stanisław domyślił się, że ten umierający, mało bystry grodowej jest ukochanym bratankiem komisarza. – Jeśli chłopak skona, przynajmniej ocalimy jego ciało, które będzie można po Bożemu pochować. Mamy mało czasu, proszę.

Stanisław skinął głową.

– Proponuję odpiłować konar, zbyt ciasno przylega do ciała, by można było odciąć kolce – powiedział. – Przewieziemy chłopca do szpitala, tam usuniemy oba na raz.

– Janek! Szybciej z tą piłą, do kurwy nędzy! – ryknął przystaw. – Nazywam się Alojzy Krusz. – Niespodziewanie wyciągnął rękę do lekarza.

Stanisław przedstawił się grzecznie, po czym skoncentrował na rannym. Oddech Artema był urywany i krótki, co mogło świadczyć o tym, że przebite płuco już się zapadło lub wypełnia je krew. Kiedy wyjmą kolce, nastąpi gwałtowny krwotok, który może błyskawicznie zabić młodzieńca. Nie wiadomo też, jak poważne obrażenia spowodował drugi kolec. Jeśli przebił otrzewną, i tak wszystko było w rękach Boga.

Po paru chwilach pojawił się policjant z piłą. Stanisław trzymał rannego, komisarz usztywniał konar, a grodowej go piłował. Ostrze gładko cięło gałąź, z której obficie popłynęła czarna żywica. Zanim piła dotarła do połowy, drzewo zwiótczało w rękach komisarza, jakby było błyskawicznie więdnącym kwiatem. Zmiękły też kolce, w dodatku zaczęły się kurczyć. Stanisław poczuł falę paniki, z ran Artema obficie popłynęła krew. Chłopak napiął się, wierzgnął z bólu. Pewnym ruchem Loewenhardt wyciągnął skręcające się kolce i odepchnął całą gałąź na bok.

– Potrzebuję szmat do tamowania krwotoku! Szybko! – wydarł się na policjantów.

Krusz bez wahania zerwał z grzbietu koszulę, zostając w samych spodniach. Stanisław z wprawą podarł ją błyskawicznie na długie pasy. Ich zwitki oburącz przycisnął do dziur w brzuchu i piersi chłopaka. Artem zaczął się krztusić krwią. Policjanci podnieśli go i biegiem rzucili się do wyjścia z ogrodów. Stanisław cały czas przyciskał opatrunki do ran, nawet kiedy rannego układano w dwukółce. Powozem znów kierował pełen brawury grodowej, ale jego pośpiech nie zdał się na wiele. Stójkowy Artem zmarł, zanim dojechali do szpitala.

*

To był pierwszy dzień Stanisława jako dyżurnego lekarza, podwładnego i asystenta profesora Blocha. Młody lekarz nie zdążył się jeszcze dobrze zadomowić w najnowocześniejszym warszawskim szpitalu, w którym rozpoczął praktykę, a stary medyk od razu rzucił go na głęboką wodę. Co prawda Stanisław miał samodzielnie wykonywać proste zabiegi na pacjentach wcześniej zbadanych przez profesora, ale i tak był bardzo przejęty. Nie przeszkadzało mu, że będzie odwalał brudną robotę za swojego przełożonego, przecinał ropiejące wrzody i robił lewatywy. Liczyło się dlań to, że wreszcie stał się praw-

dziwym lekarzem. Po burzliwych studiach, wpieryw na Akademii Medyko-Chirurgicznej w Warszawie, a potem – kiedy po masakrze na placu Zamkowym wyjechał z Królestwa – na Akademii Berlińskiej, mógł leczyć ludzi.

Nie spodziewał się jednak, że pierwszy dzień będzie tak emocjonujący. Sierpniowy poranek 1862 roku miał być spokojnym początkiem kariery młodego doktora. A tu cudem nie spóźnił się na pierwszy dyżur. Umył w misce ręce, ze zgrozą obejrzał mankiety koszuli i zabryzgane krwią spodnie. Całe szczęście, że ubrał się na czarno. Kolor podpatrzył u berlińskich chirurgów, którzy do operacji zakładali czarne surduty, by nie było na nich widać plam krwi. Niemiecki pragmatyzm po raz kolejny górą. Stanisław uspokajał się powoli, wiedział, że musi ochłonąć. Nie tak łatwo było uzyskać tę posadę, więc powinien teraz pokazać się z jak najlepszej strony. Śmierć pacjenta to codzienność w praktyce lekarza i nie miało sensu zbytnio brać ją sobie do serca.

Usiadł za biurkiem i sięgnął do papierów zostawionych przez Blocha. Pacjenci pojawią się za chwilę, najwyższa zatem pora poznać ich kartoteki. Jaki przypadek będzie pierwszy? Spojrzał w kartę leżącą na wierzchu stołu.

Wiera Stiepanowna Morozow. Cholera, Rosjanka! Pewnie żona jakiegoś carskiego urzędnika, którzy ściągali

do miasta razem z całymi rodzinami. Trudno, może być Rosjanka. Jako lekarz nie powinien zwracać uwagi na narodowość pacjenta. Chora cierpiała na chroniczne, migrenowe bóle głowy i uderzenia gorąca. Ból pulsował zwykle pod skroniami, sprawiając wrażenie, jakby coś chciało rozsadzić czaszkę pacjentki, często też promieniował z części potylicznej. Jediną metodą leczenia było puszczenie krwi i podawanie wyciągu z miłorzębu.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i w asyście woźnego do środka wkroczyła wysoka kobieta. Stanisław rzucił kartę pacjenta na biurko, jakby przyłapano go na czymś niestosownym.

– Taki młody? – po rosyjsku zdziwiła się pacjentka na widok Loewenhardta.

Lekarz zauważył, że jest od niego młodsza. Jeszcze raz zerknął w kartę. Wiera Morozow, lat dwadzieścia cztery. No tak, Rosjance zdaje się, że wszystko jej wolno, nawet przyjść na wizytę godzinę wcześniej.

– Niech będzie, wszystko jedno. – Dziewczyna zdjęła kapelusz i rzuciła go na wieszak. – Ratujcie, panie doktorze, bo już dłużej nie wytrzymam. Całą noc nie zmrużyłam oka, ból jest nie do zniesienia. Proszę puścić mi krew, szybko!

Stanisław z przyjemnością skonstatował, że pierwsza pacjentka była bardzo ładna. Miała owalną, budzącą sympatię twarz, jasne włosy czesała modnie, z przedziałkiem symetrycznie dzielącym głowę i z kokiem, w który wpięła dwie różyczki. Serce lekarza zmiękło w jednej chwili, zawsze miał słabość do urodziwych dam. Bez ceregieli wskazał jej wygodny fotel i zalecił, by odsłoniła ramię. Pani Morozow ubrana była w jasnobeżową suknię, czym zdecydowanie wyróżniała się na ulicy, bo warszawianki od ponad roku nosiły żałobę narodową i wszystkie ubierały się na czarno. Suknia nie miała krynoliny, więc pacjentka mogła w miarę swobodnie usiąść, rękawy jednak były obcisłe na tyle, że – by odsłonić zgięcie ramienia – dziewczyna musiałaby pracowicie odpiąć wszystkie guziki i zsunąć górną część sukni, a może nawet całkiem się z niej wyłuskać.

– Och, mam to w nosie! – warknęła. – Przystaw pan te pasożyty do mojej nogi.

Podkasła suknię i wyciągnęła nogę do Stanisława. Doktor kucnął i ściągnął bucik wykonany z palonej skóry, następnie rozwiązał wstążkę podtrzymującą na wysokości kolana bawełnianą pończochę. Ściągnął ją, odsłaniając smukłą stopę. Kiedy z westchnieniem ulgi Wiera rozparła się wygodnie w fotelu, doktor odnotował w myślach, że jej policzki pokrywały niezdrowe wypieki. Z pakamery

przyniósł słój z pijawkami, po czym drewnianymi szczypczykami przyłożył kilka na wysokości kostki i pod kolanem pacjentki. W czasie tej operacji wzrok lekarza, wbrew jego woli, błądził po kształtnej łydce i odsłoniętym częściowo udzie pani Morozow. Pijawki powoli pu-chły, łapczywie pijąc krew, dziewczyna oddychała spokojniej, głowę odchyliła na oparcie. Zamknęła oczy, zda-wało się, że zasnęła. Poruszyła się jednak, kiedy po pół-godzinie Stanisław polał pijawki roztworem soli i zaczął jedną po drugiej usuwać z ciała pacjentki.

Gdy skończył i spojrzał na Wierę, ta pochylała się nad nim z uśmiechem. W jednej chwili stała się jeszcze piękniejsza, światło błyszczało w jej blond włosach, cała twarz zdawała się promieniować blaskiem. Loewenhardt zamarł na chwilę porażony delikatną urodą pacjentki, przełknął ślinę.

– Proponowałbym pani zmienić kurację, Wiero Stiepanowna... – Starał się zmusić do odwrócenia wzroku, kiedy dziewczyna zakładała pończochę. – Upuszczanie krwi jest przestarzałe, stopniowo się od niego odcho-dzi, bo zbyt osłabia organizm.

– Co tylko pan zaproponuje, byle te bóle mi tak nie dokuczały – zgodziła się posłusznie. – Jeszcze gorsze są uderzenia gorąca, czuję się wtedy, jakby moja krew wrza-ła.

Zbyt wysokie ciśnienie krwi – Loewenhardt pokiwał w zadumie głową. Współczesna medycyna mogła co najwyżej przynieść ulgę. Na fali uniesienia i oczarowania urodą pacjentki Stanisław postanowił odprowadzić ją do wyjścia. Przeszli oboje przez szpitalny korytarz i wyszli na dziedziniec. Słońce wspięło się już wysoko na niebo, powietrze zastygło całkiem z gorąca. Dziewczyna założyła kapelusz, wyglądała w nim jeszcze ładniej.

– Jaka ma być ta nowoczesna metoda lecznicza, doktorze?

– Opiera się na zdecydowanej zmianie trybu życia – odparł i utonął w błyszczących niebieskich oczach. – Przede wszystkim musi pani więcej się ruszać, jak najczęściej spacerować, nie wolno jeździć wszędzie powozem. Zalecam jak najdłuższe przebywanie na świeżym powietrzu.

– Trochę o nie trudno w mieście – zauważyła.

Faktycznie, wraz z nadejściem upałów Warszawę spowiły trujące miazmaty z gnijących śmietnisk i parujących rynsztoków. Mimo że było to duże miasto, nadal nie miało kanalizacji, a Magazyn Karowy, czyli instytucja zajmująca się wywożeniem nieczystości, działał opieszale, przez co na każdym podwórku i w każdym zaułku za-

legały sterty odpadów.

– Mamy w Warszawie piękne parki – zauważył doktor.

– Pozamykane w związku ze stanem wojennym – parsknęła Wiera. – Przesadzam, w niedziele niektóre są otwierane. Coś jeszcze?

– Musi pani zrezygnować z soli w posiłkach i unikać tłustych potraw.

– Z tym nie będzie problemu, mój mąż jest skąpy jak żydowska przekupka. – Machnęła ręką. – Rzadko jadamy tłuste mięso i słone dania. Co do tych spacerów, to brakuje mi towarzystwa. Dimitri jest wiecznie zajęty, a samotnej kobiecie nie wypada chodzić po mieście, którego zresztą i tak prawie nie zna. Proszę się zastanowić, czy nie byłby pan skłonny poświęcić mi nieco czasu i potowarzyszyć w spacerach. Oczywiście tylko jako medyczny opiekun.

– Oczywiście. – Stanisław uklonił się.

Serce łomotało mu w piersi jak oszalałe. Piękna Rosjanka zaproponowała mu schadzkę? Czy się nie przesłyszał?

Dziewczyna wsiadła do czekającej na dziedzińcu dorożki, odjeżdżając, pomachała doktorowi i uśmiechnęła się w taki sposób, że niemal nie spłonął rumieńcem jak jakiś młodzieniaszek. Co za dzień! A to był dopiero drugi pacjent!

*

Mimo wszystko pierwszy dyżur nie należał do udanych. Śmierć młodego policjanta na rękach doktora nie była dobrą wróżbą. Co gorsza, przyjmowanie pacjentów w gabinecie szybko zaczęło nudzić Loewenhardta, za to akcję w parku wspominał często, z dozą zarówno niepokoju, jak i podniecenia. Po kilku dniach przyznał przed sobą, że praca zwykłego medyka jednak go nie pociąga, za to czułby się jak ryba w wodzie w roli lekarza do zadań specjalnych, przy ekstremalnych przypadkach. Zaczął się zastanawiać nad przejściem do Szpitala Dzieciątka Jezus, w którym działał jedyny w Warszawie ostry dyżur. Miałby tam pracę pełną mocnych wrażeń i drastyczne przypadki na co dzień.

Na razie przyjmował jednak zwykłych, nudnych pacjentów i wyręczał profesora Blocha w wykonywaniu prostych zabiegów. Najczęściej robił lewatywę i walczył z bólami brzucha u nieszczęśników, którzy cierpieli na dolegliwości gastryczne. Typowe o tej porze roku – zatrucia pokarmowe tradycyjnie latem zbierały śmiertelne

zniwo wśród warszawiaków. Szpital napęłnił się gorączkującymi pechowcami, którzy konali wykończeni krwawą biegunką. Bloch martwił się, że jeśli upał potrwa dłużej, tylko patrzeć, jak w mieście wybuchnie zaraza.

Urobiony po łokcie młody lekarz, mimo że czuł się potrzebny, i tak marzył o bardziej emocjonującym życiu. Wieczorami, przed godziną policyjną, wymykał się na spotkania „czwórek” – rewolucyjnych komórek organizacji niepodległościowej, do której należał jeszcze w czasach studenckich i w której działalność zaangażował się znowu natychmiast po powrocie do kraju. Okazało się, że „czwórki” stały się podczas jego nieobecności dziesiątkami – ku zachwytowi Loewenhardta organizacja bardzo się rozbudowała. Nielegalne spotkania i przynależność do tajnej struktury zapewniały mu stosowną dawkę mocniejszych wrażeń i choć częściowo zaspokajały żądze przygód.

Patriotyzm nie przeszkadzał Stanisławowi marzyć o pięknej Rosjance. Jako że był młodym mężczyzną, prócz żądy przygód dręczyła go też zupełnie inna żądza. Kiedy w wolnych chwilach odzywały się w nim zwierzęce instynkty, próbował je zwalczać, pływając do utraty sił w Wiśle lub energicznym krokiem spacerując po mieście. Jak ognia unikał uliczek na Podwalu i w okolicach rynku Nowego Miasta, gdzie tradycyjnie aksamitki i nimfy, jak je pieszczotliwie nazywali zwolennicy, oraz murwy i

małpy, jak z kolei nazywali je przeciwnicy, kupczyły swoim ciałem. Widok tanich dziwek kojarzył się Stanisławowi głównie ze wstydliwymi chorobami, ale i tak nie chciał niepotrzebnie prowokować swoich niezaspokojonych chuci.

Dwa tygodnie po wydarzeniach w parku w jego gabinecie zjawił się publiczny posłaniec z liścikiem. Kiedy po rozłożeniu kartki Stanisław zobaczył cyrylicę starannie kaligrafowaną łagodnymi, okrągłymi bukwami, serce od razu podskoczyło mu do gardła. Wiera Morozow przypomniała o swojej osobie i obietnicy danej przez doktora. Proponowała, by jeszcze dziś po południu stawił się w jej mieszkaniu na Złotej i zabrał ją na przechadzkę po mieście. Loewenhardt natychmiast pognał do profesora i drżącym głosem zażądał, by zastąpił go któryś z młodych lekarzy odbywających praktyki. Pędem udał się do domu i mimo upału wbił się w najlepszy, dwurzędowy surdut; wcześniej nie żałował też wody kolońskiej. Szybkim krokiem przemaszerował przez miasto, zawahał się chwilę przed wejściem do bramy kamienicy, ale kiedy pojawił się dozorca, rzucił mu dziesiątaka i kazał zaprowadzić pod stosowne drzwi. Wszedł do mieszkania państwa Morozow na pierwszym piętrze kamienicy, wpuszczony przez gosposię, pulchną kobietę o zaczerwienionej z otyłości twarzy. Wiera już na niego czekała, ubrana w niebieską suknię. Kok z tyłu głowy i kapelusz ustrajały pęczki niezabudek wspaniale korespondujące z barwą jej

oczu.

Poszli w kierunku Nowego Światu, potem na wysokości Krakowskiego Przedmieścia skręcili w stronę Wisły, aż wreszcie dotarli na brzeg rzeki, gdzie z bliska obejrzeli budujący się most Aleksandryjski, pierwszą stałą przeprawę przez Wisłę. Stanisław, jękając się i z wrażenia kalecząc rosyjski, próbował zabawiać damę rozmową, grzecznie też wypytywał ją o stan zdrowia. Oświadczyła, że od kilku dni dolegliwości zupełnie jej nie dokuczały, zgodnie z zaleceniem zrezygnowała z soli i starała się przebywać jak najdłużej poza domem. Jej mąż, Dimitri, nie był tym zachwycony, oczekiwał, że żona będzie cierpliwie na niego czekać, zajmując się grą na fortepianie, robotkami ręcznymi i doglądaniem ich gniazdka. Za jedyne stosowne rozrywki dla kobiety uważał jeszcze naukę francuskiego i lekturę Biblii. Nie wyobrażał sobie, że mogłaby, ot tak, bezcelowo włóczyć się po mieście. Nawet na targ i do składów towarowych musiała wysyłać gospośnię, bo według niego robienie zakupów też uwłaczało damie. Nie zgodził się, by spacerowała nawet w towarzystwie lekarza. Z chęcią zamknąłby ją w złotej klatce i używał tylko do pokazywania na balach. Odkąd jednak przyjechali do Warszawy, nie uczestniczyli w ani jednym, bo te się zwyczajnie nie odbywały w związku ze stanem wojennym.

W ten sposób nieco pokrętnie i nie wprost wyjawiała

mu, że spotkała się z nim wbrew woli męża i właściwie potajemnie. Stanisław aż zadrzał z podniecenia. Wiera budziła w nim coraz intensywniejsze uczucia. Domyślał się, że Dimitri to stary satrapa, pewnie jakiś wiekowy urzędnik, który wziął sobie młodziutką żonę jako ozdobę, bo tak wypadało. Biedna dziewczyna cierpiała więc z powodu choroby, ale i przez to, że tkwiła uwięziona w nieudanym związku. W Warszawie nie miała przyjaciół ani rodziny i usychała w samotności, zamknięta w murach kamienicy. Może inna kobieta pogrążyłaby się w rozpacz i zwiędła u boku starca, ale nie ona. Pełna życia Wiera nie poddała się. Spacery zatem nie były dla niej wyłącznie terapią, lecz także czymś w rodzaju przygody, kuszeniem losu. Może młody lekarz wpadł jej w oko, może wyczuła w nim bratnią duszę? Stanisław z każdą chwilą był o tym coraz bardziej przekonany.

Odprowadził ją do bramy kamienicy, na pożegnanie pozwoliła mu się pocałować w dłoń i uraczyła uśmiechem, dla którego dałby się żywcem obedrzeć ze skóry. Przez następne dni z niecierpliwością czekał na kolejne wezwanie, co chwila zerkał przez okno gabinetu i nasłuchiwał kroków na korytarzu z nadzieją, że zbliża się posłaniec. Doczekał się go równo trzy dni po pierwszej schadzce. Pognał na Złotą, pod kamienicę Morozowów, jak na skrzydłach. Po drodze kupił bukietek białych róż, bo zauważył, że Wiera lubi kwiaty. Rzeczywiście ucie-

szyla się bardzo. Tego dnia kapelusz miała przyozdobiony pękiem konwalii, a na piersi wpięty biały kwiatusek o ostrych płatkach; gatunek, którego Stanisław nie znał.

Tym razem poszli w przeciwnym kierunku, przez plac Trzech Krzyży w stronę Ujazdowa. Dotarli aż do Doliny Szwajcarskiej w pobliżu zamku Ujazdowskiego. Całą drogę rozmawiali i z każdym krokiem coraz swobodniej. Stanisław otworzył się przed dziewczyną, opowiedział dużo o sobie i słuchał z uwagą tego, co ona miała do powiedzenia. Wiera pochodziła z podmoskiewskiej miejsciny, wychowała się w rodzinie niezbyt zasobnego kupca. Ojciec przez swoje zamiłowanie do kart ciągle tonął w długach. Kiedy tylko nadarzyła się okazja, by wydać najstarszą córkę za mąż, i to za zasobnego mężczyznę, nie wahał się ani chwili i oczywiście nie zapytał Wiery o zdanie. Nic dziwnego, że była tak nieszczęśliwa i zagubiona. Obca w obcym mieście, bez bratniej duszy, bez nikogo bliskiego. Stanisław bez zastanowienia przysiągł jej, że zrobi wszystko, by to zmienić, albowiem całą duszą zapragnął ją uszczęśliwić.

– Jeśli będziesz tego chciała, jestem nawet gotów rzucić wszystko, Wiero Stiepanowna. Możemy uciec, wyjechać za granicę. Mógłbym podjąć praktykę gdzieś w Prusach, świetnie znam niemiecki – mówił, kiedy usiedli na trawie w Dolinie Szwajcarskiej nad brzegiem strumyka.

– Nie bądź taki pochopny – powiedziała. Położyła dłoń na jego ręce i pogłaskała ją kojąco. – Ledwie się poznaliśmy, właściwie nic o mnie nie wiesz...

– Wiem wszystko, co trzeba, Wiero. Ja... Ja cię... – Stanisław znów zaczął się jękać.

– Ciii... – Położyła palec na jego ustach. – Nie mów czegoś, czego mógłbyś później żałować. Daj nam jeszcze trochę czasu. Nie zapominaj, że jesteś przede wszystkim moim lekarzem, nie wchodź od razu w rolę kochanka. Nie wiem, czy jestem na to gotowa, nie wiem nawet, czy chcę.

– Oczywiście. – Skinął głową, czując, jak rumieniec oblewa mu twarz.

Wiera nie na długo ostudziła jego zapał. Od tego dnia Stanisław nie mógł nawet na chwilę przestać o niej myśleć. Planował wyjazd, całkiem poważnie dumał nad możliwością zorganizowania większej sumy na rozpoczęcie nowego życia. W nocy rozmyślał, czy mógłby zamordować Dimitri Morozowa i jak to zrobić na tyle dyskretnie, by się nie wydało. Trucizna? Potrącenie przez powóz? Jakiś inny pozorowany wypadek? Wtedy dziewczyna stałaby się wolna i mogliby zostać w Polsce.

Wiera Stiepanowna Loewenhardt. Delektował się tymi trzema słowami, a potem dalej snuł plany i układał ich wspólne życie. I czekał niecierpliwie na następną schadzke. W ciągu kolejnego tygodnia spotkali się dwa razy. Przy drugiej okazji znów zawędrowali nad wodę. Kiedy stali na wiślanej skarpie i patrzyli na parowiec, pracowicie młócający kołem napędowym o wodę, Wiera zdjęła ukwiecony kapelusz i oparła głowę o ramię Stanisława. Potem ich usta same na siebie natrafiły i połączyły się w długim pocałunku. Bardzo długo milczeli, trzymając się za ręce. Statek sunął powoli pod prąd, wzbijał dziobem pieniające się fale. Po błękitnym niebie ospale sunęły chmury, słońce zmierzało już ku zachodowi, a nad Wisłą piaskarze nawoływali się, śmiali na całe gardło i klęli radośnie. Stanisław był wtedy najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi.

*

Przez zaabsorbowanie Wierą zupełnie zapomniał o szczegółowym sprawozdaniu z tragicznych wydarzeń w Ogrodzie Saskim, które napisał w kilka dni po wypadku i przekazał przyjacielowi z organizacji. Przez ostatnie dwa tygodnie nie pojawił się też na żadnym spotkaniu, by podyskutować o wolnej Polsce i pracować nad rozbudową struktur tajnego państwa, które właśnie przechodziło gwałtowną reorganizację i rozwój. Swoją miłość do ojczyzny odłożył na później, zupełnie pochłonięty miłością

innego rodzaju. Komitet jednak sam przypomniał o swoim istnieniu.

W początkach września odwiedził go w szpitalu doktor ze Szkoły Głównej, wykładowca na wydziale medycyny. Ledwie kilka lat starszy od Stanisława mężczyzna, z cienkim wąsikiem i rzadką grzywką, przylizaną fryzjerską pomadą, przedstawił się jako Piotr Sudyk i oświadczył, że od dnia dzisiejszego Loewenhardt zostaje przeniesiony do nowo powstałej komórki naukowej. Komitet Centralny Narodowy utworzył oddział mający wspierać działania niepodległościowe nie czynną walką, lecz badaniami w najbardziej rokujących dziedzinach wiedzy. Komórka nie posiadała jeszcze nazwy ani swojego komisarza, ale już rozpoczęła działalność. Sudyk był pod wrażeniem sprawozdania Stanisława, pochwalił grzecznie jego skrupulatność i zimną krew przy kontakcie z turbulencją rzeczywistości, a potem wprost spytał, czy ten ma ochotę kontynuować działalność w nowych strukturach.

– Jak najbardziej – gorąco przytaknął Loewenhardt, na chwilę zapominając przy tym o swoich planach względem Wiery. – Ojczyzna jest dla mnie najważniejsza, będę jej służył, jak tylko mogę. Skoro organizacja widzi mnie na nowym stanowisku i stawia przede mną nowe zadania, z pokorą przyjmuję rozkazy.

– Świetnie! – Sudyk ucieszył się. – Dziś mamy bardzo ważne spotkanie. Proszę koniecznie się zjawić. Pozna pan naszego najwybitniejszego specjalistę. Widzimy się o czwartej po południu.

Zostawił Stanisławowi kartkę z adresem, pożegnał się i wyszedł. Loewenhardt z bólem serca napisał liścik do Wiery, że dziś nie może się z nią spotkać i razem z bukietem kwiatów wysłał go przez publicznego posłańca do domu dziewczyny. Po dyżurze wskoczył do dorożki i udał się na Krakowskie Przedmieście.

W gmachu wydziału medycznego było pusto. Rok akademicki jeszcze się nie rozpoczął i w budynkach, w których dawniej urzędował Uniwersytet Warszawski, panowały cisza i spokój. Spotkany przed wejściem woźny wskazał mu drogę do gabinetu doktora Sudyka, urzędującego na końcu pawilonu. Nim Loewenhardt zdążył zastukać, drzwi otworzył mu znajomy wąsacz. Uśmiechnął się, uścisnął dłoń gościa i zaprosił go do środka.

Stanisław chyba nieco się spóźnił, bo w dużej, jasnej sali czekało już czterech mężczyzn, którzy stali przy stole z leżącym na blacie podłużnym obiektem, przykrytym szarym płótnem. Stanisław uklonił się obecnym.

– Panowie pozwolą, pan Stanisław Loewenhardt, lekarz – przedstawił go Sudyk.

Stanisław drgnął, zaskoczony tak niefrasobliwym zdradzeniem jego tożsamości. Niestety w organizacji nie istniały jeszcze konspiracyjne procedury, a pseudonimów używano jedynie sporadycznie.

– To doktor chemii, pan Czarnowski... – Sudyk wskazał grubego jegomościa z brodą pożółkłą od tytoniowego dymu i chemikaliów. Brzuchacz skinął głową. – Profesor medycyny, pan Różewicz... – Starszy, siwy mężczyzna uśmiechnął się, patrząc na Stanisława sponad zsuniętych na czubek nosa binokli. – Doktor fizyki i matematyki, pan Rosenfeld... – Łysy, szczupły Żyd ukłonił się z powagą. – I nasz wybitny specjalista od mutatio, pan Mandor... – Ostatni z obecnych, niepozorny, niski blondyn o aparycji i stroju skromnego urzędnika, jako jedyny uściśnął Stanisławowi rękę i z uśmiechem wyrecytował krótkie powitanie.

Profesor Różewicz chrząknął znacząco, prosząc wszystkich o uwagę.

– Przejdźmy do rzeczy, panowie, bo czas nas goni. Lepiej będzie, jeśli skończymy przed godziną policyjną – powiedział. – Zebraliśmy się tu, by dokonać pierwszego wspólnego eksperymentu. Komitet nakazał nam skupić się na raczkującej dziedzinie wiedzy, zajmującej się próbami poznania istoty turbulencji rzeczywistości i powią-

zanych z nimi czynników mutatio, czyli, mówiąc potocznie, czynników zmian. Nie będziemy wdawali się w jałowe, akademickie dyskusje o genezie anomalii, bo nie to jest przedmiotem naszych spotkań. Wiemy, że teorii, często sprzecznych ze sobą, są dziesiątki i żadnej nie da się udowodnić.

– Przepraszam, ale pan profesor się myli – odezwał się gruby chemik. – Publikacje francuskich uczonych udowadniają, że aberracje pochodzą z odległej przyszłości. – Niezupełnie – wtrącił się żydowski fizyk. – Biolog Ludwik Pasteur twierdzi tylko, że skażone obszary są zdeformowane czasowo. Włożone do nich próbki żywych organizmów, pleśni i drobnoustrojów, ulegały zupełnie innemu rozwojowi niż bliźniacze, pozostawione na zewnątrz. Na podstawie kinetyki ich rozrostu można oszacować deformacje czasowe panujące w anomalii. Nie da się jednak wykluczyć, że prędkość ich wzrostu nie jest odmieniona innymi, nieznanymi czynnikami; jakimś promieniowaniem czy składem atmosfery. Fizyk Jean Foucault, mierząc prędkość światła przechodzącego przez turbulencje, potwierdził opinię swego szacownego kolegi. Ośrodek jest niejednorodny czasowo i tyle, nic ponad to nie wiemy. Pasteur twierdzi co prawda, że wydobyte z turbulencji artefakty mogą pochodzić z przyszłości, ale tu jego tezy są nieco mętne. Nie wykluczają za to innych teorii, mówiących o pochodzeniu turbulencji z przebieg do

światów równoległych czy wręcz do innych wszechświatów o fizyce odmiennej od nam znanej.

– Panowie, proszę – profesor uniósł rękę – to nie pora i miejsce...

– Niech wypowie się pan Mandor, który kilkakrotnie nurkował w turbulencjach i na własne oczy widział echa przyszłości – upierał się grubas. – No, niech pan powie, panie Romanie. Prawda jest taka, że anomalie powstały na skutek potężnych katastrof mających miejsce w dalekiej przyszłości i dotarły do naszych czasów jako odłamki, szrapnele podążające pod prąd strzałki czasu.

Stanisław z ciekawością spojrział na niepozornego blondyna. Roman Mandor był zatem nurkiem, śmiałkiem, który z narażeniem życia wchodził do turbulencji, by wydobyć z nich bezcenne fanty. Nurkowanie było surowo zabronione, a wszyscy złapani przez carskie służby śmiałkowie trafiali do siedziby Urzędu Przemian, skąd już nigdy nie wracali. Władze cesarstwa traktowały jako swoją własność nie tylko turbulencje, ale i przedmioty z nich wydobywane, każdy artefakt więc rekwirovano, a handlu nimi zakazano. Mandor musiał zatem być szaleńcem lub skrajnie odważnym awanturnikiem.

– Może darujmy sobie dywagacje, jak prosi pan profesor, i skupmy się na celu naszego dzisiejszego spotka-

nia. – Mandor uśmiechał się pojednawczo.

Profesor skinął mu głową w podziękowaniu i poprawił binokle.

– Odmieńcy. Nimi się dziś zajmiemy – oznajmił. – Ludźmi, którzy zostali dotknięci czynnikiem mutatio, niewinnymi ofiarami turbulencji. Nazywani przez Rosjan „oborotenami” są uważani za przeklętych, napiętnowani przez kościoły wszystkich religii, a przez świeckie władze uznawani za stwarzających zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Policja i wojsko bezlitośnie ich tropią i likwidują. Cóż o nich wiemy, panowie? Proszę, może doktor Czarnowski krótko zreferuje nam stan aktualnej wiedzy na ich temat, tak wiele miał przed chwilą do powiedzenia...

– Proszę bardzo. – Grubas chrząknął. – Odmieńcy dostali się pod wpływ czynnika mutatio prawdopodobnie jeszcze w życiu płodowym, za czym przemawia to, że kształtujący się w łonie matki człowiek jest szczególnie narażony na skażenie rzeczywistości. Przychodzą na świat od jakichś trzydziestu, trzydziestu pięciu lat, co pokrywa się z zakresem czasowym odnotowanych przypadków turbulencji. Oborotenów nie sposób sklasyfikować, albowiem każdy jest wyjątkowy. Najłatwiej zidentyfikować tych, których czynnik mutatio okaleczył fizycznie i zamienił w potworki. Ci zwykle umierają jeszcze w wie-

ku niemowlęcym lub zostają przejęci przez stosowne służby. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja z właściwymi mutationami, nieróżniącymi się pozornie od zwykłego człowieka. Każdy z nich ma możliwość psychicznego oddziaływania na rzeczywistość i deformowania jej w specyficzny dla siebie sposób. Ogólnie nie ma dwóch odmieńców o identycznej mocy, każdy potrafi kaleczyć fizykę wszechświata w inny sposób.

– Dlaczego stanowią zagrożenie? – Profesor przepytował Czarnowskiego jak studenta.

– Nie zawsze mają kontrolę nad swoim piętnem – odparł chemik. – Nie zapominajmy, że mutatio okaleczyło ich umysły. Obdarzyło, co prawda, odpryskiem niemal boskiej mocy, ale i odcisnęło potężne piętno. Odmieńcy zwykle cierpią na dolegliwości psychiczne, nocne koszmary, ataki paniki lub agresji, lęki i halucynacje. Prędzej czy później ich psychika rozsypuje się jak domek z kart i kończą jako szaleńcy. Przedtem jednak potrafią być niebezpieczni dla otoczenia, nie kontrolują się, a ich ataki szaleństwa bywają niszczycielskie.

– Dobrze. – Profesor krótko pochwalił wiedzę grubasa.

Odwrócił się i podszedł do stojącego w kącie wieszaka. Założył jeden z przygotowanych surdutów. Kiedy

wrócił do stołu, Stanisław zauważył, że robocze ubranie pokryte było ohydnie wyglądającymi plamami, bez wątpienia krwi i ropy. Tymczasem Różewicz teatralnym ruchem zerwał płótno ze stołu. Oczom zebranych ukazało się nagie ciało młodego mężczyzny. Loewenhardt natychmiast spostrzegł liczne rany klute na torsie i nogach. Denat miał już ślady plam opadowych, czyli skonał dobrych kilka godzin wcześniej; utrzymujące się stężenie pośmiertne świadczyło natomiast, że umarł nie dalej niż trzy, cztery dni temu.

– Jak wiecie, panowie, zidentyfikowani odmieńcy są wywożeni przez wojsko do siedziby Urzędu Przemian – powiedział profesor, sięgając po torbę lekarską stojącą na podłodze. – W Prusach zabezpiecza ich z kolei policja i wywozi na wyspę Wolin, w Austrii znikają w lochach twierdzy Schönbrunn, we Włoszech są wieszani i natychmiast poddawani kremacji, we Francji i Anglii to, co się z nimi dzieje, utrzymywane jest w całkowitej tajemnicy. Władze każdego z mocarstw pazernie próbują zachować wiedzę na temat skażenia dla siebie, podejrzewa się bowiem, że przez odmieńców może prowadzić droga do opanowania turbulencji i zawładnięcia siłami, o jakich się ludzkości dotąd nie śniło. Stąd i zainteresowanie tematem ze strony Komitetu, nadeszła bowiem najwyższa pora, byśmy i my spróbowali wykorzystać odmieńców dla dobra sprawy narodowej.

Profesor wyciągał z torby narzędzia chirurgiczne i jedno po drugim układał na stole obok głowy nieboszczyka. Lancety i skalpele z drewnianymi rękojeściami, łyżki, nożyce i piłę do cięcia kości. Jasne było, że szykuje się do sekcji.

– Denat to Jan Ostolski, lat dwadzieścia dwa – włączył się doktor Sudyk. – Czeladnik szewski zamieszkały na Powiślu. Wszystko wskazuje na to, że jest odmieńcem odpowiedzialnym za mord na policjantach w parku Saskim i zabicie trzech żebraków w okolicach okopów wolskich. Oba incydenty wyglądały bardzo podobnie, ofiary zamordowano nocą, za pomocą odmienionych przez mutatio roślin. Zabitych znajdowano rozerwanych na strzępy lub przyszpilonych do pni kolcami nienaturalnych, prawdopodobnie obdarzonych motoryką drzew. Początkowo podejrzewano, że oba incydenty były mikroturbulencjami, dopiero po odnalezieniu samego Ostolskiego okazało się, że raczej on stanowił ich źródło.

– Skąd pewność? – spytał Rosenfeld.

– Zeznania świadków – odparł Sudyk. – Ostatniej nocy na Powiślu słyszano krzyki i śmiechy młodego mężczyzny. Widziano go, jak nago szalał po ulicach, a potem biegł w stronę rzeki. Tam też go odnaleziono rankiem, przytulonego do drzewa, z którego wyrastały czarne, długie na stopę kolce. Wszystko wskazuje na to, że pograżył

się w obłądnie i popełnił samobójstwo.

Profesor podniósł największy skalpel i oparł jego ostrze na szyi, pod jabłkiem Adama nieboszczyka.

– Chłopcy z organizacji przechwycili ciało i mamy oto niebywałą okazję dokonać sekcji odmieńca – oświadczył. – Możemy sprawdzić, jak wielkie deformacje powoduje mutatio wewnątrz organizmu. Być może da nam to odpowiedź na pytanie, w jaki sposób rozpoznać odmieńca, czy ma ukryte cechy charakterystyczne odróżniające go od zwykłych ludzi. Cokolwiek, co mogłoby doprowadzić do opracowania metody na wyróżnienie go z tłumu.

– Czy wszyscy musimy w tym uczestniczyć? – spytał nagle poblady Czarnowski. – Nie jestem medykiem, oglądanie bebeczków nic mi nie powie.

– Może się pan przydać, jeśli znajdziemy wewnątrz coś ciekawego – odparł Sudyk. – Proszę wziąć się w garść i obserwować.

– Zaczynam – oznajmił profesor i pewnym ruchem wbił skalpel w gardło martwego szewca.

Wykonał długie cięcie, które skończyło się dopiero na kości łonowej. Mandor i Rosenfeld nawet nie mrugnę-

li, za to Czarnowski cofnął się kilka kroków, wyciągnął chusteczkę z kieszeni i zasłonił nią usta. Różewicz poszerzył rozcięcie. Nie pojawiła się ani jedna kropla krwi, za to uwolnione jelita wypłynęły na stół. W powietrzu rozniósł się przykry zapach, gruby chemik natychmiast podbiegł do okna i otworzył je szybko. Stanisław pochylił się z ciekawością nad stołem, wnętrzności wyglądały jednak zupełnie normalnie. Profesor rzucił skalpel i chwycił za nożyce. Po chwili z trzaskiem i chrzęstem ich ostrza przecięły mostek. Różewicz sapał i stękał, oburącz mocując się z żebrami, wreszcie poprosił o pomoc Sudyka. Razem rozepchnęli je i otworzyli klatkę piersiową denata niczym muszlę. Oczom zebranych ukazały się płuca i serce w niekniętym worku osierdziowym. Chwilę wszyscy trwali w zadumie i oglądali wnętrze martwego szewca. Wreszcie profesor mruknął coś pod nosem i znów chwycił za skalpel. Zostawił jednak klatkę piersiową i zaczął od układu pokarmowego.

– Otwieram żołądek, wewnątrz brak resztek jedzenia. Denat w chwili śmierci był na czczo. Brak jakichkolwiek zmian patologicznych. Wątroba. Wygląda bardzo ładnie, zdrowa i nieotłuszczona. Również brak patologii.

Różewicz bardzo sprawnie odcinał poszczególne organy, jego ręce poruszały się jak dłonie kuglarza. Wyglądało to tak, jakby wyczarowywał kolejne części przewodu pokarmowego. Układał je na stole i wygłaszał krót-

kie komentarze. Już po paru minutach zidentyfikował przyczynę zgonu – przebicie żyły udowej, jelit i śledziony. Potem odciął kolejno płaty płucne i oddzielił serce, nic nadzwyczajnego jednak nie znajdując. Na koniec Sudyk podłożył specjalną poduszkę pod głowę nieboszczyka, by ją podnieść i ułatwić operację. Profesor przeciął skórę od ucha do ucha przez środek czaszki i ściągnął połowę skalpu na twarz martwego, a połowę zawinął na kark. Sudyk przytrzymał oburącz organ, a w tym czasie profesor piłował. Odciął pokrywę czaszki i z młasniciem zdjął kościaną czapeczkę, odsłaniając w ten sposób niemal cały, nietknięty mózg. Jemu poświęcił najwięcej uwagi. Rozdzielił półkule i kolejno odcinał płaty. Pobrał próbki substancji szarej z różnych części kory, a także płyn mózgowo-rdzeniowy. Umieścił preparaty pod mikroskopem i oglądał sam, a następnie pozwolił obejrzeć Stanisławowi i Sudykowi.

– Nic – podsumował, wycierając ręce w surdut. – Zupełnie nic. Ten chłopak w najmniejszym stopniu nie różni się od zwykłego człowieka. Był zupełnie zdrowy, co najwyżej trochę wychudzony, ale to normalne, zważywszy, skąd pochodził i czym się zajmował. Wygląda na to, że w jego wypadku mutatio nie wywołało żadnych fizycznych zmian.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Przez otwarte okno wleciało kilka much zwabionych otwartymi zwłokami.

Bzyczały basowo, krążąc nad trupem.

– Chyba zostanę tu na noc i jeszcze raz dokładnie go obejrzę – dodał. – Ale wydaje mi się, że gdybym miał znaleźć coś istotnego, już bym znalazł. Nie wiemy, czy chłopak był wyjątkiem wśród odmieńców, czy też ich typowym przedstawicielem. Mutatio może zmieniać tylko umysły, nie wpływając na fizyczność, ale to na razie tylko hipoteza. Nie sposób wyrokować po zbadaniu jednego przypadku. Potrzebujemy kolejnych okazów.

Czarnowski westchnął ciężko i chusteczką otarł pot z czoła.

– To znaczy, że wiemy tyle samo co przed sekcją.

– Czyli nic – skwitował Rosenfeld.

*

Spotkania nowo formującego się wydziału naukowego Komitetu odbywały się co dwa, trzy dni, zwykle w którymś z pomieszczeń Szkoły Głównej, czasem w mieszkaniu któregoś ze spiskowców. Do grona naukowców dołączali kolejni, dwóch zrezygnowało po jednym spotkaniu, koniec końców grupa powiększyła się do dziesięciu osób, specjalistów z różnych dziedzin. Stanisław uczestniczył w większości zebrań; pozwalały mu one na

chwilę zapomnieć o pięknej Rosjance i zastąpić porywy serca troską o ojczyznę.

Nie udało się przechwycić kolejnego martwego odmieńca, nie mówiąc o żywym. Naukowcy koncentrowali się zatem na dyskusjach, do czasu gdy pan Mandor zaczął przynosić wyciągnięte z turbulencji artefakty. Były to głównie pozornie bezużyteczne kawałki stopionych metali, strzępy materiałów i fragmenty jakichś urządzeń. Naukowcy próbowali je identyfikować i badać. Już po wstępnych analizach okazało się, że metale są stopami o zaskakującym składzie, a tkaniny wykonano z niezwykłych, nieznanych współczesnej nauce nici. Utwierdziło to pana Czarnowskiego w przekonaniu, że turbulencje pochodzą z odległej przyszłości, ale nie przyniosło żadnych pewnych odpowiedzi.

Loewenhardt nawet nie zauważył, kiedy minęły kolejne dwa tygodnie. Żył na pełnych obrotach, do wczesnego popołudnia odpracowywał dyżur w szpitalu, a potem pędził albo na schadzkę z Wierą, albo na tajne spotkanie. Zaczynał rozumieć, że wcale nie chce uciekać z ojczyzny, nawet z ukochaną. Tu, w kraju, był potrzebny jak nigdy dotąd. Po pierwsze prowadził obiecującą praktykę jako lekarz, a po drugie szybkimi krokami zbliżały się wielkie zmiany w Królestwie. Otwarty bunt przeciw carowi był tylko kwestią czasu, w organizacji aż kipiało. To zagęszczenie emocji stawało się niemal fizycznie wy-

czuwalne, i to nie tylko na spotkaniach spiskowców. Wystarczyło wyjść na warszawskie ulice, by poczuć dziwną duszność, krystalizującą się nienawiść do okupanta. Kozackie patrole galopujące po ulicach czy widoczne wszędzie mundury piechurów wzbudzały coraz silniejszy i coraz śmielszy gniew.

Wiszące w powietrzu radosne emocje i wielkie nadzieje zawładnęły także Stanisławem. Nocami śniło mu się, że trzyma Wierę w ramionach lub z karabinem w garści walczy na barykadach. Był rozdarty pomiędzy dwiema miłościami. Nie potrafił zdecydować, która jest silniejsza, której powinien się bez reszty oddać. Jedno wiedział na pewno: nie mógł teraz tak po prostu uciec z kochanką. Musiał zostać i walczyć. Szansą na trwały związek z Wierą było zatem usunięcie jej męża. Musiał zabić Morozowa.

Zaczął powoli planować morderstwo. Pierwsze, co wypadało zrobić, to poznać ofiarę. Nadeszła pora skoncentrować się wreszcie na mężu Wiery. Na kolejnym spotkaniu spiskowców poprosił doktora Sudyka, będącego łącznikiem z zarządem Komitetu, o pomoc w zdobyciu wszelkich danych o Morozowie. Sudyk nie zadawał pytań, zapisał nazwisko i obiecał wypytać o Rosjanina.

Dzień później Stanisław przyjmował akurat pacjentów, kiedy posłaniec przyniósł list od Wiery. Loewen-

hardt uśmiechnął się do siebie przekonany, że dziewczyna zaprasza go na kolejną schadzkę, lecz gdy przeczytał liścik, włosy stanęły mu dęba. Wiera rozpaczliwymi słowy wzywała go na pomoc, od rana dokuczały jej potworne bóle głowy i uderzenia gorąca. Nie była w stanie udać się do szpitala, Stanisław musiał natychmiast do niej przyjechać i ulżyć w cierpieniu, bo obawiała się, że nie przeżyje tak gwałtownego nawrotu choroby.

Loewenhardt bez zastanowienia złapał słój z pijawkami i torbę lekarską, przygotowaną na wszelki wypadek na każdą okoliczność, i pędem wybiegł ze szpitala, nie kłopotując się nawet odwoływaniem zaplanowanych wizyt. Zrezygnował z poszukiwań dorożki, ponieważ do domu Wieri miał raptem dwie wiorsty z okładem, a zanim złapałby „sałaciarza”, minęłyby wieki. Ruszył zatem na piechotę różnym, energicznym krokiem, miejscami podbiegając. Po drodze omal nie stratował żydowskich przekupek sprzedających owoce bezpośrednio na chodniku i wpadł na jakiegoś parobka, który obrzucił go stekiem wyzwisk. Bez przeszkód dotarł jednak do kamienicy na Złotej, ominął stróża, nie wręczając mu jak zwykle dziesiątaka, i pognął po schodach.

Wiera spoczywała na sofie w salonie, ubrana jedynie w szlafrok. Kazała gosposi pootwierać wszystkie okna. Mimo chłodnego wrześnieowego poranka pólleżała w

przeciągu niemal zupełnie naga, z zaczerwienioną twarzą. W pomieszczeniu unosił się słodki zapach, jak się okazało – z rozsypanych na podłodze ciętych kwiatów. Na widok Stanisława Wiera uśmiechnęła się słabo, jej twarz wykrzywił grymas bólu. Do czoła miała przyłożony zimny kompres, ale najwyraźniej nie przynosił wytchnienia.

– Pomóż mi, Stasiu – powiedziała i wyciągnęła do niego rękę. – Już dłużej nie wytrzymam.

– Musimy obniżyć ciśnienie krwi – powiedział, ucałował dłoń dziewczyny i uklęknął przed nią. Zauważył, że skórę ma rozgrzaną i suchą. – Jadłeś coś dzisiaj? Musimy puścić krew, nie ma innego wyjścia.

– Znów pijawki? Nie można szybciej? – Jęknęła, dławiąc się łzami. – Zrań mnie, skalecz.

Loewenhardt wahał się chwilę, ale widząc stan ukochanej, szybko podjął decyzję. Wyciągnął z torby skalpel, złapał pustą szklankę stojącą przy karafce z wodą i usiadł na sofie obok Wiery. Ujął jej rękę i wyszukał żyłę. Zdecydowanym ruchem naciął skórę na wysokości nadgarstka, w poprzek ramienia, świadomie kalecząc arterię. Kazał dziewczynie rytmicznie zaciskać i rozprostowywać dłoń. Krew popłynęła do szklanki obfitym, szkarłatnym strumieniem.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, jej głowa opadła na ramię kochanka. Niedbale związany szlafrok rozsunał się, obnażając pierś dziewczyny. Stanisław poczuł falę gorąca, jakby zaraził się dolegliwością Wiery. Chwilę napawał się zmysłową krągłością piersi, pociągającym kształtem i barwą brodawki, a także nabrzmiewającym od chłodu sutkiem. Może nie tylko od chłodu?

Potrząsnął głową i skupił się na odpływającej krwi. Kiedy naczynie się nappełniło, przyłożył do rany zwitek szarpi i mocno owinął je bandażem z białego płótna. Robił to, klęcząc na podłodze przed dziewczyną. Wiera wyglądała już lepiej, wypieki znikły z jej policzków. Patrzyła spod półprzymkniętych powiek na krzątającego się Stanisława. Nie poprawiała szlafroka.

– Masz tak delikatne, a jednocześnie męskie dłonie – powiedziała ospale. – Dotykaj mnie, Stasiu. Jeszcze...

Uśmiechała się łagodnie, niezwykle zmysłowo. I znacząco. Stanisław zrobił ostatni węzeł na opatrunku. Musnął dłonią policzek dziewczyny, jej delikatną szyję i ramię, zsuwając z niego szlafrok. Usta Wiery rozchyliły się w oczekiwaniu na pocałunek.

Oboje niemal podskoczyli, gdy w przedpokoju rozległo się trzaśnięcie drzwiami. Ktoś ryknął po rosyjsku do gosposi, która najwyraźniej próbowała zatrzymać przyby-

sza. Wiera natychmiast otuliła się szlafrokiem, Loewenhardt odskoczył od niej jak oparzony. W tej samej chwili drzwi pokoju otworzyły się i do środka wpadł wielkolud w oficerskim mundurze.

– Co to ma znaczyć? – warknął. – Nie dość, że mnie ośmieszasz, włócząc się po mieście z jakimś cholernym konowalem, to jeszcze zaczęłaś go zapraszać do domu?!

Stanisław skamieniał na widok Rosjanina. Był przekonany, że Dimitri Morozow jest starym i odpychającym urzędnikiem, w myślach wytworzył sobie nawet obraz jego osoby; chudego, zgarbionego skąpca w koszuli z mankietami poplamionymi atramentem. Zamiast zaszuszonego starca ujrzał jednak dobrze zbudowanego bruneta o śniadej, kanciastej twarzy ozdobionej gęstym wąsem. Morozow nosił mundur oficera piechoty z pagonami majora, nie wyglądał na więcej niż trzydzieści kilka lat, w dodatku był naprawdę przystojny. Stał z zaciśniętymi w pięści dłońmi i miotał wzrokiem pioruny. Stanisław poczuł przeszywający strach, prący na brzuch. Wiedział, że jeśli tylko drgnie lub coś powie, Morozow zatłucze go gołymi rękoma.

– Dimitri, uspokój się, proszę... – Wiera teatralnym gestem uniosła zabandażowaną rękę, dotknęła nią czoła. – Jestem skrajnie wyczerpana, miałam potworny atak migreny. Doktor Loewenhardt był tak miły, by przyjść mi z

pomocą. Gdyby nie on, pewnie bym oszalała z bólu.

Morozow spoglądał to na Stanisława, to na dziewczynę. Wreszcie jego wzrok padł na stojącą na podłodze szklankę pełną krwi i otwartą torbę lekarską z wyłożonymi narzędziami. W jednej chwili ochłonął, jego uniesione ramiona opadły, napięte mięśnie rozluźniły się. Zastrzygł wąsami w nerwowym grymasie, ciągle przy tym groźnie marszcząc brwi.

– Wykończysz mnie tymi swoimi gierkami, kobieto – powiedział lodowatym tonem. – Mówię ci ostatni raz! Masz natychmiast skończyć z paradowaniem po Warszawie w towarzystwie innego mężczyzny. Wystawiasz mnie na pośmiewisko, staję się przez ciebie obiektem drwin całego sztabu. Od tej chwili nie opuścisz nawet tego pokoju bez mojej zgody, słyszysz!?

– Dobrze, kochany – powiedziała, opadając na sofę.
– Co tylko sobie życzysz.

Szlafrok rozsunał się, odsłaniając aż do uda nogę dziewczyny. Morozow dostrzegł rozbiegane spojrzenie Loewenhardta i doskoczył do niego jednym susem. Złapał go za koszulę pod brodą i potrząsnął mocno.

– A ty, psia twoja mać, łapiduchu od siedmiu boleści, masz zapomnieć o Wierze. Od dziś nie jesteś już jej

lekarzem. Jeśli jeszcze raz zobaczę cię w pobliżu, na miejscu rozwalę łeb! Zrozumiałeś?!

Pchnął Loewenhardta, ten zatoczył się i z łomotem uderzył o regał z książkami. Boleśnie trzasnął się przy tym w łokieć. Wściekłość zagotowała się w nim razem ze strachem. Poczul, jak twarz zalewa mu rumieniec. Morozow był znacznie silniejszy i wyćwiczony w walce, Stanisław nie miał z nim najmniejszych szans, mimo to napiął mięśnie, szykując się do ataku. Zabije go na miejscu, tu i teraz.

W ręku oficera pojawił się pistolet. Morozow uniósł broń i szturchnął lufą czoło zastygłego w pół ruchu lekarza. Stanisław zezował w wylot czarnej, stalowej rury kiwającej mu się przed oczyma. Gniew opuścił go w jednej chwili, zastąpiony lodowatym przerażeniem.

– To pierwsze i ostatnie ostrzeżenie, zawszony Polaczku – wycedził oficer. – Lepiej będzie, jeśli znikniesz z Warszawy. Kiedy spotkamy się następnym razem, ubiję cię jak psa.

– Dimitri! Mężu! – Wiera poderwała się na równe nogi i dopadła do Morozowa. Uczepiła się jego ramienia.
– Zostaw go, on jest tylko lekarzem, nikim więcej.

Nagle osunęła się na podłogę, wprost w rozsypane

kwiaty.

– Tylko bez aktorskich sztuczek, wstawaj – syknął oficer. – Tak samo mdląłeś na teatralnych deskach, nie zapominaj, że zanim zostałeś moją żoną, oglądałem twoje popisy dziesiątki razy. – Opuścił rękę i wsunął pistolet do kabury. – Wynoś się, pan. A ty ubierz się wreszcie. Co do lekarza, to nowego sam ci wybiorę. Jakiegoś starego, doświadczonego profesora, który będzie wyglądał jak twój dziadek. Z takim może nawet pozwolę ci wyjść na spacer. A ty na co czekasz, Polaczku? Poszedł won! Już, bo zaliczysz kopniaka i zlecisz ze schodów na zbity pysk.

Stanisław skinął głową podnoszącej się z godnością dziewczynie. Wiera nie zareagowała na jego pożegnanie. Wyszedł czym prędzej, czując na karku wrogie spojrzenie Morozowa. Teraz już był przekonany, że musi go zabić.

*

Prosto ze Złotej pomaszerował na Krakowskie Przedmieście do Szkoły Głównej. Dał w łapę woźnemu, by dostać się do pawilonu wydziału medycznego, i pomaszerował prosto do gabinetu doktora Sudyka. Zastał go siedzącego przy biurku i pogrążonego w porządkowaniu sterty papierów. Współspiskowiec minę miał nietęgą, widząc nieumówionego, w dodatku bardzo wzburzonego Loewenhardta. Stanisław był tak poruszony, że gospodarz

musiał podać mu szklanę wody, by się uspokoił i wydu-
sił, z czym przyszedł.

– Tak, mam już coś dla ciebie. – Wygrzebał jedną kartkę ze sterty. – Przyniesione dziś rano. Nie spodziewa-
łem się, że to takie ważne dla ciebie. Masz, czytaj. Za-
prząłem do poszukiwań naszego człowieka pracującego
w dowództwie okręgu, radcę tytularnego z Pałacu Saskie-
go. Mam nadzieję, że to śledztwo ma związek ze sprawą
narodową...?

– Co proszę? – mruknął Loewenhardt, patrząc w ra-
port dotyczący Dimitri Morozowa.

– Czy ten Rusek jest jakoś związany z badaniami
nad mutatio? – dopytywał się Sudyk. – Uruchomiłem na-
szego szpiega, wykonał niebezpieczną robotę, kopiując
dossier Morozowa. Mam nadzieję, że nie dla jakichś two-
ich osobistych interesów?

– Nie. – Stanisław zmieszał się. – Oczywiście, że
nie. Podejrzewam Morozowa o nosicielstwo mutatio.
Całkiem możliwe, że jest odmieńcem.

Nerwowo potarł czoło. Miał nadzieję, że Sudyk nie
sposprzeże jego niepewności lub przypisze ją roztargnie-
niu rozmówcy. Pomysł, by oskarżyć Morozowa o bycie
oborotenem, spłynął na Stanisława jak objawienie. Gdyby

udało mu się przekonać przyjaciół z organizacji, mógłby rozwiązać najistotniejszą dla siebie kwestię – jak wyeliminować Rosjanina.

– Siadaj i czytaj. – Sudyk przystawił do biurka krzesło. – Zaciekawileś mnie. Zobaczymy, czy ten raport coś ci powie.

Stanisław zdjął surdut i zawiesił go na oparciu krzesła. Usiadł i odetchnął, starając się uspokoić. Zabrał się do lektury. Miał w ręku skrót życiorysu oficera i wypisane w punktach dotychczasowe przydziały oraz osiągnięcia. Dimitri pochodził z wojskowej rodziny, jego ojciec i dziadek byli oficerami, w dodatku tak jak on służyli w 2. Lejb-Gwardyjskim Pułku Grenadierów Jego Wysokości, czyli w jednej z najbardziej elitarnych jednostek carskiej armii. Morozow ukończył petersburską Imperialną Akademię Wojenną, rzecz jasna z wyróżnieniem, służył jakiś czas na Kaukazie, gdzie wślawił się w walkach z Czerkiesami. Za pacyfikowanie górali został odznaczony Orderem Świętej Anny pierwszej klasy. Potem został przeniesiony do Sankt Petersburga. Tam też poznał swoją przyszłą żonę, aktorkę jednego z teatrów ogródkowych.

Stanisław poczuł, jak krew znów uderza mu do głowy. Wiera nie powiedziała mu, że była komediantką. Ciekawe, co jeszcze zataiła... Czy jej afekt był w ogóle szczerzy? Może chciała wykorzystać Loewenhardta jako

zabawkę? Po prostu nudziła się w Warszawie. Nie, to bzdura. Była tak delikatna i krucha, na pewno nim nie manipulowała. Nie mówiła wiele o swojej przeszłości, bo bała się, że jej nie pokocha. Kto chciałby się wiązać z taką aktoreczką? Wiadomo, że w większości to prostytutki, co ładniejsze kończyły jako utrzymanki bogatych wielbicieli, a te najpiękniejsze i najsprytniejsze znajdowały sobie pośród nich mężów. Ale niemożliwe, by Wiera była jedną z nich. Teatry w Petersburgu mogły funkcjonować na innych zasadach. Pewnie dorabiała sobie śpiewem i tańcem, by wspomóc rodzinę staczającą się w ubóstwo przez ojca hazardzistę. W raporcie nic ponad to o niej nie napisano. Szkoda.

– W jaki sposób odkryłeś, że ten oficer jest odmieńcem? – spytał szczerze zainteresowany Sudyk.

Stanisław zaczął nerwowo stukać palcami w blat biurka. Musiał szybko wymyślić jakieś w miarę logiczne kłamstwo. Jak sprowokować chłopców z organizacji, by porwali lub ubili Morozowa i przeprowadzili na nim sekcję? Wzrok doktora padł na stojący na parapecie wazon z pękiem ususzonych polnych kwiatów. Kwiaty!

– Od niemal dwóch miesięcy jestem osobistym lekarzem jego żony – powiedział, w myślach układając kłamstwo. – Zauważyłem, że pani Morozow bardzo lubi kwiaty, często wpina je w kapelusz lub we włosy, przyozdabia

nimi suknię. W mieszkaniu też zawsze ma ich pełno, stoją wszędzie, a nawet walają się po podłodze. Zaintrygowało mnie, że pod koniec sierpnia ozdobiła swój strój pękami niezabudek. To takie małe niebieskie kwiatki, które kwitną wiosną, tak późno nigdy ich nie widziałem. Intrygujące, prawda? Na początku nie zwróciłem na to uwagi, nawet kiedy nie dalej jak miesiąc temu nosiła z kolei konwalie, typowo majowe kwiatki. Innym razem miała wpięty w suknię dziwny, biały kwiat. Potem sprawdziłem, że to była szarotka alpejska, kwiatek występujący tylko w górach. Rozumiesz? Pół tysiąca wiorst od Warszawy. A ona miała świeży kwiatek. Dziś na podłodze ich mieszkania walają się dziesiątki czerwonych roślin, których w życiu na oczy nie widziałem. Jestem przekonany, że to jakaś egzotyczna odmiana, która nie występuje w naszym klimacie. I nagle mnie olśniło. Ta chora, biedna kobieta zawsze jest otoczona dziwacznymi roślinami. Skąd je bierze? Otóż wyznała mi kiedyś, że Dimitri świetnie zna jej upodobanie do roślin i to on stale obsypuje ją kwiatami.

Stanisław ze zgrozą skonstatował, że właściwie mówi prawdę. Wiera naprawdę ozdabiała strój kwiatami, które nie mogły zostać zerwane w naturze. Naprawdę też wspomniała o swoim mężu jako o dostarczycielu kwiatów. Loewenhardt poczuł, jak ciarki przebiegają mu po grzbiecie. Matko Boska, Morozow rzeczywiście mógł być odmieńcem!

– Coś takiego – sapnął zachwycony Sudyk. – Myślisz, że wytwarza kwiaty, korzystając z mutatio?

– Jestem o tym przekonany!

– Niezbyt groźna ta jego moc...

– Ale jednak mamy do czynienia z odmieńcem! Szukamy takich jak on bezskutecznie od miesiąca. Trafia nam się niebывała okazja! – Stanisław poderwał się z krzesła. – Musimy go przechwycić i zbadać.

– Nie wolno nam więzić człowieka i na nim eksperymentować – Sudyk pokręcił głową.

– Po co zaraz trzymać go w niewoli, to zresztą byłoby zbyt niebezpieczne. Przeprowadzimy sekcję.

Sudyk sprawiał wrażenie zmieszanego. Spojrzał na Stanisława przenikliwie.

– Jesteś gotów zabić człowieka dla nauki?

– Nie dla nauki, a dla ojczyzny – twardo odparł Lowenhardt.

Medyk pokręcił głową. Nie spodziewał się po Stani-

sławie czegoś podobnego. Sam nigdy nie posunąłby się tak daleko; był lekarzem, nie zamachowcem. Wreszcie wbił wzrok w podłogę i nie patrząc kompanowi w oczy, odpowiedział:

– Postaram się o wsparcie Sztyletników. Ktoś jednak będzie musiał nimi pokierować. Poprowadzisz tę operację z ramienia naszej komórki.

Stanisław skinął głową. Nie bał się, nie czuł też wyrzutów sumienia. Zabije Morozowa i zdobędzie Wierę. Tylko to się liczyło.

*

Tydzień później, w deszczowe popołudnie pod koniec września, Loewenhardt okazywał rosnący niepokój. Minionej nocy nie zmrużył oka – to miotał się po swoim mieszkanku na poddaszu, to długo stał przed oknem i gapił się w kierunku Złotej. Zastanawiał się, czy w oknie Wiery lampka jeszcze się świeci. Co robi jego ukochana? Jak się czuje? Tęsknił do niej coraz bardziej i coraz bardziej nienawidził Morozowa. W ciągu tygodnia dostał tylko jeden liścik od dziewczyny, w którym prosiła go, by był cierpliwy. Nie rozstawał się z nim ani na chwilę, nawet na zamach zabrał go ze sobą.

Przez siedem dni ludzie z organizacji obserwowali

Morozowa, Stanisław dostawał od nich meldunki codziennie wieczorem. Major większość dnia spędzał w sztabie, mieszczącym się w Pałacu Saskim. Rzadko zdarzało mu się zabalować z kolegami oficerami i wybrać do traktierni; zwykle przed wieczorem wracał do domu. Jako że nie miał daleko, niezależnie od pogody szedł na Złotą pieszo. Codziennie tą samą trasą. Wystarczyło więc zacząć się na niego w jednej z ciemnych bram, załatwić sprawę i ukryć trupa w piwnicy. A po godzinie policyjnej załadować ciało na wóz z węglem i jakby nigdy nic zawieźć na teren Szkoły Głównej, gdzie zostanie przeprowadzona sekcja.

Stanisław wybrał kamienicę, przed którą mieli dokonać zamachu; jeden z przydzielonych Sztyletników załatwił sprawę ze stróżem. Przekupiony mężczyzna obiecał, że brama będzie otwarta, tak jak i wejście do piwnicy. Przed opuszczeniem mieszkania doktor uzbroił się w lancet, rodzaj skalpela o długim obustronnym ostrzu. Schował go w kieszeni surduta, wcisnął na głowę cylinder i szybkim, zdecydowanym krokiem pomaszerował na miejsce spotkania.

Sztyletników było trzech. Stanisław współpracował z nimi od kilku dni, zdążył ich więc trochę poznać. Janek był barczystym, brodatym obwiesiem z Powiśla, ubranym w zbyt krótkie, obszarpane spodnie i kapotę przepasaną sznurkiem. Drugi z nich, ukrywający tożsamość pod

pseudonimem Stary, wyglądał z kolei na ubożego urzędniczynę. Miał rzadkie, całkiem siwe włosy i nosił pince-nez, choć i tak nieustannie mrużył oczy. Chodził pochylony, podpierając się laską. Ostatni, Krystian, był z kolei młodzieńcem o jasnych, niewinnych oczach. Ubierał się jak typowy ulicznik, w poprzecierane na kolanach i łokciach ciuchy i w zbyt dużą czapkę robotnika. Żaden nie wyglądał na groźnego zamachowca, ale Stanisław zdawał sobie sprawę, że pozory mylą. Sztyletnicy mieli już na swym koncie kilka udanych zamachów i ciągle doskonalili techniki kamuflażu.

Z tego co Loewenhardt słyszał, zamierzano zrobić z nich policję podziemnego państwa, która skupiłaby się przede wszystkim na wywiadzie wojskowym. Na razie ciągle podlegali Piotrowi Chmieleńskiemu, najbardziej rewolucyjnie nastawionemu członkowi Komitetu. Latem targnęli się na życie samego wielkiego księcia Konstantego, brata cara i namiestnika Królestwa Polskiego. Przeprowadzili też dwa zamachy na margrabiego Wielopolskiego, naczelnika prorosyjskiego Rządu Cywilnego. Obie ofiary zdołali tylko zranić, ale to wystarczyło, by o Sztyletnikach zrobiło się głośno w całej Europie. Dlatego Stanisław nawet nie mrugnął na widok przydzielonych mu zamachowców; wiedział, że lepszych nie znajdzie.

Deszcz od rana lał wściekle, zmieniając warszawski bruk w śliskie dna strumieni. Pod wieczór jednak ulewa

ustała i siąpiło już tylko niemrawo. Rynsztokami spłynęły nieczystości, choć na kilka godzin uwalniając miejskie powietrze od śmietnikowych wyziewów. Zbliżała się noc, cienie wydłużyły się i pociemniały. Ulica Jasna zamieniła się w zdecydowanie mroczną.

Stanisław stał w bramie kamienicy sąsiadującej z gmachem jakiegoś banku i patrzył w stronę Świętokrzyskiej. Na ulicy nie było latarni i po zachodzie słońca okolica pograżała się w ciemnościach. Uliczki szybko się wyludniały, zamknął się już warsztat szewski w suterenie sąsiedniej kamienicy i skład towarów kolonialnych po drugiej stronie. Pojedynczy wojskowy patrol z bagnetami osadzonymi na karabinach nieśpiesznie przemaszerował przez Złotą i skręcił w Marszałkowską. Stanisław czuł narastające podniecenie i strach. Obserwował uliczkę ukryty w cieniu bramy. Za chwilę wszystko miało się rozstrzygnąć, a jego życie wyjść na prostą. Czas płynął, robiło się coraz ciemniej.

Od strony Złotej rozległo się znajome stukanie. To chodnikiem szedł skulony i przygarbiony Stary. Stanisław wyprostował się w jednej chwili. Pojawienie się zamachowca świadczyło, że zbliżała się ofiara. Loewenhardt wbił wzrok w ciemność. Nagle wyłoniły się dwie postaci: wysoki oficer prowadził pod ramię szczebioczącą kobietę. Wiera? Doktor skamieniał z przerażenia. Dziewczyna, ubrana w elegancką, ukwieconą krynolinę, wracała z mę-

żem z Pałacu Saskiego. Co robiła w sztabie w odświęt-
nym stroju? Oficerowie nie zapraszali żon do pracy, a one
ich nie odwiedzały, to byłoby źle widziane. Chyba że od-
bywało się przyjęcie z jakiejś okazji. Co to mogło być?
Stanisław wysyczał przekleństwo. Dzień Pułku! Każda
formacja obchodziła uroczyste święto związane zwykle z
osobą patrona lub dniem sformowania. Że też nie przy-
kładał wagi do tego, w którym lejbgwardyjskim pułku
służy major. Niech to diabli! Co teraz?

Z jednej strony kuśtykał Stary, podpierając się la-
seczką, z drugiej nadchodzili państwo Morozow. Za parę
chwil spotkają się na wysokości bramy i dojdzie do trage-
dii. Sztyletnicy otrzymali rozkaz zabicia oficera i wyko-
nąją go bez wahania, Wiera jako niepożądany świadek też
zginie. Jezu, trzeba ją ratować! Stanisław nie wahał się
ani chwili, wyszedł z mroku bramy wprost na nadchodzą-
cą parę.

– Ty? – Morozow jakimś cudem natychmiast go
rozpoznał mimo ciemności.

Wiera zamilkła w pół słowa, zaskoczona chyba
jeszcze bardziej niż mąż. Stukanie o bruk laski Starego
stawało się coraz wyraźniejsze, z bramy za plecami Mo-
rozowów bezgłośnie wyłoniły się kolejne dwie sylwetki,
potężny Janek i wyglądający przy nim na dziecko Kry-
stian. Stanisław chciał wykrzyknąć ostrzeżenie, osłonić

własnym ciałem Wierę, ale zanim zrobił krok, Dimitri parsknął śmiechem.

– Twój kochaś zbyt się rozbrykał! Zamiast z drżeniem serca czekać na twoje liściki, zaczął się, by mi przyłożyć. – Objął żonę. – Mówiłaś, że to podszyty tchórzem, podrzędny spiskowiec, a tymczasem to prawdziwy gieroj. Muszę go jednak odstawić do aresztu. Mówiłem, że cały ten twój Urząd Przemian nadaje się co najwyżej do łapania odmieńców, a nie do szpiegostwa. Najlepsze są stare wypróbowane metody, a nie jakieś sztuczki. Wyłapiemy polskich buntowników dzięki donosicielom i terrorowi, a nie wydumanym, nowoczesnym technikom. Też mi pomysł, rozkochiwać w sobie spiskowca, by przez niego inwigilować całą organizację! Głupoty!

– Wiera, co on mówi? – Stanisław czuł, że serce rozpada mu się na miliony kawałków. – Co on mówi?

– Głuchy jesteś czy co? – huknął Morozow. – Mojej Wierze nudziło się w roli grzecznej żonki i zapragnęła zostać agentem Urzędu Przemian. Wymyśliła sobie, że rozgryzie waszą rewolucyjną siatkę. Od razu wpadłeś jej w oko; kiedy tylko cię ujrzała, domyśliła się, że jesteś buntownikiem. Zresztą nie wykazała się tu jakąś nadzwyczajną lotnością umysłu, wszak co drugi młody Polak to buntownik.

Wiera spuściła wzrok wyraźnie zażenowana całą sytuacją. Wreszcie ze złością odepchnęła rękę męża. Stanisław spojrział jej w oczy, błyszczące w cieniu kapelusza. Ujrzał wstyd i żal? Chyba mu się tylko wydawało. Dygotał, rozsypywał się na kawałki. Jak mogła mu to zrobić? Naprawdę był tylko jej zabawką?

Morozow sięgnął do kabury. W tej samej chwili od tyłu jednym susem dopadł go Janek i objął ramieniem za szyję. Stanisław został odepchnięty przez Starego, który z przygarbionego urzędniczyny zamienił się w zwinnego zabójcę. Laska, którą się podpierał, kryła w swoim wnętrzu długie na ponad metr ostrze. Urzędnik zamierzył się nim, wycelował w brzuch majora. Wiera krzyknęła, złapaną za szyję tak samo jak mąż. Krystian szarpnął ją do tyłu, w jego drugim ręku pojawił się sztylet.

Stanisław uderzył ramieniem w ścianę budynku, omal się nie przewracając. Zamarł, patrząc szeroko otwartymi oczyma na krótką szamotaninę. Za sekundę para Rosjan zginie, nic nie mogło tego powstrzymać. Loewenhardt powinien chociaż spróbować ocalić ukochaną, ale nie był w stanie się ruszyć. Nie wiedział zresztą, czy chce to zrobić.

Sztylet Krystiana zazgrzytał na fiszbinach gorsetu Wiery, dziewczyna wrzasnęła po raz kolejny, tym razem z bólu. Stary dźgnął Morozowa, ale ten nadludzkim wysił-

kiem w ostatniej chwili wykręcił się i ostrze zagłębiło się w jego boku, a nie w sercu. Oficerowi udało się wyszarpnąć pistolet z kabury. Pociągnął za spust. Grzmot wystrzału przetoczył się echem po wyludnionej uliczce. Kula trafiła Janka w stopę. Osilek tylko syknął z bólu i ścisnął Morozowa jeszcze mocniej, niemal miażdżąc mu krtań. Major zacharczał żałośnie. Stary wyszarpnął ostrze z rany ofiary i zamierzył się do ostatecznego pchnięcia.

Stanisław ciągle patrzył. Nie mógł oderwać wzroku od Wiery, w której boku tkwił sztylet wbity aż po rękojeść. Krystian trzymał ją, czekając, aż dziewczyna osunie się martwa. Ona jednak nie słabła, zdawała się za to rosnąć. Loewenhardt zamrugał. To niemożliwe, z szoku musiał mieć omamy. Kwiaty na kapeluszu Rosjanki ożyły, zaczęły się wić niczym węzowisko i błyskawicznie powiększać. Spod jej obszernej krynoliny wystrzeliły czarne pnącza, które owinęły się wokół nóg Krystiana. Bruk wystrzelił pogruchotanymi kamieniami, jakby pod ziemią wybuchły bomby. Jeden z odłamków uderzył Stanisława w bok, ale lekarz nie poczuł bólu. Oniemiał ze zgrozy.

Spod ziemi wyrosły bryzgające żywicą czarne konary. Wyglądały niczym korzenie jakiegoś wielkiego drzewa, które nagle uzyskały zdolność poruszania. Błyskawicznie pokryły się długimi na stopę kolcami, wiły się, po omacku szukały ofiar. Krystian wrzasnął i puścił Wierę.

Kolce zagłębiły się w jego udach. Obie nogi zostały ciasno oplecione przez dwa osobne pnącza i gwałtownie szarpnięte w przeciwnych kierunkach. Sztyletnik ryknął na całe gardło, rozdzierany żywcem. Bryznęły strumienie krwi, krocze młodego mężczyzny pękło, jedna noga została wyrwana ze stawu biodrowego i odrzucona. Pnącze owinęło się teraz wokół jego szyi niczym makabryczna, najeżona kolcami obroża. Stanisław zamknął oczy, kiedy roślina odrywała głowę chłopaka.

W tym czasie Janek puścił Morozowa, który bez przytomności runął na chodnik. Osilek rzucił się do ucieczki. Wystający z ziemi konar owinął mu się jednak wokół nóg. Mężczyzna został uniesiony w górę, a potem roślina trzepnęła nim o fasadę kamienicy jak szmacianą lalką. Loewenhardt załkał z przerażenia, kiedy Janek przeleciał tuż nad jego głową. Charakterystycznego trzasku gruchotanych kości nie dało się pomylić z niczym innym. Kolczasty konar wywijał bryzgającym krwią z roztrzaskanej głowy trupem i raz po raz walił nim to o ścianę, to o bruk.

Stary wymachiwał wściekle ostrzem laski, ciął próbując go dopaść gałęzie. Czarna żywica kapiała z pokaleczonych i odrąbanych konarów, ale te i tak nacierały na ofiarę. Wreszcie owinęły się wokół pasa Starego, kolce zagłębiły się w jego trzewiach. Mężczyzna upuścił broń, a

po chwili klęknął, owijany kolejnymi warstwami pnączy.

Stanisław wrzasnął, kiedy czarny konar zacisnął się wokół jego ramienia. Jeden z kolców rozplątał rękaw surduta i przeciął skórę lekarza. Wolną ręką Loewenhardt sięgnął do kieszeni i wymacał drewnianą rękojeść lancetu. Roślina szarpnęła mocno. Doktor przewrócił się, a konar pociągnął go po bruku i po chwili gwałtownie postawił na równe nogi.

Stanisław znalazł się twarzą w twarz z ukochaną. Błyszczące oczy Wiery zmieniły się w dwie czarne otchłanie. Jej twarz była biała jak kreda, co potęgowało upiorne wrażenie. Z ust dziewczyny ciekła lepka, czarna żywica. Pnącza wokół niej poruszały się rytmicznie, falowały niczym rosnące na dnie morza rośliny. Dziewczyna wykrzywiła usta w pogardliwym uśmiešku, który szybko przeszedł w grymas złości. Nie była już delikatną i uroczą kochanką, lecz złą i wściekłą wiedźmą.

Uniesiony lancet błysnął przez mgnienie oka i opadł na odsłonięte gardło kobiety. Czarna krew chlusnęła wprost na twarz Stanisława. Dziewczyna zawyła nieludzkim głosem. Konar, trzymający doktora, wierzgnął szmatycznie. Oślepiiony Loewenhardt poczuł tylko, że traci grunt pod nogami, a potem z impetem gruchnął o bruk. Metaliczny smak krwi wypełnił mu usta, siła uderzenia wypchnęła całe powietrze z płuc. Później była już tylko

ciemność.

*

Deszcz siąpił kolejny dzień. Strumyki spływały po szybie, rozmazywały widok na Pałac Kazimierzowski, na który wychodziły okna pawilonu wydziału medycznego. Stanisław stał przy oknie, patrzył w dal, w zasnutą drobinkami wody Warszawę. Rana na ręce znów się odezwała, szwy naciągnęły się, kiedy napiął mięsień. Całe szczęście, że głębokie rozcięcie wyglądało czysto i nie podchodziło ropą. Prawdopodobnie zaleczy się bez komplikacji, a Stanisławowi zostanie na pamiątkę tylko blizna. Jeden z policjantów przybyłych na miejsce starcia przytomnie owinął mu ramię i zatamował krwotok.

Całe szczęście, że grodowoje byli funkcjonariuszami podległymi prystawowi Alojzemu Kruszowi. Natychmiast wezwali komisarza i zabezpieczyli pobojowisko. Wąsaty oficer policji poznał Loewenhardta i po przywróceniu mu przytomności odbył z nim poważną rozmowę. Niewątpliwie w ich ręce wpadł prawdziwy odmieniec – Wiera Morozow. To ona była odpowiedzialna za mord policjantów, w tym bratanka Krusza. To ona zabiła żebraków w okopach wolskich i czeladnika szewskiego na Powiślu. Prawdopodobnie dręczona obłędem powodowanym przez mutatio wyruszała nocami na włóczęgę, a zaczepiona wpadała w szal i używała swej mocy. Przestało

być tajemnicą, co powodowało uderzenia gorąca i migrenowe bóle, a także skąd brała niezwykle kwiaty. Jedno i drugie stanowiło efekt uboczny używania mocy, generowania mikroturbulencji odmieniających rzeczywistość. Wreszcie została zneutralizowana. Niestety sprawę komplikował fakt, że Wiera była Rosjanką, w dodatku agentem Urzędu Przemian.

Prystaw długo się wahał. Powinien zgłosić sprawę wojsku i oddać w ręce śledczych młodego doktora. Ciągłe pamiętał jednak przysługę, którą wyświadczył mu Loewenhardt. Dzień później Stanisław był wolny.

– Panowie, proszę się skupić – w gabinecie rozległ się głos profesora Różewicza. – Zaczynamy.

Stanisław odwrócił się od okna i podszedł do grupy mężczyzn otaczających stół operacyjny. Byli tam wszyscy naukowcy z tajnej komórki Komitetu, dziesięciu spisowców pochylonych nad nowym, niezwykle obiektem. Różewicz odsłonił go, ściągając ze stołu płachtę płótna.

Loewenhardt poczuł bolesne ukłucie w sercu, kiedy ujrzał leżącą bez ruchu nagą Wierę. Znów wyglądała zwyczajnie; była szczupłą, delikatnej budowy piękną. Dziewczęca i niewinna jak kiedyś. Taką właśnie chciał ją zapamiętać. Oczy Stanisława zaszklily się, musiał otrzeć

je mankietem.

– Tym razem to prawdziwy odmieniec, panowie. Proszę wszystkich o najwyższe skupienie – oznajmił Różewicz. – Przystępuję do sekcji, doktor Sudyk sporządza notatki. Denatka to kobieta, lat dwadzieścia cztery. Przyczyna śmierci było wykrwawienie od dwóch ran: pchnięcia sztyletem pod prawe żebro i cięcia na szyi, które naruszyło aortę...

Stanisław odwrócił się i podszedł do drzwi. Sudyk spojrział na niego znad kartek, które pracowicie zapisywał.

– Już idziesz?

– Muszę zdążyć na dworzec, pociąg odjeżdża za godzinę. – Stanisław skinął mu na pożegnanie. – Powodzenia!

Zamknął za sobą drzwi i szybkim krokiem ruszył przed siebie. Do dworca kolei wiedeńskiej nie było daleko, musiał tylko dotrzeć na skrzyżowanie Marszałkowskiej z Aleją Jerozolimską. Zresztą wcale się nie śpieszył, tak naprawdę pociąg miał odjechać dopiero za cztery godziny. Stanisław po prostu nie chciał uczestniczyć w sekcji.

W kieszeni czuł sztywny pugilares z dokumentami, za pazuchą uwierały listy dla członków organizacji w Sandomierskiem. Od dziś Loewenhardt będzie delegatem w terenie, zaszyje się na dalekiej prowincji, zniknie dla świata. W zbliżającym się zrywie dołączy do jednego z oddziałów i stanie się polowym lekarzem. Taki przynajmniej miał plan.

Musiał zniknąć z Warszawy, ponieważ Dimitri Morozow przeżył starcie. Z pewnością kochał żonę i był gotów zrobić wszystko, by dopaść jej zabójcę. Stanisław czuł, że w tym mieście nie czeka go nic dobrego, tylko bolesne wspomnienia i śmiertelny wróg. Skinął woźnemu otwierającemu przed nim drzwi pawilonu i ruszył w deszczowe miasto. Wąsaty dozorca wyszedł za nim, by pod daszkiem wypalić papierosa. Patrzył, jak sylwetka Loewenhardta oddala się i rozmazuje w strugach deszczu. Po chwili doktor znikł w tłumie na Krakowskim Przedmieściu. Nigdy więcej nie widziano go w Warszawie.

Niezwykły przypadek Martyny Gewalt

Od strony Wisły wiał zaskakująco ciepły, jak na połowę lutego, wiatr. Słońce zniknęło już za dachami ruder Powiśla, ostatnie jego promienie ślizgały się po nabrzeżu. Przy zacumowanych rybackich batakach¹ siedziało pięć dziewcząt. Każda trzymała między nogami wiklinowy kosz, do którego wpadały rybie wnętrzności, sprawnie wypruwane przez młodzieńcze ręce, uzbrojone w ostre, zakrzywione nożyki do patroszenia. Córki rybaków musiały się śpieszyć, żeby przed zapadnięciem zmroku oczyścić ryby, tak by połów ułożyć jeszcze w skrzyniach z lodem, które przed świtem ich ojcowie zawiozą na staromiejskie targowisko. Ręce kostniały z chłodu, karki bolały od ciągłego schylania się po ryby, ale młode kobiety i tak co chwila wybuchały śmiechem, gdy najstarsza z nich – Martyna – opowiadała o starających się o nią konkurentach.

– Czekaście, dwóch obiecało, że jeszcze dziś tu przyjdzie. Same ich sobie obejrzycie. – Śliczna córka rybaka o jasnych, długich włosach, skręcających się w morze loków, uśmiechnęła się do przyjaciółek.

– To ci robotnicy z fabryki żelaznej Evansa? – upewniła się Krzysia, najmłodsza z dziewcząt, bo ledwie czternastoletnia.

– Najlepsze partie w Warszawie! – Jasia z rozmachem pacnęła rybimi flakami w kosz. – Przynajmniej dla takich jak my. ŚmieJCie się, śmieJCie, głupie gęsi, ale tak po prawdzie wiecie, że mam rację. Dziś jeszcze są gołodupcami, jak większość oberwańców z Powiśla, ale przynajmniej mają uczciwą robotę. Za kilka lat zostaną majstrami, i będą w stanie zapewnić utrzymanie swoim rodzinom. Ich żony nie będą musiały tyrać jak woły, a dzieciaki nie będą latać głodne i obdarte. Martyna niech weźmie sobie jednego, tego przystojnego z gładką buźką i błyszczącymi oczami, a okularnika niech narai mnie. Co ty na to, złotko? Dasz mi tego małego?

Martyna uroczo zatrzepotała rzęsami, lekko się rumieniając.

– Nie wiem, jeszcze się nie zdecydowałam.

– To się pośpiesz, szkoda czasu – mruknęła Jasia. – Ja mam już osiemnaście lat, najwyższa pora, bym znalazła sobie męża. Nie chcę żadnego z obiboków z dzielnicy, marzy mi się porządny chłopiec.

– Idą! – radośnie pisnęła Krzysia, ucinając rozmowę.

Młodzi robotnicy schodzili w dół, w kierunku rzeki,

śluzką dróżką przypominającą rynsztok. Powiśle nadal pozostawało najmniej zadbaną częścią miasta i większość ulic, nie dość, że nieoświetlona, nie była nawet wybrukowana. Powstające tu pierwsze fabryki niewiele zmieniły, przekształcając dzielnicę ze slumsów dla biedoty w niewiele lepszą noclegownię dla robotników.

– Witam, szanowne panny! – Z daleka ukłonił się Władek, zwany Okularnikiem. – Czy zastałem może pana Wieczorka?

– Ojciec jest w chałupie. – Jasia uśmiechnęła się. – Mam szanownego pana zaprowadzić?

Nie czekając na odpowiedź, rzuciła kordzik do kosza i podkasawszy kieckę, podbiegła do młodzieńców. Okularnik ruszył za dziewczyną niczym zahipnotyzowany, nie mogąc oderwać spojrzenia od jej błyskających białych łydek.

– Władek pogada sobie z rybakami, a ja porwę piękną córkę jednego z nich na przechadzkę wzdłuż Wisły! – Drugi z robotników, przystojny Marceli, doskoczył do Marty i złapał ją za dłoń, chcąc poderwać ze stołka.

Dziewczyna siedziała jednak twardo, a zaskoczonemu amantowi oświadczyła, że musi przed zachodem słońca skończyć robotę. Jeśli kawaler chce ją porwać,

musi pomóc w czyszczeniu. Marceli został posadzony na zydłu, a jedna z dziewcząt ze śmiechem wręczyła mu nożyk do patroszenia. Przystojniak pobladł, widząc kosze pełne flaków, ale szybko wziął się w garść i zaczął niezdarne rozbebeszać ryby. Krzywił się przy tym z odrazą, ku radości dziewcząt, ale nie narzekał. Martyna zerkała to na niego, to na wejście do chałupy, w progu której stanął jeden z rybaków, z poważną miną słuchając Władka. Po chwili do rozmawiających dołączył jej ojciec i jeszcze jeden z sąsiadów. Mężczyźni spierali się o coś z przejęciem, wreszcie pan Wieczorek pokiwał głową, a Władek uściśnął mu dłoń, kłaniając się grzecznie. Ojciec Martyny wzruszył ramionami, machnął ręką i odszedł w swoją stronę. Okularnik, w towarzystwie promieniejącej Jaśki, nie zwracając już na nią najmniejszej uwagi, zszedł na nadbrzeże. Po raz kolejny ukłonił się dziewczętom.

– Robota skończona – oznajmiła Martyna i schowała nożyk do pochewki przy pasie. – Kto chce iść na spacer?

Chciały wszystkie, choć ktoś musiał jeszcze poukładać ryby. Krzysia miała łzy w oczach, gdy Martyna nieznośnym sprzeciwu tonem rozdzieliła prace, pozwalając na spacer tylko Jaśce i pulchnej Weronice, w funkcji przyzwoitki. Role zostały rozdzielone i żadna z dziewcząt nie śmiała podważać autorytetu najstarszej przyjaciółki. Martyna dominowała i błyszczała na ich tle niczym praw-

dziwa gwiazda. Błękitne, wielkie oczy i błyszczące w zachodzącym słońcu loki zdawały się iskrzyć i rzucać pioruny. Królowa Powiśla poprowadziła swoich wielbicieli i druhny brzegiem rzeki, w stronę powstającego w oddali mostu Aleksandryjskiego. Dwaj robotnicy gapili się na nią jak na święty obraz i spijali każde słowo z jej ust. Jaśka szybko straciła humor, rozumiejąc, że żaden z młodych mężczyzn nie zapamięta nawet jej obecności. Przy jaśniejącej Martynie była tylko cieniem, rozmywającym się w szarówce.

Gadali jakiś czas o mało istotnych sprawach – surowym majstrze ślusarskim, który był przełożonym chłopców, bruku układanym na Nowym Świecie, latarniach gazowych, prowadzących świetlistym szlakiem z powiślańskiej Księżęcej aż do Krakowskiego Przedmieścia, godzinie policyjnej i rosnącej liczbie rosyjskiego żołdactwa panoszącego się w mieście. Siłą rzeczy rozmowa zesłała na trwający od miesiąca bunt. Władek wspomniał o pierwszych nieszczęśnikach powieszonych na stokach cytadeli, a Jasia z dumą o dwóch kuzynach, którzy opuścili Warszawę, by przyłączyć się do jednego z powstańczych oddziałów. Weronika zrugła przyjaciółkę i stwierdziła, że ta powinna się wstydzić za swych braci, którzy z pewnością sprowadzą nieszczęście na całą rodzinę. Car nie zapomni Polakom tego, że znów próbują zerwać kajdany. Wszyscy za to zapłacą.

– A co ty sądzisz, Martyno? – spytał Władek. – Kuzyni Jasi są głupcami czy bohaterami?

Wszyscy spojrzeli na piękność, która uśmiechnęła się olśniewająco, ale nic nie powiedziała. Niespodziewanie wzięła Władka pod ramię i odeszła z nim na bok. Dla wszystkich było jasne, że chce z nim porozmawiać na osobności. Marceli z trudem przełknął ślinę, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Wewnątrz aż gotował się z wściekłości. Ten cholerny okularnik podprowadzi mu najśliczniejszą dziewczynę w mieście. Nie tak się umawiali. Władek wszak obiecał, że nie będzie się o nią starał. Chciał załatwić jakieś szemrane sprawy z rybakami; tylko dlatego Marceli zabrał go ze sobą. Ten gnojek jednak wytrzeszcza ślepią na Martynę i robi co może, by się jej przypodobać. I zaufaj tu takiemu. Podstępny zdrajca!

– Nie jestem głupia, Władku. – Martyna nagle zrobiła się poważna. – Wiem, że wy, w fabryce, też działacie dla sprawy narodowej. Jesteś jednym z nich, jesteś buntownikiem. Nie odpowiadaj, nie trzeba. Próbowaleś przekonać do współpracy pana Wieczorka i mojego ojca, prawda? Ojciec się nie zgodził, ale nie miej mu tego za złe. Boi się, ma na utrzymaniu nie tylko moją matkę i trójkę mego rodzeństwa, ale i swoją owdowiałą siostrę z piątką jej pociech. Jeśli Moskale go aresztują, zostaniemy bez środków do życia. Wieczorek ma mniej do stracenia,

dlatego się zgodził.

– Nie próbujemy zmuszać ludzi do walki – bąknął Władek. – Ja chciałem tylko.....

– Zastąpię mego ojca – oświadczyła heroicznie Martyna. – Przyjmij mnie do organizacji, złożę przysięgę choćby dziś.

Okularnik zamrugął niepewnie, patrząc na dziewczynę. Stała z dumnie uniesioną głową na tle falującej rzeki, w której ostatnie promienie słońca odbijały się milionami refleksów. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i ucałować. Piękność w półmroku, dzielna i szlachetna.

– W niedzielę – wydusił z siebie wreszcie – zaprowadzę cię do pani Piotrowskiej, która kieruje żeńską organizacją „Piątek”. Jeśli zostaniesz zaakceptowana, zaprzysięgną cię w obecności księdza. Tak się cieszę, Martyniu....

Uśmiechnęła się w taki sposób, że młodzieniec aż spłonął rumieńcem. Miał wrażenie, że gorąco zaraz rozsądzi mu głowę. Ręce mu drżały, kiedy dotknął jej dłoni. Zbliżył się o krok, nie widząc piorunującego go wzrokiem Marcelego ani dwóch pozostałych dziewcząt. Nie widział niczego poza obłądnie błękitnymi oczami i lekko rozchyłonymi ustami, zachęcającymi do pocałunku. Jeszcze

krok, czuł już zapach dziewczyny i jej ciepło.

– A to co? Widzicie? Chodźcie szybko! – Martyna obróciła się na pięcie i wskazała na rzekę.

W nurtach migotało coś wielkiego, przesuając się płytko pod wodą. Nieforemny kształt, promieniujący zielonkawym blaskiem, poruszał się ospale i momentami zatrzymywał w miejscu. Fale zniekształcały widok, trudno nawet było oszacować rozmiary obiektu, ale długością przewyższał średniego rozmiaru barkę. Samo patrzenie na dziwną rzecz budziło grozę. Uderzał swoją nienaturalnością i obcością. Nie dało się nawet stwierdzić, czy to coś jest niesionym przez wodą przedmiotem, czy żywą istotą.

– Skaza rzeczywistości, tak zwana turbulencja. – Marceci wzruszył ramionami. Chwytał Martynę za ramię stanowczym gestem. – Nie zbliżaj się do brzegu, dopóki to plugastwo nie zniknie. Może promieniować mocą mutatio.

– Matko Boska, miej nas w swojej opiece. – Jasia przeżegnała się. – A co jeśli to ohydztwo zatruje wodę, przemieni ryby?

– Nie ma powodu martwić się na zapas – oświadczył uspokajająco Władek, który zdążył otrząsnąć się z zauroczenia Martyną. – Turbulencje wykwitają co jakiś

czas w różnych miejscach, także w rzekach. Czasem lokują się w rzeczywistości i pasożytują na niej, deformując świat, ale często znikają bez śladu. Bardzo rzadko zdarza się, by skaziły teren i odmieniły zwierzęta.

– Ale się zdarza – burknął Marcei. – Mutatio odmienia nawet ludzi, wszyscy o tym wiedzą. Pamiętajcie, dziewczyny, by trzymać się od niego z daleka.

– E tam – Władek machnął ręką. – To zwykłe zjawisko fizyczne, jedno z wielu, które ludzkość dopiero poznaje. Podobnie elektryczność i magnetyzm. Tylko patrzeć, jak ludzie zaczną wykorzystywać wszystkie te cuda natury, łącznie z mutatio.

– Słyszałam, że wielka księżna Aleksandra Józefowna dostała od męża diadem z błękitnego metalu wydobytego z turbulencji – wtrąciła Jasia. – Ponoć moc może wpływać na ludzkie ciało także pozytywnie, może leczyć i upiększać. Wielka księżna bardzo dba o urodę i wierzy, że biżuteria nasycona mutatio uchroni ją przed starością.

– Bujdy! – warknął Marcei.

– Artefakty wydobyte z anomalii coraz częściej znajdują zastosowanie praktyczne. – Władek, z pewnym zaskoczeniem, spostrzegł istnienie Jasi. – Panienska ma

rację. Niedługo wszyscy będziemy korzystali z urządzeń nasyconych mocą. Już teraz wiemy, że materiały uzyskane z turbulencji wykazują niezwykle właściwości, są wytrzymalsze, lżejsze, lepsze.

Marceli patrzył gniewnie na przyjaciela, zaciskając pięści. Nikt jednak nie zauważył jego wrogości, wszyscy stali na brzegu i oglądali mieniającą się mocą anomalię. Wreszcie Martyna spojrzała wpierw na jednego, a potem na drugiego kawalera i zatrzepotała rzęsami.

– Każda kobieta chciałaby dostać magiczny przedmiot od mężczyzny, któremu na niej zależy – powiedziała. – Wielka księżna ma szczęście, że Konstanty tak ją kocha.

– Marzy ci się diadem nasycony mutatio? – parsknęła Jasia.

– Niekoniecznie diadem, ale jakiś drobiazg, który uchroniłby moją urodę lub dał boską moc... – rozmarzyła się dziewczyna, patrząc przy tym prowokacyjnie na chłopców. – Ach, ale już zrobiło się późno! Musicie uciekać, by zdążyć przed godziną policyjną. Idźcie już, zobaczymy się w sobotę. Może zabierzecie mnie i dziewczyny na potańcówkę?

Poprowadziła swoją świtę z powrotem na rybackie

nabrzeże, a na pożegnanie obdarzyła kawalerów przychylnym uśmiechem. Młodzi robotnicy odeszli z ociąganiem, nie mogąc oderwać wzroku od niknącej w ciemności sylwetki dziewczyny. Martyna parsknęła śmiechem dopiero, gdy znikli w oddali.

– Zakpiłaś sobie z nich tymi bzdurami o magicznych artefaktach? – mruknęła Jasia.

– Pewnie. – Białe zęby powiślańskiej piękności błysnęły w ciemności. – Niech sobie nie myślą, że tak łatwo będzie mnie zdobyć. Muszą się trochę postarać i wysilić na coś więcej niż zabranie mnie na tańce.

Jasia ze złością złożyła ręce na piersi, piorunując przyjaciółkę wzrokiem. Niech diabli wezmą tę próżną dziewczynę! Jeszcze zrazi chłopców i żaden dobrze rokujący młodzieniec nie przyjdzie już do dziewcząt z rybackiego nabrzeża.

*

Syk parowego gwizdka ogłosił koniec zmiany w zakładach metalowych Evansa. Ucichły młoty w kuźni i łomot prasownic do blachy, miechy przestały tłoczyć powietrze, a ogień w piecach przygaszono, tak by jutro dało się szybko uzyskać temperaturę wytopu. W szlifierni majster burkliwym głosem kazał podopiecznym uporządko-

wać miejsce pracy i zawinął się, na odchodnym trzaskając drzwiami warsztatów. Pomagierzy zabrali się do zamiata-
nia podłogi, czeladnicy wynieśli wanny z wodą do chłó-
dzenia rozgrzanej stali. Metalowy pył i żelazne wióry, za-
legające wokół tokarek i szlifierek, znikły w kubłach, któ-
re wyniesiono do przetopu. Kolej na zamknięcie hali wy-
padła dziś na Władka. Chłopcy kłaniali się mu, wycho-
dząc – to on pełnił teraz funkcję szefa i zwalniał ich do
wyjścia do domu. Marceli klepnął go w plecy i śmiejąc
się, pognął do bramy. Pewnie znów pomaszeruje prosto
nad brzeg Wisły.

Władek przetarł okulary, czekając, aż drzwi za
ostatnim z pracowników się zamkną. Potem wyciągnął
spod stołu skrzynię na prywatne rzeczy robotników i wy-
ciągnął z niej plik egzemplarzy ostatniego numeru
„Strażnicy” – zakazanego pisma. Pod spodem spoczywało
zawiniątko w szarym płótnie. Młodzieniec rozwinął je i
odstłonił kawał zakrzywionego żelastwa, które wyglądało-
by jak nieforemny odprysk z wytopu, bryznięcie z formy,
zastygnięte gdzieś w kącie, gdyby nie dziwny kolor i po-
łyskliwa powierzchnia. Metal był ciepły w dotyku, a w
półmroku zdawał się blado świecić.

Ukradł ten kawałek stali, wyciągnięty przez nurka-
śmiałka z głębi turbulencji rzeczywistości. Całą skrzynię
materii nasyconej mutatio osobiście przekazał na ręce

profesora Różewicza ze Szkoły Głównej. Nielegalne artefakty zostały zgromadzone przez członków organizacji miejskiej i przeznaczono je do badań dla Tajnego Laboratorium Rządu Narodowego. Miały posłużyć do eksperymentów z mocą, tak by dało się ją wykorzystać do sprawy narodowej. Zniknięcie tego fragmentu nie powinno nic zmienić.

Władek założył robocze rękawice i uruchomił szlifierkę. Cóż takiego mógłby zrobić z tego strzępu metalu, by spodobało się Martynie? Nie był złotnikiem tylko robotnikiem, choćby pękł, nie zrobi z kawałka żelastwa diademem, broszy czy choćby wisiora. Przynajmniej niczego, co nadawałoby się do ozdoby i przypadło do gustu kobiecie. Poza tym nie na darmo Rząd Narodowy powierzył mu kierowanie powstańczą Intendenturą. Władek potrafił działać niezwykle pragmatycznie i twardo stąpał po ziemi. Postanowił, że spróbuje zrobić coś przydatnego i praktycznego.

Pochylił się nad pędzącym kołem szlifierskim i przyłożył do niego magiczny przedmiot. Obracał go z czułością i delikatnością, a strumienie iskier strzelały barwną fontanną spod szlifierki. Metal zgrzytał i syczał, koło tarło o niego wściekle i powoli z nieforemnej, podłużnej bryły zaczynał wyłaniać się kształt.

Praca ciągnęła się do późnej nocy, ale żaden ze stró-

zów nie zajrzał do warsztatu. Nie pierwszy raz któryś z robotników zostawał, by dokończyć pilną robotę. Władek spocił się jak mysz, moc trzeszczała w powietrzu, rozszedł się zapach migdałów i kurzu. Wreszcie prezent został skończony. Chłopak odłączył pas napędzający koło szlifierskie i znów dokładnie przetarł okulary. Dopiero potem podkręcił lampę gazową, by skąpać warsztat w jasnym świetle. Uniósł swoje dzieło i obejrzał je krytycznie.

W białym blasku jaśniało zakrzywione ostrze. Światło opalizowało na jego krawędziach, mutatio nieustannie sączyło się z nożyka ledwie widocznymi smugami mocy. Władek machnął nim na próbę. Kordzik przeciął powietrze z gwizdem, na chwilę zostawiając za sobą poblask, mikroskopijną ranę w rzeczywistości. Wystarczy teraz zamocować ostrze w rękojeści z gruszkowego drewna i stanie się wspaniałym prezentem dla dziewczyny z Powiśla – nigdy nietępiącym się, magicznym nożykiem do patroszenia ryb.

Dar może mało romantyczny, ale co tam, Martynie na pewno się spodoba!

*

Spiskowcy krzatali się przy zacumowanych u brzegu berlinkach. Przyświecali sobie dwiema lub trzema kamfinowymi latarkami. Choć zbliżała się wiosna, zmrok

wciąż zapadał wcześniej, co ułatwiało działalność wszystkim podziemnym działaczom i buntownikom. Ci krzątali się przy łodziach, ładując na nie ciężkie skrzynie. Marcelli przyglądał się powstańcom zza rogu na wpół zawalonej chałupy, stojącej u wylotu uliczki. Powoli żuł tytoń, co jakiś czas spluwał ze złością na ziemię. Starał się wypatrzyć, czy wśród garbiących się pod ciężarami sylwetek da się rozpoznać znajomą postać Włodka zwanego Okularnikiem. Dziś nadeszła na niego pora i drań skończy tam, gdzie jego miejsce – w zimnej celi X Pawilonu. Tam carscy oprawcy dobiorą mu się do skóry i za wszystko zapłaci. Przede wszystkim za wystawienie przyjaciela i podebranie mu dziewczyny.

Ile czasu upłynęło od wspólnej przechadzki nad rzeką? Może dwa tygodnie, a Martyna już nie chciała widzieć Marcelego. Woląta tego ślepego kreta, zdrajcę i wstrętnego szczura, przeklętego Okularnika. Niech go piekło pochłonie! Co też ten drań nagadał ślicznotce, że zamiast chodzić na tańce z najprzystojniejszym chłopakiem w mieście, woląta włóczyć się z tym kurduplem? Marcelli dobrze wiedział, że się z nim spotyka. Opłacił jednego smarkacza z dzielnicy, by nie spuszczał oka z Martyny. Miała schadzki z Władkiem i to coraz częściej. Raz nawet ten gnojek zabrał ją do cukierni!

Marcelli nie zamierzał jednak rezygnować, nie podda się tak po prostu, nie da sprzątnąć sobie sprzed nosa naj-

śliczniejszej dziewczyny w Warszawie. Nie przywykł przegrywać, a wrogów zniszczy z całą bezwzględnością. Okularnik, zdradzając go, podpisał na siebie wyrok.

– I co, zeszli się już wszyscy? – Na ramię Marcelego opadła ciężka ręka feldfebla żandarmerii.

Chłopak przytaknął nerwowo. Wydawało mu się, że jeden ze spiskowców nad rzeką ma na nosie okulary. To musiał być Władek, wszak sam dogadywał się z rybakami i umawiał ich pomoc.

Żandarmi przemknęli obok Marcelego, jeden z nich szturchnął go, nieomal przewracając w błoto. Pognali w dół uliczki, rozbiegli się w szeroki szpaler. Nagle nocną ciszę rozdarły policyjne gwizdki. Od strony Mariensztatu, na bruku załomotały kopyta jeźdźców. W stronę Wisły pognało kilkunastu kawalerzystów z pochodniami w rękach. Kozacy kubańscy! Teraz spiskowcy nie mieli szans, zostaną wyłapani co do jednego. Marceli zaśmiał się głośno, by zagłuszyć przerażenie i rosnące wyrzuty sumienia.

Spiskowcy cisnęli latarki do wody i rozbiegli się na wszystkie strony. Kilku wskoczyło do berlinek i odbiło od brzegu. W ciemności błysnęły żółte ognie z luf policyjnych pistoletów. Zagrzmiały karabinowe strzały, ktoś zawył z bólu, inny nieszczęśnik plusnął w rzekę. Kobięca

sylwetka przemknęła w świetle kozackich pochodni. Marceli wstrzymał oddech ze zgrozy. Tych ognistych loków nie dało się z niczym pomylić – to Martyna! Tylko nie to! Tylko nie ona! Dziewczyna pognała w ciemność, a za nią pogalopowało kilku kubańców. Dopadną ją w parę chwil. Marceli złapał się za głowę i krzyknął ze zgrozy.

Martyna podkasła sukienkę i pędziła ile sił, nie zważając na ostre gałęzie chłuszczące po nogach, rwące materiał i kaleczące boleśnie. Biegła wzdłuż brzegu, starając się kierować na Mariensztat. Jeśli dotrze do jednej z uliczek prowadzących w górę, zniknie w plątaninie ruder i labiryncie podwórek. Byle tylko udało się jej tam dobiec. Za plecami słyszała rosyjskie przekleństwa i śmiechy kozaków. Widzieli ją! Bawili się jej strachem, wiedząc, że i tak ją dopadną.

Dziewczyna ścisnęła mocniej papierowy rulon – dokument z powstańczą pieczęcią. Miała go przekazać do podpisania dowódcy oddziału, który odbierał broń. Skrzynie ładowane na berlinki wypełniały pruskie karabiny, mające trafić do buntowniczej partii. Martyna nadzorowała ich przekazanie w imieniu powstańczej Intendencji. Jeśli dokument wpadnie w łapy Moskali, ci poznają nazwiska powstańczych kwatermistrzów, kierujących z Warszawy zaopatrzeniem oddziałów.

Może podrzeć papier i strzepy cisnąć do rzeki? A

jeśli kozacy je wyzbierają? Jak odwrócić ich uwagę? Martyna dyszała coraz ciężej, potykała się na wertepach. Kubańcy też zwolnili, jechali stępa, odcinając ją od miasta, spychając do rzeki. Śmiali się. Któryś rzucił w dziewczynę pochodnią, tylko po to, by ją wystraszyć. Wiedzieli, że nie ucieknie.

Martynę dławiło rosnące przerażenie, panika ogarniała ją niczym zaszczute zwierzę. Czuła zapach końskiego potu, widziała odrażające, lubieżne uśmiechy na gębach Moskali. Zanim zaciągną ją do cytadeli, poużywają sobie za wszystkie czasy. Nahajkami porwą jej suknię na strzępy, a potem po kolei ulżą swoim chuciom.

Niespodziewanie omal wpadła na żelazne konstrukcje leżące przy brzegu. Tuż przed nią piętrzyła się sterta kamiennych kłoców, a wokół nich rosły drewniane rusztowania. Dobiegła do powstającego mostu Aleksandryjskiego, pierwszej stałej przeprawy przez Wisłę. Budowę przerwano po wybuchu powstania, most prowadził zatem ćwierć wiorsty w głąb rzeki i się urywał. Bez zastanowienia wbiegła na żelazną konstrukcję i pognała przed siebie, w ciemność. Kozacy z wesołymi okrzykami zeskoczyli z koni i pobiegli za nią.

Stała na końcu mostu i odwróciła się do przeciwników. Nieśli pochodnie, porykiwali i warczeli niczym dzikie zwierzęta. Martyna wepchnęła dokument za pazu-

chę, a z pochewki u pasa wyciągnęła nożyk. Prezent od Władka rozjarzył się i zaświecił białym blaskiem. Dziewczyna machnęła nim w powietrzu, zostawiając świetliste smugi, które przez chwilę tkwiły w przestrzeni, nim się rozwiały.

– Wiedźma – syknął któryś z kubańców.

Śmiechy umilkły w jednej chwili, w rękach kozaków pojawiły się kindżały i szable. Któryś wymierzył w Martynę z kawaleryjskiego karabinku. Za chwilę ją rozbroją i dopiero się zaczną. Władającą mocą Polkę potraktują znacznie gorzej, nie skończy się na gwałcie. Zadręczą ją, zakatują na miejscu. Przełknęła ślinę, ręce jej drżały. Kozacy zbliżali się krok za krokiem, błyskali wyszczerzonymi zębami.

Martyna obróciła nóż i pchnęła się prosto w serce. Po piersi rozszedł się ból, zmieszany z gorącym wdzierającą się mocą. Dziewczyna rozłożyła ręce i poleciała w tył, w czarną pustkę. Nim kozacy doskoczyli do krawędzi mostu, rozległ się plusk ciała wpadającego w toń.

Rzeka przyjęła krwawą ofiarę.

*

Dno nieustannie się zmieniało, z dnia na dzień łachy

piachu wynurzały się z Wisły, tworząc malownicze wysypki, które niespodziewanie, w ciągu jednej nocy, znikaly bez śladu. Płynizny zamieniały się w głębinę, nurt tworzył zakola i gwałtowne prądy, rwące lub zwalniające przy brzegach. Rzeka potrafiła wciągnąć w nurty nieostroznego pływaka, by nigdy go nie uwolnić, ale potrafiła też okazać łaskę i tworzyć brody, które mogło przekroczyć nawet dziecko. Wisła nadal pozostawała dzika i nieujarzmiona. Dawała życie, karmiła, ale potrafiła też niszczyć i zabijać. Ofiarę z młodej dziewczyny przyjęła z chęcią; już od bardzo dawna nikt nie traktował jej jak bogini i nie składał darów. Porwała ciało Martyny i uwięziła je na dnie, zaplątane w wodorosty, porastające wrak zatopionego szkunera.

Mijały dni, woda omywała ciało, zerwała z niego ubranie, oczyściła. Trup ciągle nie ulegał rozkładowi, nie napuchł od gazów gnilnych, rysy twarzy pięknej dziewczyny nie zmieniły się ani na jotę. Ostrze, tkwiące w jej pierś powoli rozpuszczało się w ciele, wnikało w zastygłą krew, pulsowało pchnięciami mocy. Martyna nasiąkała mutatio dzień po dniu, noc po nocy. Czynniki zmian deformował ją powoli, cierpliwie. Drewniana rękojeść noża odpadła i odpłynęła, magiczny metal całkiem wniknął w ciało. Rana na piersi zasklepiła się. Skóra nabrała zielonkawego odcienia, nogi połączyły się ze sobą i porosły łuską. Pod pachami kobiety utworzyły się skrzela.

W pierwszą noc pełni, kiedy światło księżyca przeniknęło wodne nurty, syrena wciągnęła w płuca pierwszy haust wody.

I otworzyła oczy.

*

Suche doki Warsztatów Żeglugi Parowej na Solcu zapępniały stalowe szkielety powstających kadłubów. Metalowe rusztowania niczym żebra żelaznych wielorybów mierzyły w marcowe, pogodne niebo. U stóp jednej z konstrukcji, która w przyszłości stanie się nowoczesnym paropływem, zebrała się trójka spiskowców. Okularnik przychodził do warsztatów od kilku miesięcy, podając się za rządowego posłańca. Na miejscu agitował robotników, rozdawał im ulotki i namawiał do przyjścia na tajne zebrania. Dziś przyniósł tu plik przedrukowanej odezwy Rządu Narodowego, który zamierzał przekazać jednemu ze skutników, pełniącemu funkcję dziesiątnika organizacji miejskiej. Traf chciał, że po drodze uczepiła się go przypadkowo spotkana Jasia, dziewczyna z Powiśla. Władek próbował ją przegonić, ale córka zaprzyjaźnionego rybaka i działacza powstańczego uparła się, by mu towarzyszyć. Twierdziła, że ma mu coś ważnego do powiedzenia.

Władek wręczył papiery skutnikowi, rozglądając

się przy tym nerwowo. Był wyraźnie spięty i przestraszony. Dziesiętnik wręczył mu w zamian listę nowo zwerbowanych robotników, chętnych, by przysłużyć się sprawie. Okularnik będzie musiał teraz przekazać ich nazwiska policji powstańczej, która dyskretnie sprawdzi delikwentów. Szkutnik zsalutował i odmaszerował niczym w wojsku. Władek westchnął ciężko i usiadł na stercie desek. Wyciągnął z kieszeni nadpalone do połowy cygaro i przypalił je trzęsącą się ręką. Jasia patrzyła na niego, nieco zaskoczona zachowaniem chłopaka. Od chwili tragicznej wpadki, w której zaginęła Martyna, młodzieniec bardzo się zmienił. Stał się nerwowy i podejrzliwy. Sam uszedł z zasadzki, ale nie mógł sobie darować, że nie upilnował ślicznej konspiratorki, którą sam wciągnął do ruchu. Mimo że upłynął już miesiąc od tragedii, stan Władka się nie poprawiał, chłopak wyraźnie obwinił się za prawdopodobną śmierć Martynty.

– Wyjaśniło się coś z moją sprawą? – spytała Jasia.

Władek wzruszył ramionami, patrząc przed siebie nieobecny spojrzeniem. Nie palił się, by spełnić zachciankę dziewczyny. Kolejna, której zamarzyło się uczestnictwo w walce, kolejna chętna do zostania bohaterską ofiarą. O nie, tym razem nie przyłoży do tego ręki. Nie weźmie odpowiedzialności, nie zarekomenduje jej na członkinię organizacji. Koniec. Wystarczy, że nie może

zapomnieć o Martynie; o tym, że pozwolił jej zginąć.

– Co ważnego chciałaś mi powiedzieć? – Unikał spojrzenia w oczy dziewczyny.

– Śledziło cię trzech drabów – oznajmiła spokojnie.
– Szłam za tobą od Placu Trzech Krzyży, widziałam, że cię śledzą.

Władek cisnął cygaro na ziemię, podrywając się na równe nogi.

– Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Po co w ogóle się tu za mną pchałaś?! – Złapał dziewczynę za ramiona. Powstrzymał się, by nią nie potrząsnąć.

– Nie dałeś mi dojść do słowa. – Wzruszyła ramionami. – Poza tym to nie byli żandarmi tylko szpicle, nie chcieli cię aresztować, bo byłoby ich więcej.

– Ech, głupia. O takich rzeczach trzeba od razu. – Machnął ręką. – Celowo się wystawiam, by sprowokować zdrajcę. Ktoś z mojego otoczenia donosi carskim, ktoś wydał nas w czasie operacji na rzece. Próbuje zmusić go, żeby znów uderzył, ale tym razem tylko we mnie. Rozumiesz? Nie chcę, by znowu zginął ktoś niewinny. Uciekaj do domu, no już!

Powietrze przeszył krótki gwizd. Władek sięgnął do kieszeni, rozglądając się na boki. Któryś z robotników dawał znak o niebezpieczeństwie. Pora uciekać. Tylko gdzie jest wróg?

– Tam są, to oni – syknęła Jasia.

Zza kotłowni wyszło trzech mężczyzn w czarnych redingotach i cylindrach. Szli szybkim krokiem, jeden z nich wyciągnął z kieszeni pistolet. Władek złapał dziewczynę za rękę i pociągnął za sobą. Pobiegli po molu, łomocząc na drewnianym podeście. Za portem w ogrodzeniu znajdowało się nielegalne przejście, używane czasem przez spiskowców. Za nim będą bezpieczni.

Przesadzili chaszczę i wpadli na błotnistą ścieżkę, kończącą się pod płotem. Okularnik złapał za jedną z desek i odchylił ją w bok, puścił przed sobą dziewczynę. Jasia przecisnęła się błyskawicznie, Władek dołączył do niej chwilę później. Uśmiechnęli się do siebie z ulgą i pobiegli dalej, ścieżką prowadzącą wzdłuż Wisły. Wypadli zza kępy drzew na łagodny brzeg z leżącą na piasku do góry dnem wąską łodzią. Siedział na niej Marceł w otoczeniu trzech żandarmów. Dowodzący nimi podoficer stał na ścieżce z obnażoną szablą w garści.

– Oto i nasze ptaszki – powiedział, uśmiechając się groźnie pod wąsem. – Łapy w górę! I nie ruszać się bez

pozwolenia!

Władek, widząc, że zdrajcą jest jego przyjaciel, nie zareagował zdumieniem, nie wpadł w stupor, nawet nie mrugnął. Wyciągnął z kieszeni niewielki rewolwer i wypalił do najbliższego żandarma trzy razy. Podoficer zgiął się w pół i zatoczył z bolesnym jęknięciem. Wpadł w szuwaru u brzegu i zaległ bez ruchu.

– Uciekaj! – Władek pchnął dziewczynę i wymierzył do zrywających się mężczyzn.

Wystrzelił ostatnie trzy pociski, ale wszystkimi chybił. Cisnął rewolwerem w nadbiegającego żandarma, chwilę potem oberwał pałką w twarz i runął na piach. Posypał się na niego grad kopniaków i ciosów drewnianymi pałkami. Jasia krzyczała z przerażenia i bólu. Szarpała się z trzymającym ją Marcelim. Zdrajca nie mógł pozwolić jej uciec. Gdyby rozniosło się, że to on donosi, szybko dopadnie go powstańcza policja lub sami Sztyletnicy. Oboje złapani musieli skończyć w cytadeli lub zginąć. Dziś dopełni się zemsta. Okularnik zapłaci za odebranie mu Martyny. Marceli z uśmiechem spojrział na katowanego przyjaciela, a potem wymierzył Jasi policzek. Dziewczyna upadła ze szlochom na piasek. Chłopak złapał ją z włosy i pociągnął w stronę rzeki. Pozbędzie się niewygodnego świadka od razu.

Nie przejmując się zimnem, wlaź do rzeki, wciągnął ofiarę za sobą, a potem wepchnął jej głowę pod wodę. Dziewczyna machała rozpaczliwie rękoma, wzbijając fontanny, miotła się, wściekle walcząc o życie. Marceli był jednak znacznie silniejszy. Oparł kolano o jej plecy i przycisnął jeszcze mocniej. Poczul falę euforii. W spodniach mocno uwierała potężna erekcja. Nie spodziewał się, że zabijanie będzie tak przyjemne.

Ruch w szuwarach dostrzegł kątem oka. Odwrócił głowę. I wciągnął powietrze ze zgrozy. Spomiędzy poźółkłych łodyg i liści wypełził potwór. Błada kobieta o burzy blond loków opadających na nagie ramiona. Jej pełne piersi o zielonych brodawkach ozdabiały girlandy wodorostów, biodra przechodziły płynnie w potężny, rybi ogon. Syrena w ręku trzymała szablę należącą do zabitego żandarma. Co jednak najbardziej przerażające, miała rysy twarzy zamordowanej przez kozaków Martyny.

Marceli puścił Jasię i rzucił się w tył. Próbował poderwać się i skoczyć do ucieczki, ale dno w tym miejscu okazało się niezwykle grzaskie. Syrena strzeliła ogonem i ruszyła do ataku, poruszając się niczym wodny wąż. Uniosła szablę nad głowę. Marceli zasłonił się odruchowo, ostrze rozrąbało mu rękę, zadzwoniło o kość przedramienia. Ryknął z bólu. Żandarmi przestali pastwić się nad Władkiem i ze zgrozą patrzyli na makabryczne widowisko. Syrena znów uniosła szablę, zachodzące słońce

zaświeciło w okrwawionym ostrzu i w burzy jej złotych włosów. Uderzyła. Raz, drugi, trzeci. Krew bryzgała z okropnych ran na rękach i ramionach zdrajcy. Wreszcie ostrze uderzyło go w twarz, odrąbało kawałek brody i ucho. Mężczyzna zawył niczym zwierzę. Kolejny cios strzaskał mu czoło i uciszył na wieki.

Żandarmi sięgnęli po pistolety. Syrena zwróciła się w ich stronę i otworzyła usta. Wypełniały je igły rybich zębów. Zaśpiewała wysokim, przesywającym głosem. Padły strzały, ale ołowiane kule nie uczyniły jej najmniejszej krzywdy. Trzepocząc ogonem, ruszyła w stronę brzegu. Pierwszy żandarm rzucił się do ucieczki, zasłaniając uszy. Syrena wypadła na piasek, ale nie zwolniła. Przerażeni Moskale pognali z wrzaskiem, byle dalej od koszmaru.

Martyna pochyliła się nad okrwawionym Władkiem. Ten uniósł głowę, patrząc na nią z zachwytem. Pocałowała go w usta. Zanim stracił przytomność, poczuł jej zimne wargi, pachnące rzeczonym mułem i migdałami.

*

Na początku kwietnia rozpoczęło się żydowskie święto Paschy, a Moskale szykowali się do prawosławnej Wielkanocy. W mieście zrobiło się świątecznie i nieco spokojniej. Zakazano kozakom upijać się i bić przechod-

niów, choć na wszelki wypadek zwiększono liczbę wojskowych patroli. Korzystając z ładnej pogody, w niedzielę warszawiacy ruszyli tłumnie, jak w spokojnych czasach, na Bielany i na drugą stronę Wisły, na Saską Kępę, gdzie roilo się od karczm i placów zabaw. Włodek, korzystając z wolnego dnia, zabrał tam Jasię.

W ogródkowym teatrzyku orkiestra rznąła skoczne walczyki, dzieciaki ganiały się z wrzaskiem między drzewami, jakiś wstawiony jegomość wspinał się po palu, na szczycie którego postawiono butelkę wina. Okrzykami i brawami zachęcała go do wysiłku grupa kompanów i licznych gapiów. Włodek rozłożył koc na szczycie wiślanej skarpy, Jasia wyciągnęła z koszyka dzbanek mleka, zawinięty w chustkę chleb i gotowane jajka. Jedli w milczeniu, uśmiechając się do siebie i spoglądając na łódki, krążące z pasażerami między brzegami rzeki.

– Ciągłe o niej myślisz? – Dziewczyna szturchnęła zamyślonego Władka.

– Nie mogę zapomnieć, że stała się tym czymś przede mnie – mruknął. – Zawsze, gdy widzę rzekę, przypomina mi się Martyna.

– Stała się jej częścią, a na to, w jaki sposób się to stało, miało wpływ wiele rzeczy. Zamordowali ją Moskale, a odmieniła moc.

– Ale to ja wciągnąłem ją do organizacji i ja dałem jej ten przeklęty nóż. Gdybym.....

Jasia uciszyła go, kładąc palec na ustach.

– Nie ma sensu gdybać. Stało się, widocznie tak musiało być. Bóg, szatan, moc, nieważne jak nazwiemy tę siłę wyższą. Pomyśl, że byłeś tylko wykonawcą jej woli, marionetką.

Władek westchnął ciężko.

– To ostatni raz. Nie zamierzam nigdy więcej stać się sprawcą czyjegoś nieszczęścia. Nieważne, świadomie czy jako wykonawca Bożego zamysłu. – Pokiwał głową. – Będę się pilnował. Muszę chronić ludzi, których znam, którzy mi ufają. Wolę zginąć, niż pozwolić, by znów ktoś przeze mnie cierpiał.

Niespodziewanie objął Jasię ramieniem i pocałował. Przyjęła jego pieszczotę z radością i ulgą. Tak długo na nią czekała.

Później, gdy wrócili na drugą stronę Wisły, Władek pomyślał, by dać Jasi jakiś wyjątkowy prezent. Przez chwilę zastanawiał się nad zrobieniem dla niej czegoś z kolejnego przedmiotu nasyconego mocą. Szybko jednak

odrzucił ten pomysł i za zaskórniaki kupił jej u żydowskiego jubilera srebrną broszę, przedstawiającą warszawską syrenkę.

*

Włodzimierz Lempke, ps. Okularnik, dotrzymał obietnicy: żeby w czasie śledztwa nie zdradzić i nie przyczynić się do cierpień towarzyszy, w chwili aresztowania przez carską policję popełnił samobójstwo.

Jak wiatr na stepie

Krew była słodka i metaliczna w smaku. Teofil odruchowo otarł rękawem rozciętą wargę i odczołgał się kolejnych kilka metrów. Zaległ w bezruchu, kiedy tuż obok jego głowy o suchą ziemię zadudniły końskie kopyta. Chłopak wtulił twarz w ostrą, pożółkłą od upału trawę. Twarde łodygi kłuły w policzki, ale i tak nie śmiał zmienić pozycji. Musiał wyglądać jak zwykły trup, jeden z żołdatów zastrzelonych z kirgiskiej mułtyki lub zadźgany piętnastopową piką, którą te dzikusy posługiwały się lepiej niż Kozacy swoimi spisami.

Pustowójtow po ojcu odziedziczył ponadprzeciętny wzrost i szerokie bary, i te cechy nieco wyróżniały go spośród leżących pokotem żołnierzy. Zatem jeszcze bardziej wtulił się w ziemię, by stopić się w jedno z tym przeklętym przez Boga stepem. Ledwie świtało, w półmroku jego granatowy szynel piechura mógł wyglądać na zalany krwią. Tylko te cholerne pagony z żółtym pasem podproporszczyka sugerowały, że trup należy do kadry oficerskiej i jest łupem na tyle cennym, by natychmiast odrzeć go ze wszystkiego, co ma przy sobie. Na szczęście śmierdziele zajęte jeszcze były mordowaniem niedobitków.

Jeździec, wyjąc wniebogłosy, pomknął dalej, pew-

nie goniąc jakiegoś nieszczęśnika. Teofil znów zaczął się czołgać, byle wydostać się poza pierścień namiotów, poza obóz, który w ciągu paru chwil zamienił się w śmiertelną pułapkę dla żołdatów z 96 Omskiego Pułku Piechoty i towarzyszącego im półszwadronu z 19 Archangielskiego Pułku Dragonów. Dzikusy spadły na równe rzędy namiotów i otoczoną wozami taborów prowizoryczną stajnię tak niespodziewanie, że warta nie zdążyła nawet podnieść alarmu. Żołdaci wybiegali ze schronień z białego płótna prosto pod kopyta kirgiskich koni i pod ostrza ajbałtów. Poustawiane w kozły karabiny pozostały niemal nietknięte, tylko kilku desperatów udało się dotrzeć do broni i stawić opór.

Teofil ocalał jedynie dlatego, że zamiast spać w namiocie, chrapał niedaleko ogniska, w krzakach, do których późnym wieczorem doczłapał na czterech, by zwymiotować wychlaną wódkę. Kiedy zerwał się, obudzony dzikimi wrzaskami bandytów i krzykami mordowanych żołnierzy, niemal od razu wpadł pod kopyta pędzącego wierzchowca. Leżał jakiś czas oszołomiony uderzeniem i ciągle wypełniającym żyły alkoholem, i dopiero po dłuższej chwili dotarło do niego, co się dzieje. Z przerażeniem patrzył na ubranych w ciemne chałaty i szpiczaste czapy dzikusów wycinających w pień carskie wojsko. W parę chwil rozbili w pył oddziały Jewo Wieliczestwa Cara Wszechrusi Mikołaja I! To było jak zły sen, jak coś abso-

lutnie niemożliwego.

Wysłano ich przecież z omskiej twierdzy, by przegonili bandę batyrów, złodziei koni, którzy w tradycyjnej barancie, czyli zbójeckiej wyprawie, nękali miejscowych Kirgizów. Rozpuszczenie po stepie kilku rot piechoty wspieranej pododdziałami jazdy miało być pokazem siły i sygnałem dla złodziejasków, by dali sobie spokój. Niczym więcej. Nikt nie spodziewał się, że piechurzy dopadną batyrów na tym nieskończonym pustkowiu. Nikt też nie spodziewał się, że ci obszarpańcy gotowi są stanąć do walki z armią imperium. Od czasów zbuntowanego sułtana Kenesarego, czyli niemal od dziesięciu lat, Kazachowie nie ośmielili się atakować Urusów, jak nazywali Rosjan. Za to stopniowo, rok po roku poszczególne auly składały hołd potędze carów i zostawały jego poddanymi. Co opętało tych dzikusów, by uderzyć na regularne wojsko?

Kolejny sążeń pokonał niczym stepowy wąż. Szybko, zygzakiem, niezauważony. Od kamienia do kępy trawy, jeszcze kawałek. Oby tak dalej. Krzyk tuż obok. Tętent. Podchorąży zamarł w bezruchu. Coś uderzyło go w żebra, wypchnęło powietrze z płuc. Noga jakiegoś uciekającego nieszczęśnika. Potknął się o Teofila. Sekundę później szerokie ostrze ajbałta uderzyło żołnierza w plecy, wbiło się głęboko, z głuchym jęknięciem. Kirgiz wrzasnął triumfalnie. Wyszarpnął broń w locie i pogalopował dalej.

Uciekinier runął z rozłożonymi rękoma. Piach wzbił się tumanem. Teofil spojrzął w jego twarz. Wytrzeszczone oczy, z których uchodzi życie. Krew wypływająca z rozchylonych ust. Nie patrzeć, odwrócić wzrok. Dalej, czołgać się jak wąż, pełzać. Kamienie tarły o brzuch, kaleczyły dłonie, suchy piach wdzierał się do nosa. To nic. Szybciej, szybciej.

Po nieskończonych minutach pierścień namiotów został z tyłu, chłopak mógł w końcu przyśpieszyć. W pewnej chwili poderwał się i schylony, na ugiętych kolanach przebiegł kawałek. W tej pozycji niezbyt wystawał nad wysoką trawę i mógł w każdej chwili zalec plackiem. Wstrząsały nim spazmy; przerażenie, jakiego nie zaznał w swoim życiu, dławiło i wyciskało łyzy. Byle tylko nie wpaść w panikę! Nigdy jeszcze się tak nie bał. Nigdy śmierć nie zajrzała mu w oczy. W jednej chwili marzenia o chwalebnej walce, o popisach odwagi na polu bitwy, wielkich czynach, wydały mu się głupie i nierealne. Liczyło się tylko to, by przeżyć. Uciec jak najdalej od koszmaru. Zatrzymał się i przykucnął. Dzikusy podpaliły namioty, wiatr poniósł smród spalenizny. Na tle bijącego w jaśniejące niebo ognia uwijały się konne postaci, któryś z bandytów okładał sjużem skulonego jeńca, kolejni zeskakiwali z koni i rzucali się do rabowania pokonanych.

Dniało. Nad stepem unosiła się luna wschodzącego słońca, które za chwilę zaleje morze trawy jasnym bla-

skiem. Batyrzy będą mogli przeszukać okolicę, by wybić ewentualnych uciekinierów. Teofil musiał odskoczyć jak najdalej, inaczej znajdą go i zamordują bez litości. Dzikusy z pewnością potrafią być niezwykle okrutni. Znow zaczął się czołgać. Trawa siekała mu twarz, pokaleczone ręce piekły, pył drapał w gardle. Jeszcze kawałek, a będzie mógł wstać i ruszyć biegiem.

Nie chciał tu zginąć, nie na końcu świata, nie teraz. Tyle nauki i wyrzeczeń, wpierrw Korpus Kadetów, potem elitarna Imperatorska Wojenna Akademia. Ostatni rok jako jeden ciąg koszmarów, kiedy oskarżono go o kradzież, nosicielstwo zepsutej krwi i omal nie relegowano z uczelni. Wszystko przez intrygi zawistnych kolegów, niemogących ścierpieć Polaka półkrwi, robiącego błyskotliwą karierę. Wreszcie, dzięki wstawiennictwu ojca generała, wyjazd do liniowej jednostki celem nabrania praktyki. Jednak zamiast przydziału do Pułku Szlacheckiego spotkało go karne, parszywe zesłanie gdzieś do Zachodniej Syberii. I to koniec? Głupia śmierć z ręki brudnego bandziora? Tfu, do stu diabłów! To nie może się tak skończyć! Miał wreszcie odbić się od dna, pokazać ile jest wart, zasłużyć na oficerskie szlify i rozpocząć prawdziwą wojskową karierę. Nie zdechnie w tym jałowym stepie.

Słońce uniosło się nad linię horyzontu; w tej niezbyt gęstej trawie będzie go widać jak na dłoni. Obejrzał się ostatni raz. Obóz nadal płonął, ale jakimś cudem step nie

zajął się od pożaru. Batyrzy w grupkach po kilku galopowali wokół pożeranych przez ogień namiotów, zwalniając przy zabitych i dźgając ich pikami. Szukali niedobitków. Teofil załkał z rozpacz. Tkwił zbyt blisko, nie odszedł nawet na pół wiorsty. Dopadną go prędzej czy później. Jeśli wstanie i zacznie biec, dojrzą go natychmiast, jeśli zalegnie w trawie, wypatrzą po jakimś czasie. Przeklęte miejsce. Żeby choć w pobliżu był jakiś zagajnik, jar, skalne złomowisko, cokolwiek, w czym można by się ukryć. A tu tylko płaski jak deska step, bez jednego drzewa, bez żadnej osłony.

Potrzebował czasu, by odczołgać się poza zasięg wzroku. Wystarczyłoby kilka, kilkanaście minut. Zagryzł pięść z bezsilnej złości. Może stanąć do walki? Z kilkoma na raz nie dałby rady, nigdy nie robił czegoś takiego. To zbyt niebezpieczne, ale jeśli nie będzie innego wyjścia...

W trawie niedaleko poruszyło się coś dużego. Teofil zamarł, wstrzymał oddech. Dobiegło go słabe jęknięcie. Człowiek! Szybko i bez zastanowienia chłopak podpełzł do miejsca, skąd dobiegały dźwięki. To był jeden z piechurów, feldfebel Korunow, któremu zresztą powierzono opiekę nad młodym podchorążym. Teofil nie przepadał za jowialnym grubasem z wąsiskami, traktującym go nazbyt protekcjonalnie. Kilka razy pozwolił sobie nawet na publiczne żarty z podopiecznego, a kiedy żołdaci śmiali się z

młodego podoficera, przyjacielsko poklepywał go po ramieniu. Poza tym był w porządku, nawet autentycznie starał się przybliżyć Teofilowi realia życia w twierdzy i umilić mu warunki służby. Teraz leżał ubrany jedynie w gacie i zakrwawioną koszulę, a głębkę paskudziła mu głęboka rana. Musiał oberwać toporem na długim stylisku, które Kazachowie i Kirgizi nazywali ajbałtami.

– Pustowójtow? – Uniósł się na łokciach, widząc podchorążego. – Teoś, job twoju mać, spadłeś mi z nieba. Pomóż, musimy ukryć się w jakiej dziurze i przeczekać.

Czas! Korunow ma tak potrzebny czas.

– Wara ci od mojej matki, bydlaku – warknął Teofil, odpychając rękę feldfebla.

Nie było wyjścia, zabierze staremu knurowi to, czego potrzebuje. On i tak jest już przecież trupem, nie zostało mu wiele czasu, a Teofilowi czas był tak bardzo potrzebny.

Zacisnął oczy, koncentrując się na kuli ognia pełgającej pod powiekami. Wciągnął gwałtownie powietrze i pchnął całą złość oraz strach w żarzącą się plamę w swojej jaźni. Ogień buchnął długimi, wijącymi się płomieniami przypominającymi ogniste węże. Teofil otworzył oczy. Czuł, jak żar w ciągu dwóch uderzeń serca wypeł-

nia mu żyły. Chłopak wyciągnął rękę do zaskoczonego Korunowa i oparł ją o pierś mężczyzny. Wnętrze jego dłoni natychmiast musnęła znajomy dotyk.

Zrobić to? Przecież to morderstwo, zabójstwo z zimną krwią. Teofil już jako dziecko dla zabawy odbierał czas psom i kotom, co zawsze kończyło się śmiercią ofiary. Nie łudził się zatem, że w tym przypadku stanie się inaczej. Ale jeśli nie okradnie feldfebla, obaj z pewnością zginą. Strach przed śmiercią był mocniejszy niż obawy przed użyciem mocy i świadomością robienia komuś krzywdy. Chłopak przestał się wahać.

Szarpnął, zabierając chciwie pęk czarnych i srebrnych węży, te natychmiast oplotły jego ramię i wpiły się w skórę. Przepływały po ręce chłopaka, gwałtownymi szarpnięciami opuszczały ciało feldfebla. Ofiara nie mogła widzieć odbieranej sobie mocy, ale poczuła niezrozumiałą stratę. Teofil nie próbował kontrolować węży czasu, pozwolił, by całe przeniknęły do jego ciała. Owinał się nimi; czuł, jak rozpełzły się, iskrząc i migocząc po jego skórze.

A potem świat zamarł. Powietrze zrobiło się lepkie i gęste, znów zapadł mrok, wrzaski batyrów wyciągnęły się i przeszły w basowe dudnienie, a po chwili ucichły. Wiatr przestał poruszać kłosami traw, step zastygł.

Teofil Teofilowicz Pustowójtow wstał niepewnie i spojrzął na swoje ręce. Iskierki wyładowań przepływały po skórze, kęsały, łaskocząc niegroźnie. Czas wydarty Korunowowi spalał się szybko, wycinał chłopaka z głównego nurtu i płynął dla niego znacznie prędzej. Galopujące w oddali konie zdawały się wisieć w powietrzu, wyprostowane sylwetki jeźdźców zastygły w bezruchu. Kopyta ospale dotknęły ziemi, wzbijając leniwie unoszący się kurz. Poza sferą otaczającą Teofila czas jednak płynął, choć kilkadziesiąt razy wolniej. Podchorąży odwrócił się plecami do obozu i ruszył biegiem.

Nie wiadomo, ile czasu zostało Korunowowi i jak szybko się wypali tak bardzo zagęszczony. Zanim jednak to się stanie, dla ewentualnych obserwatorów Teofil będzie mknął niczym wystrzelona armatnia kula; tak prędko, że ludzkie oko go nie dostrzeże. Jeśli mu się poszczęści, zdoła odskoczyć na kilka wiorst.

Trochę bał się konsekwencji, jakie poniesie za użycie mutatio, za wytworzenie lokalnej turbulencji rzeczywistości. Ale trudno, nie miał wyjścia, musiał zaryzykować. Gnał ile sił, brnąc w gęstym, stawiającym opór powietrzu, przebijając się przez twardą, chłuszczącą wściekle po łydkach trawę. Nie oglądał się za siebie, czas nagiął.

*

Krew wypełniła mu usta. Przewrócił się na bok i zwymiotował czarną, gęstą cieczą. Krztusił się i dławił obrzydliwym płynem wyrzucanym w bolesnych skurczach z żołądka. Z trudem podparł się rękami, by nie leżeć twarzą w wymiocinach. Płyn przypominał ropę, smolistą truciznę. Chłopak rzygał i dygotał cały, jak w febrze. Każda komórka ciała chciała wyrzucić z siebie toksyny, pozbyć się wspomnień o nienaturalnej energii, która niedawno ją wypełniała. Organizm rozpaczliwie próbował się oczyścić. Nic z tego. Nie sposób pozbyć się mutatio, czynnika zmian. Każdy odmieniec związany był z nim od urodzenia aż do śmierci. Dostawał się pod jego działanie jeszcze w życiu płodowym i wchłaniał je już na zawsze.

Oboroten, jak nazywali takich jak on Rosjanie, jeśli miał szczęście, mógł nosić swoje piętno w tajemnicy, do czasu kiedy wypełniająca go moc odbierała zmysły i wpychała w szaleństwo. Żaden człowiek nie mógł bezkarnie dysponować niemal boską potęgą. Ludzkie ciała i umysły nie zostały stworzone, by władać podobnymi mocami.

Teofil wiedział, że prędzej czy później i jego umysł spali się w strumieniach energii, wiedział, że i on skończy jak wszyscy odmieńcy. Próbował jednak walczyć z przekleństwem zepsutej krwi i niemal zupełnie nie używał mocy. Zmniejszył dzięki temu szansę, że wyda się jego

przynależność do mutantów, nie cierpiał przez fatalne efekty uboczne i nie ryzykował popadnięcia w szaleństwo. Minus był taki, że kiedy już zdecydował się kształtować czas, płacił za to wysoką cenę. Gdy moc go opuszczała, niewytrenowany organizm cierpiał, a umysł rozpadał się na kawałki.

– Nie wygląda to dobrze – odezwał się ktoś stojący nad Teofilem. – Tyfus, cholera? Może jakie zatrucie?

– Nawet jeśli chłopaka trawi zaraźliwa choroba i tak musimy go ze sobą zabrać. – Drugi mężczyzna stał kilka kroków dalej. – Nie ma sensu toczyć dysput, pora ruszać. Już kończy rzygać, bierz z drugiej strony, ładujemy go na wóz.

Teofil kaszlnął ostatni raz, splunął i przetoczył się na plecy. Miał wrażenie, że przełyk i żołądek wypaliły mu się na węgiel, usta wypełniał popiół zmieszany z kleistym, stopionym metalem. Z westchnieniem przetarł zaszawione oczy, głowę rozsadzał ból, w uszach szumiało. Czuł się jak po ciężkiej chorobie.

Dwaj mężczyźni złapali go pod ramiona, bezceremonialnie podnieśli i pociągnęli ze sobą. Jeden był zupełnie siwym pięćdziesięciolatkiem, o czarnych, zmęczonych oczach, głowa drugiego z kolei świeciła łysiną, a oczy wesołością świadczącą o pogodnym usposobieniu.

Obaj nosili bogato zdobione, semipałatyńskie chałaty i szerokie czambary obszyte barwnym jedwabiem. Mimo ewidentnie europejskich rysów twarzy, przyodziali się jak kazachska szlachta.

Zaciągnęli go do wielkiego tarantasa, rosyjskiego wozu z wysoką budą, zaprzęzonego aż w cztery konie. Obok, przy trzech wierzchowcach, stał skośnooki Kirgiz w czarnej kurcie i kołpaku na łbie.

– Tałaj, attan! – rozkazał mu łysy mężczyzna, a Kirgiz natychmiast wskoczył lekko na jednego z koni.

– Duży ten chłopak. – Drugi z mężczyzn wlaźł na wóz i próbował wciągnąć nań ślaniającego się Teofila. – Niech to cholera, do tego ciężki jak diabli.

– Czekaaj, Adolfie, pomogę. – Łysol uśmiechnął się, a zmarszczki na jego twarzy uwydatniły się, układając z uśmiechem w jeden wzór; widać mężczyzna był skory do okazywania wesołości.

Adolf pociągnął Teofila kościstymi, chudymi rękami. Chłopak domyślił się, że zmęczenie w jego oczach i nieco przygarbiona postawa musiały świadczyć o słabym zdrowiu lub ciężkiej chorobie, która go trawiła. Mimo to obaj starsi panowie energicznie załadowali młodzieńca na wóz i wepchnęli go pod osłonę budy.

Dopiero kiedy tarantas powożony przez Adolfa ruszył z miejsca, Teofil oprzytomniał na tyle, by zebrać myśli. Na chwilę nawet zapomniał o cierpieniu i aż potrząsnął głową. Uświadomił sobie właśnie, że dwaj przebiegawcy rozmawiali po polsku. Skąd tu Polacy, na wszystkie demony piekieł?! Czy nigdy się od nich nie uwolni?

– Pić – z szoku wychrypiał też po polsku. – Dajcie coś pić.

Miał ochotę ugryźć się w język, ale było już za późno. Pan Adolf aż podskoczył na zydłu i odwrócił się do rannego z błyskiem w oku. Teraz będą go mieli za swojego. Psia ich mać, cholerni Polacy.

– Słyszałeś, Wiktorze? – Machnął do kompana. – To nasz! Chłopcze, skąd się tu wzięłeś? Taki młody i już na Syberii? Ach, pewnie nie jesteś zesłańcem tylko żołnierzem. Znów jakaś branka była i wysłali młodzież na koniec świata? Żle się dzieje w Królestwie Polskim.

– Nie męcz chłopaka – wtrącił Wiktor, przejeżdżając obok wozu – wszystko nam opowie, jak dojdzie do siebie. Daj mu kumysu.

Adolf przytaknął kompanowi i sięgnął do tyłu po bukłak, rzucił go Teofilowi i uśmiechnął się dobrotliwie.

Chłopak drżącą ręką wyciągnął korek i upił tęgi łyk. Słodki napój śmierdział końskim potem i zepsutym mlekiem, pływała w nim sierść i paprochy, w dodatku był ciepły i gęsty. W pierwszej chwili stanął Teofilowi w gardle.

– Pij śmiało! – zachęcał go Adolf. – To kirgiska ambrozja, sfermentowane kobyle mleko, bardzo zdrowe i pożywne. Od razu postawi cię na nogi.

Faktycznie, w napoju czuć było alkohol. Po pierwszym, wstrząsającym łyku kumys okazał się całkiem niezły, właściwie gdyby tak mocno nie śmierdział koniem, można by nawet nazwać go smacznym. Najważniejsze, że przynosił wytchnienie i świetnie nadawał się do spłukania spalonych trzewi.

– Musicie mnie zawieść do Omska lub jakiejś okolicznej twierdzy – powiedział, kiedy oderwał się wreszcie od bukłaka. – Dzikusy zaatakowały mój oddział i wybiły go do nogi. Jakaś duża, dobrze zorganizowana banda. Podnieśli rękę na carskie wojsko, trzeba natychmiast o tym zameldować.

Polacy spojrzeli na siebie znacząco. Wiktor kazał dokładnie opowiedzieć, co się stało. Teofil krótko zrelacjonował przebieg starcia, rzecz jasna nieco zmieniając fragment o swojej ucieczce. Próbował zapanować nad

drzeniem głosu, chciał sprawiać wrażenie weterana, starego wygi, który nie jedną bitwę już widział. Odruchowo przyglądał swoje wypielęgnowane bokobrody, z których był bardzo dumny i które miały nadać jego młodzieńczemu obliczu powagi i srogości. Czarne, gęste włosy i mocny zarost odziedziczył po ojcu i z tego dziedzictwa był akurat w pełni zadowolony.

– Zaczęło się – mruknął Adolf, kiedy Pustowójtow skończył opowieść. – Jesteśmy spóźnieni.

– Musimy się pośpieszyć. – Wiktor skinął głową.

– Jak to? Nie odstawicie mnie do Omska, Irtuszuku albo Pietropawłowska?

– Jesteśmy o dobrych sześć dni drogi od najbliższego z tych miast. – Wiktor wzruszył ramionami. – Przekażemy cię jakiemuś patrolowi, jeśli na taki się natkniemy, lub Kirgizom, którzy odwiozą cię na miejsce. Nie możemy zawrócić, mamy ważną misję do wypełnienia.

– Co może być ważniejsze od bezpieczeństwa państwa?! – oburzył się Teofil. – Dzikusy mordują carskich żołnierzy, trzeba natychmiast ich powstrzymać! Ja wam rozkazuję natychmiast zawrócić! Słyszycie? Rozkazuję!

To mogła być jego życiowa szansa. Już wyobraził

sobie, jak w omskiej twierdzy staje przed generałem-gubernatorem Zachodniej Syberii, Leonidem Harfordem, i melduje o zdradzieckim ataku. Jako jedyny bohatersko wy dostał się z okrążenia, by najszybciej jak się da powiadomić dowództwo o buncie i tworzeniu się niebezpiecznych oddziałów dzikusów. Za poświęcenie i odwagę mógł mu się nawet dostać jakiś order. To byłby piękny początek wojskowej kariery, medal na pierwszym przydziale, jeszcze nawet przed mianowaniem na oficera. Sukinsyny, które go prześladowały w Akademii, popękałyby z zazdrości.

– Nieładnie nazywać lud kirgiski dzikusami – poważnie oświadczył pan Adolf. – To przyjacielscy, prości ludzie. Rozkazywanie nam też nie jest rozsądnym pomysłem, nic o nas nie wiesz. Nazywam się Adolf Januszkiewicz, jestem kancelistą u Pogranicznego Naczelnika Kirgizów Syberyjskich, w randzie radcy tytularnego. Moja ranga odpowiada stopniowi kapitana w wojsku. Pan Wiktor Iwaszkiewicz jest natomiast emerytowanym wojskowym w stopniu porucznika. Obaj jesteśmy więc wyżsi od ciebie stopniem, panie podchorąży.

– Poza tym wykonujemy zadanie wyznaczone nam przez najwyższe władze – dodał Wiktor. – Ochłoń lepiej, chłopcze, zresztą i tak jest już za późno, by dopaść tych batyrów. Znaleźliśmy cię przedwczoraj zupełnie pozbawionego świadomości, lałeś przed siebie, mamrocząc

coś pod nosem i nie wiedząc, na jakim świecie żyjesz. Możliwe, że błąkałeś się tak nawet ze dwa dni. Znaczy, że od ataku minęły już cztery doby. Bandyty mogą być już kilkaset wiorst dalej. Złapać Kazacha czy Kirgiza na stepie, to jak łapać wiatr w polu. Odpocznij lepiej, prześpij się, pogadamy później.

Teofil zamilkł i wbił wzrok w ziemię. Czuł, jak gorąco wypełnia mu żyły. Mógłby teraz bez wysiłku sięgnąć po moc i wyrwać tym polskim sukinsynom ich czas. Obaj padliby trupem, nie wiedząc nawet, co ich zabiło. Chłopak zacisnął pięści, walcząc z gniewem. Zapłaci im za poníženie kiedy indziej, teraz byli mu jeszcze potrzebni. Stopniowo uspokoił oddech i opadł na koce leżące na wozie. Na pace znajdowały się liczne tobołki i coś wielkiego, owiniętego szczelnie płótnem.

Swoją drogą ciekawe kto i po co wysłał tych dwóch przebierańców w step? I co takiego wieźli gdzieś na pustkowie?

Zasnął ukołysany miarowym kiwaniem się wozu.

*

Jechali aż do zmroku, potem Kirgiz o imieniu Tałaj rozstawił drewniany szkielet niewielkiej jurty i rozpiął na nim kilka krowich i baranich skór. Polacy rozpalili ogni-

sko z gałęzi znalezionego niedaleko suchego krzewu. Teofil poczuł się znacznie lepiej, choć ciągle był nieco rozdrażniony przez ból głowy. Czuł też pełgający w podbrzuszu niepokój, zalążek gniewu, który w każdej chwili mógł wybuchnąć gwałtownym płomieniem. To efekt uboczny korzystania z mocy. Mutatio rozżarzyło się i będzie go teraz dręczyło całymi tygodniami, będzie kusilo, wracało w snach i na jawie. Musiał zwalczyć je w sobie, inaczej oszaleje. Po raz kolejny uroczyście poprzysiągł w myślach, że nigdy więcej nie sięgnie po moc.

Usiadł przy ognisku i patrzył, jak Kirgiz rozstawia nad nim stelaż i zawiesza kociołek. Po chwili w naczyniu skwierczało jakieś mięso, pachnąc obłądnie. Teofil poczuł, jak ślina wypełnia mu usta, bał się, że z głodu zaraz zemdleje. Gotów był w tej chwili bez wahania zjeść wszystko, co przyrządzi ten brudny dzikus. Tymczasem pan Adolf wyciągnął z wozu samowar i zabrał się za rozpalanie węgielków. „Nieźle się wyekwipowali na tę wyprawę, będą pić herbatę na środku jałowego pustkowie” – pomyślał cierpko.

– Co za potworny upał – zagadnął do nich po polsku. – Myślałem, że dziś już nie dam rady. Jest tak sucho i bezwietrznie, że można się udusić.

– Nie spodziewałeś się takiej pogody na Syberii, co?
– Pan Wiktor uśmiechnął się. – Pamiętam swoje pierwsze

lato tutaj. Też byłem wstrząśnięty upałami. Moi bliscy, tam w Polsce, myśleli, że zamarzam w jakiejś wilgotnej norze na środku oblodzonej tajgi, a ja się gotowałem z gorąca na suchym jak pieprz stepie.

– Syberia to rozległa kraina – przytaknął pan Januskiewicz – zajmuje pół kontynentu. Mamy tu i wieczną zmarzlinę z białymi niedźwiedziami, i gorące pustynie, po których snują się Kirgizi dosiadający wielbłądów. Masz, chłopcze, jedz. To kanardyk, którego przyrządzenie nasz nieoceniony Tałaj opanował do perfekcji. Zraziki pływające w głębokim baranim tłuszczu. Co prawda Kirgizi używają żałośnie mało przypraw, w porównaniu do polskiej kuchni, ale można się przyzwyczać.

– Nie boicie się, że dzikus was otruje albo w nocy poderżnie gardła? – spytał Teofil, patrząc spode łba na skośnookiego mężczyznę siedzącego w kucki i wpatrzonego w kociołek.

– To nasz przyjaciel, a przyjaźń dla Kirgiza to rzecz święta. – Pan Wiktor pokręcił głową. – Poza tym Tałaj to nie byle kto, to nasz baszci, przewodnik. Był niegdyś bijem jednego z aułów i oczywiście barantowszczykiem, złodziejem koni. Zna cały step jak własną kieszeń, potrafi znaleźć tu jedzenie i wodę, a co najważniejsze nie sposób się z nim zgubić, wyczuwa kierunek jakimś dodatkowym zmysłem.

Tałaż wyszczerzył popsute zęby, słysząc, że rozmawiają o nim, i uklonił się głęboko. Teofil zauważył, że dzikus gębę ma upiękowaną licznymi bliznami; musiał naprawdę być starym awanturnikiem. W przyszłości należy traktować go nieco uprzejmiej, może się przydać, gdyby Polaków szlag trafił i trzeba będzie samotnie wracać do Omska.

Posiedzieli przy ogniu, pijąc herbatę i zajadając się baranią, która okazała się naprawdę smaczna. Niebo rozbłysło milionami gwiazd, co na płaskim polu ciągnącym się we wszystkie strony po horyzont wyglądało oszalamiająco. Niespodziewanie zaczął dmuchać suchy, ciepły wiatr, który poderwał tumany pyłu i piachu, zmuszając podróżnych do zakończenia wieczerzy i schowania się w jurcie.

Nocą Teofil śnił koszmar, w którym był Kirgizem galopującym w ciemności z całą hordą takich jak on, opętanych żądzą mordy szaleńców.

*

Rankiem pan Januskiewicz wręczył mu luźne, bufiaste spodnie i szarą kurtę niemal identyczną ze strojem Tałaja. Do tego dodał arakczyn, kirgiską jarmułkę haftowaną we wzorki. W pierwszej chwili Teofil nie chciał

słyszeć o przebieraniu się za dzikusa; był przecież rosyjskim żołnierzem, dumnym ze swego munduru. Nie założy zapchlonych, śmierdzących koniem szmat! Jeszcze spotkają carski oddział i co wtedy?

– Szybciej spotkamy kazachską watahę lub rodzinę Kirgizów – łagodnie tłumaczył pan Adolf. – Nasze zadanie wymaga dyskrecji, nie możemy się zbyt rzucać w oczy. Udajemy się w miejsce, gdzie odbywa się wielki zjazd aułów, coś w rodzaju sejmu. Rosyjscy żołnierze nie są tam mile widziani, szczególnie że zgromadzenie stepowych plemion i rodów zwołał syn sułtana Kenesarego Kasymowa, niejaki Kambarah. Wieść niesie, że poszedł w ślady ojca i zamierza rzucić wyzwanie imperium, chce zbuntować Wielką Ordę przeciw carowi.

– To jego dzikusy wymordowały moją rotę?

– Bóg raczy wiedzieć, ale obawiam się, że tak. – Januskiewicz skinął głową z powagą. – Przebierz się, bo utrudniasz nam zadanie. To ostatnia moja misja na Syberii, liczę, że jak ją wykonam, wreszcie zostanę ulaskawiony...

Niespodziewanie starszy pan rozkaszał się. Zasłonił usta i z wysiłku aż zgiał się wpół. Oczy zaszklily mu się, twarz wykrzywiła w grymasie bólu. Kiedy otarł usta, Teofil zauważył, że dłoń mężczyzny jest umazana krwią. Su-

choty! Ten chudy, smutny Polak umierał na gruźlicę.

Teofil bez dalszych dyskusji przebrał się za Kirgiza, swój mundur pieczołowicie złożył w kostkę i ukrył na wozie. Potem dosiadł luzaka, należącego do pana Adolfa i w dalszą drogę ruszył konno. Czuł się na tyle dobrze, by podróżować jak przystało oficerowi. Jechał zaraz za Tałajem, a po pewnym czasie ramię w ramię z baszci. Obserwował, jak przewodnik rozgląda się po stepie, węszy niczym pies i wpatruje to w horyzont, to w niebo, by wreszcie jakiś czas zwisać z siodła niemal z nosem przy ziemi. Dla Teofila step był tak jednolity, że absurdem wydała się sama myśl o tym, że Tałaj mógł coś w ogóle dostrzec. Pewnie wiódł tych durnych Polaków na manowce, przeganiał w tę i we w tę po pustkowiu, za sowitą opłatą, rzecz jasna.

Pożółkłe morze trawy momentami przechodziło w łagodne wniesienia i doliny, a wtedy Teofil miał wrażenie, że step faluje niczym prawdziwe morze. Niekiedy trawa całkiem znikwała i jechali po kamienistej, popękanej ziemi, wzbijając tumany kurzu. Od czasu do czasu mijali suche, skarłale drzewa, czasem krzewy. W południe zatrzymali się przy czymś w rodzaju rachitycznego strumyka obrośniętego krzakami czarnych porzeczek. Tałaj z Wiktorem rzucili się, by ich nazbierać, Adolf i Teofil napolili konie.

Cały czas panował bezwietrzny upał, dopiero pod wieczór na horyzoncie pojawiły się ciężkie, ciemne chmury. Kolację zjedli, siedząc w jurcie, o ściany której wściekle dudnił deszcz. Tym razem pili kumys, od którego język rozwiązał się Tałajowi. Okazało się, że po mlecznym alkoholu baszci jest niezwykle gadatliwy. Nieźle mówił po rosyjsku, w pewnym momencie zaśpiewał nawet ludową piosenkę o skowronku i sokole. Upodobał sobie Teofila i uraczył go kilkoma opowieściami o swoich koniach, a potem omówił ważniejsze z blizn zdobiących jego gębę. Z opowieści wynikało, że wszystkie rany odniósł, walcząc z barantowszczykami w obronie swoich stad i kobiet. W tej właśnie kolejności. Teofil szybko zorientował się, że dla Kirgiza koń jest znacznie ważniejszy niż wszystkie żony razem wzięte, łącznie z dzieciakami.

– A którą ranę oberwałeś, samemu chodząc na barantę? – spytał z głupia frant.

– Ja na barantę?! – oburzył się Tałaj. – Nigdy w życiu!

Wiktor parsknął śmiechem.

– Żaden Kirgiz nie przyzna się do kradzieży koni – powiedział do polsku. – Choćbyś go obdzierał żywcem ze skóry. Ani jeden, na całym tym stepie, nie jest i nigdy nie był barantowszczykiem.

Teofil uśmiechnął się uprzejmie, ale w duchu wzruszył ramionami. A cóż go obchodziły zwyczaje jakichś barbarzyńców i ich pokrętny sposób myślenia? Zresztą hipokryzja dzikusów niczym nie różniła się od hipokryzji cywilizowanych ludzi, była tylko trochę bardziej naiwna.

Ranek powitał ich upałem, tym razem wilgotnym i ciężkim. Zdawało się, że lepkie i gęste powietrze zawisło w miejscu. Pan Adolf poczuł się bardzo źle, bolała go głowa i miał duszności. Musiał zalec z tyłu tarantasa, a na zydłu woźnicy zasiadł pan Iwaszkiewicz. Teofil znów jechał ramię w ramię z baszci, który towarzystwo młodzieńca traktował bardzo przychylnie, nawet z własnej inicjatywy zaczął udzielać mu porad dotyczących hodowli koni i metod przeżycia na stepie. Chłopak awansował więc z przybłądy na ucznia przewodnika, z czego nawet był zadowolony, bo gadanina Kirgiza pozwalała mu zapomnieć o niepokoju i zarzącym się w umyśle gniewie.

Koło południa natknęli się ślady po aule, kirgiskiej wiosce. Obszerny plac wydeptano do gołej ziemi, do tego nosił liczne ślady ognisk i charakterystyczne okrągłe odciski po jurtach. Prócz wałających się końskich i baranich odchodów mieszkańcy nie zostawili niczego po sobie; wyglądało to, jakby wioska po prostu znikła.

– Stali tu od jesieni – podsumował Tałaj. – Zabrali

się jakiś tydzień temu i odjechali na wschód.

– W stronę uroczyska Ałdanu – dodał Wiktor. – Znaczy, że na wezwanie Kambaraha stawia się kto żyw w promieniu kilkuset wiorst.

– Podobno przybył na czele hordy Czarnych Kirgizów – powiedział Tałaj. – Nikt nie ośmielił się ich lekceważyć.

– Kim oni są? – zaciekał się Teofil.

– To wolny, na poły legendarny lud zamieszkujący góry Ała-taju, za krajem Dzite-su, po naszym kraju Siedmiorzecza – wyjaśnił pan Adolf, który poczuł się na tyle dobrze, że wyjrzał spod bezszmety, kirgiskiej baranej narzutki. – Są bardzo wojowniczy i okrutni, niezwykle wytrwali i zajadli w walce, nigdy przed nikim się nie ukończyli. Czarni Kirgizi to prawdziwi potomkowie Czyngis-chana. Skoro zeszli z gór, bardzo źle to wróży.

Teofil poczuł, jak w piersi wzbiera mu fala niepokoju, która po chwili rozlała się po całym ciele. Możliwe, że te dzikusy dopadły jego rotę i to im cudem wymknął się spod ajbałta. Nie chciałby znów ich spotkać, a wyglądało na to, że Polacy zmierzają prosto do jaskini lwa. Trzeba się w końcu dowiedzieć, po co właściwie tam jadą. Poczekał do obiadowego postoju i zajadając suchą końską

kielbasę z podpłomykami, próbował pociągnąć starszych panów za język. Niestety, pan Januskiewicz krótko uciął dyskusję, twierdząc, że nie może opowiadać o szczegółach ich zadania. Wyznał tylko, że to bardzo delikatna misja dyplomatyczna i może być kluczowa do zachowania pokoju na stepie.

Do wieczora jechali przez rozległą nieckę, która mocno nasiąkła wczorajszymi, gwałtownymi opadami. Trawa stała w rozległych kałużach, nad którymi aż roiło się od komarów i much, ostro dających się podróżnym we znaki. Na domiar złego w pewnym momencie wóz ugrzązł w błocie. Musieli zaprząć do niego wszystkie konie, wyładować toboły i wspólnymi siłami wypchnąć go z pułapki.

Na pace tarantasa został tylko ściskający lejce pan Adolf i wielki pakunek owinięty szczelnie płótnem. Ładunek znów mocno zaintrygował Teofila. Co takiego targają ci dwaj Polacy przez cały step?

– Może zwalmy to cholerstwo na ziemię? Po co ciągnąć tak wielki toboł? – zaproponował w ramach małej prowokacji.

– Nic z tego. – Wiktor pokręcił głową. – Ma zostać jak jest. I pchajcie delikatnie, by nie uszkodzić ładunku. Gotowi? Na trzy. I raz, i dwa, i trzyyy!

Pojazd zakołysał się i z młaśnięciem uwolnił koła z błota. Musieli teraz znów pracowicie go załadować, co trwało godzinę z okładem. Teofil miał wrażenie, że wypocił się jak nigdy w życiu, jego kirgiską kurtkę można było wyżymać. Wilgoć ciągle wisiała w nieruchomym powietrzu, a owady gryzły jak oszalałe. W międzyczasie zrobiło się późne popołudnie, a cała przygoda tak wszystkim dała w kość, że postanowili na dziś zakończyć podróż i rozbić obóz tam, gdzie stali. Starsi panowie zasnęli jako pierwsi, widocznie w ich wieku trudy obozowe dawały się bardziej we znaki. Teofil z Tałajem opróżnili ostatni bukłak kumysu, chłopak znacząco owinął się swoją beszmetą, sugerując, że nie ma ochoty na wysłuchiwanie opowieści baszci. Zmrok szybko pogrążył namiot w ciemności i pozbawiony towarzystwa oraz zajęcia Tałaj też padł na posłanie.

Teofil leżał z otwartymi oczami, wpatrzony w mrok. Nie mógł zasnąć mimo zmęczenia, poza tym bał się kolejnego koszmaru. Moc mutatio z pewnością również dziś da o sobie znać i wróci snami pełnymi przemocy i krwi. Chłopak przewalał się więc w nieskończoność po posłaniu, wreszcie zamarł, nasłuchując oddechów towarzyszy. Upewnił się, że wszyscy śpią i po cichu wymknął się z jurty.

Tymczasem na stepie zerwał się chłodny wiatr, któ-

ry rozgonił wreszcie nieznośną duszność. Teofil podniósł z ogniska jedną z żarzących się jeszcze żagwi i zapalił nią zabraną z namiotu podróżną oliwną lampkę zaopatrzoną w szklany klosz chroniący płomień przed deszczem i wiatrem. Wskoczył pod budę tarantasa i zabrał się za odwijanie płócien chroniących wielki pakunek. Nie szło mu łatwo, bo materiał został obwiązany sznurem, a Teofil nie miał noża, by go przeciąć, zresztą wolał nie zostawiać śladów. Wreszcie znalazł węzeł, po pociągnięciu którego sznur puścił. Jeszcze tylko kilka chwil mocowania się z pakunkiem i spod zwałów płótna wyjrzała błyszcząca lakierowanym na czarno drewnem, podłużna, wąska klapa.

Chłopak zbliżył lampkę i pochylił się, by lepiej widzieć. Uniósł wieko i wciągając ze zdumienia powietrze, przejechał dłonią po odsłoniętych klawiszach z kości słoniowej. Długi biały rząd prostokątów z dzielącymi je równomiernie krótszymi czarnymi. Naciśnięte lekko, wydały głębokie, choć stłumione dźwięki, dobiegające z przykrytego pudła. Nad klawiaturą błysnął stylizowany elegancką, łacińską czcionką napis: Bösendorfer.

– Wszyscy święci, ja chyba zwariowałem – mruknął Teofil. – To wiedeński fortepian.

*

Następnego dnia pogoda na stepie wróciła do nor-

my. Słońce prażyło niemiłosiernie, ziemia popękała z gorąca, końskie kopyta wzbijały tumany pyłu przy każdym kroku. Po niedawnych opadach nie było nawet śladu, pozółkła trawa wyglądała, jakby wyschła miesiące temu. Wóz posuwał się całkiem zwawo, niemal dorównując tempem wierzchowcom. Pan Adolf poczuł się lepiej i dziś już pewnie powoził, głośno pokrzykując przy tym na konie. Teofila znudziło towarzystwo nieco prymitywnego Tałaja, którego wywody o koniach stały się zbyt monotonne. Zwolnił i jechał jakiś czas tuż przy tarantasie.

– Długo mieszka pan na Syberii? – zagadnął Januskiewicza.

– Zbyt długo. – Suchotnik uśmiechnął się smutno. – Będzie ponad dwadzieścia lat, spędziłem tu niemal połowę żywota. I to wszystko przez grzechy młodości.

– Słyszałem, że nie wypada pytać skazańców o powód zsyłki. – Teofil zmarszczył brwi. – Nie chciałbym być niegrzeczny...

– To nie żadna tajemnica. – Pan Adolf wzruszył ramionami. – Wziąłem udział w zbrojnym buncie przeciw carowi, zresztą Wiktor walczył w tym samym zrywie. Jego Wysokość Mikołaj I łaskawie zamienił mi karę śmierci na pozbawienie szlachectwa i dożywotni pobyt na końcu świata.

Teofil aż podskoczył w siodle. No tak, ponad dwadzieścia lat, to zatem buntownicy z 1830 roku. Powstańcy listopadowi! Można było się spodziewać, że Polacy na Syberii to zdrajcy i buntownicy. Tylko jakim cudem Januszkiewicz, mimo wyroku, osiągnął tu tak wysoką rangę urzędniczą? A ten drugi nawet służył tu w wojsku. Dziwne, że władze okazały im taką łaskawość i możliwość robienia kariery. Buntowników należało po złapaniu powiesić; przecież zawsze będą stanowili zagrożenie. Teofil nie wierzył, że ci dwaj zapomnieli o tym swoim durnym patriotyzmie i od dawna są przykładnymi, wiernymi poddanymi, w dodatku godnymi zaufania tak dużego, by wysłać ich w dyplomatyczną misję.

Pewnie kłamią i naprawdę wcale nie reprezentują tu carskiej władzy, tylko knują coś paskudnego. Może to oni zbuntowali Wielką Ordę? Może chcą rozniecić kolejny bunt przeciw carowi? Gdyby udało się wykryć jakiś spisek, to byłoby coś! Młody podchorąży rozpracowuje siatkę buntowniczą i jednocześnie udaremnia powstanie dzikusów. Oficerskie szlify murowane, a może nawet audiencja u samego cara. To byłaby trampolina do pięknej kariery. Może zapomniano by o jego polskim pochodzeniu i umożliwiono szybkie, swobodne awansowanie? Zanim dojdzie do trzydziestki, zostanie pułkownikiem, a jak po drodze przytrafi się jaka wojna, to nawet szybciej. Sukinsyny z Akademii, szczególnie ten drań Zagriażskij,

pękną z zazdrości. A gdyby zostaną jego podwładnymi, dopiero im za wszystko odpłaci!

Z marzeń wyrwał go okrzyk Tałaja. Kirgiz wydarł się na całe gardło, a potem szarpnął wodze i zmusił konia do szybkiej jazdy po okręgu o średnicy kilku kroków.

– Co on wyprawia?

– To sygnał powszechnie rozumiany na stepach, gdzie człowieka widać z daleka, ale przez wiatr nie zawsze słyhać – wyjaśnił pan Adolf. – Pokazuje tym na wzgórzu, że ich widzimy i chcemy rozmawiać.

Z pobliskiego wniesienia puściło się w ich stronę kilkunastu konnych. Nawet ze sporej odległości nie wyglądali na Europejczyków. Teofil rozejrzał się nerwowo. Na wozie Polacy wieźli dwie strzelby, ale nawet po nie nie sięgnęli. Pan Adolf tylko uspokajająco skinął ręką.

Kirgizi, o szeroko rozstawionych, skośnych oczach, nosili ciemne chałaty i wysokie, białe czapy. Kiku w garści ścisnęło piki, inni mieli przewieszane przez plecy skałkowe strzelby – mułtyki. Zatem, jak na stepowe zwyczaje, uzbrojeni byli, jakby szykowali się na wojnę. Dla Pustowójtowa wyglądali identycznie jak bandyci, którzy wymordowali jego oddział. Zacisnął pięści, walcząc z paniką, kiedy dzikusy w pełnym galopie objeżdżały tarantas. Pan Witold powitał ich, krzycząc coś po kirgisku i

unosząc wysoko otwartą dłoń w pozdrowieniu. Jeźdźcy wreszcie się zatrzymali, dwaj z nich odbyli krótką rozmowę z Iwaszkiewiczem, ich skośnookie twarze po chwili wykrzywiły się w uśmiechach.

Teofil cały czas siedział nieruchomo w siodle, jak skamieniały. Czuł, jak w umyśle buzuje mu mutatio, omal nie wyrywając się na zewnątrz. Odetchnął dopiero, kiedy większość Kirgizów zawróciła konie i pomknęła z powrotem na wzgórze. Dwaj jednak zostali. Jechali powoli obok wozu, gadając z Tałajem i panem Wiktorem. Pan Adolf skierował tarantas w stronę wzgórza.

– Co się dzieje? – spytał Teofil.

– Jesteśmy na miejscu – odparł Januszkiewicz. – Wszystko będzie dobrze.

To ostatnie powiedział bardziej do siebie niż do chłopaka, co Teofil oczywiście zauważył. Jeszcze bardziej zaczął wiercić się w siodle. Nie spuszczał wzroku z dwóch uzbrojonych Kirgizów; ich żółte gęby wcale mu się nie podobały. Jego męki trwały dobre pół godziny, przez które wóz wspinał się na łagodny stok. Wreszcie wjechał na szczyt wzniesienia. Pan Adolf stanął na wozie, by lepiej widzieć roztaczającą się poniżej dolinę. Teofil ściągnął wodze z zaskoczenia.

– Uroczysko Ałdanu – oznajmił Januszkiewicz.

Poniżej rozciągało się morze jurt. Czarne, szare i, w głębi, białe namioty o owalnych kształtach zdawały się wypełniać ciasno całą dolinę. Były ich całe setki, może

nawet tysiące. Między nimi kłębiły się stada owiec, kóz, krów i końskie tabuny. W górę unosiły się dymy licznych ognisk, nawet z daleka dobiegał podróźnych gwar tysięcy ludzi, śmiechy i okrzyki. W środku zgromadzenia błyszcząca powierzchnia sporego jeziora otoczonego zaskakująco zielonymi drzewami i krzewami. Pomiędzy jurtami w tę i w tę galopowały gromady kolorowo poprzebieranych Kazachów i ubranych w jednolite chałaty Kirgizów.

Po wielu dniach na zupełnych pustkowiach Teofil wytworzył sobie w umyśle obraz stepu jako całkiem bezludnej krainy, dlatego widok tego wszystkiego był dla niego prawdziwym szokiem. Dłuższy czas nie mógł odebrać spojrzenia od metropolii. Dopiero kiedy dotarli na dół i wóz wtoczył się między pierwsze namioty, ochłonął nieco i z ciekawością przyglądał się miejscowym.

Przy pierwszych jurtach siedziała gromada kobiet otoczona czeredą półnagich dzieciaków. Kirgizki zajmowały się wspólnym obszywaniem koszmy, wełnianej derki z wielbłądziej lub owczej wełny. Wszystkie ubrane były niedbale, w rozchełstane koszule i postrzępione, brudne kiecki. Dwie z nich, rozebrane do pasa, bez śladów skrępowania uśmiechały się szeroko do wstrząśniętego widokiem ich nagich piersi Teofila.

– Nasłuchasz się pewnie jeszcze, chłopcze, niebywałych historii o rozwiązłości tutejszych kobiet – odezwał się pan Adolf. – Uważaj jednak z kosztowaniem ich

wątpliwych wdzięków, choć łatwo po nie sięgnąć. Mieszkańcy stepów traktują swoje żony niczym psy, ale potrafią być o nie śmiertelnie zazdrośni. Wiktor miał swego czasu bliską znajomość z najmłodszą żoną pewnego sułtana. Kiedy dziewczyna powiła dziecko i okazało się, że mały Kazach ma błękitne oczy i jest kropka w kropkę podobny do imć Iwaszkiewicza, nasz drogi kompan o mało nie przypłacił chwil słabości życiem.

– Całe szczęście stary Bibij był moim przyjacielem i w porę się opanował, a miałem już jego nóż przy gardle – parsknął Wiktor. – Uznał syna, który ma teraz piętnaście lat i pewnie szykuje się do przejęcia schedy po ojcu. I tak oto w jednym młodym sułtanie płynie polska krew.

Śmiech pana Wiktora był tak zaraźliwy, że Teofil natychmiast mu zawtórował, ku swojemu zaskoczeniu całkiem szczerze. Wóz tymczasem obskoczyła chmara dzieciaków, które domagały się czegoś po kirgisku i kazachsku, wtrącały też pojedyncze rosyjskie słowa. Pan Adolf sięgnął do swojej sakwy i szerokim gestem rozrzucił wokół garść karmelków. Dzieciaki zostawiły wóz w spokoju i z krzykiem rzuciły się do zbierania, wyraźnie ukontentowane otrzymanym haraczem. Januskiewicz wyjaśnił mu, że zostali wzięci za bogatych kazachskich kupców z rosyjskiego pogranicza i lepiej się tego trzymać do chwili, kiedy będą mogli wystąpić przed zgromadzeniem.

Wóz minął szeregi czarnych jurt należących do bie-

doty, przebił się przez dwa stada owiec i wjechał w rejon, w którym pojawiły się szare i białe jurty należące do lepiej sytuowanych Kazachów i ich przywódców. Znaleźli wreszcie kawałek miejsca, na którym mogli się zatrzymać i rozstawić swój namiot. Teofil zauważył, że kobiety bogatszych dzikusów nie chodziły półnago, ale wystrojone i barwne jak stado papug. Ich chałaty mieniły się jedwabnymi obszyciami, większość na głowie nosiła białe czadry lub pstre kołpaki. Nawet bawiąca się w końskie gonitwy młodzież była znacznie lepiej ubrana, a same konie miały bogate rzędy.

Teofil starał się nie spuszczać oka z obu Polaków, ale ci nie sprawiali wrażenia zajętych spiskowaniem. Uwadze chłopaka nie umknęło jednak, że wysłali gdzieś Tałaja. Kirgiz zabrał konie nad jezioro, żeby je napoić, i nie pojawił się aż do wieczora.

Wraz ze zmierzchem gigantyczne obozowisko rozbiły setkami ognisk, przy których zbierała się biedota. Teofil wraz z dwoma starszymi panami udał się na przyjęcie do jednej z wielkich, białych jurt, która należała do sułtana Asjela. Kazachski dostojnik, gruby, potężny mężczyzna ubrany w oszałamiający mantyk wyszywany w srebrne i złote smoki, zaprosił na kolację także wszystkich podległych mu bijów. Obszerny namiot pełen był zatem wystrojonych w kolorowe chałaty arystokratów, którzy gadali, śmiali się i kłócili wniebogłosy.

Teofil został wepchnięty w kąt namiotu, skąd obserwował wszystko coraz bardziej oszołomiony. Powietrze wypełniły chmury dymu z fajek i skwierczącej w węglach pieczeni z baranich piersi. Harmider przycichał tylko na chwilę, kiedy głos zabierał siedzący na wysokim wojułoku sułtan Asjel. Teofil i tak nie rozumiał ani słowa, jazgot coraz bardziej działał mu więc na nerwy. Zjadł zupę szorpo i kawał pieczeni tusiuk, wypił kilka kubków kumysu, ale wcale mu się od tego nie zrobiło weselej. Zaczekał się dopiero, kiedy przemawiać zaczął pan Witold, a potem parę słów powiedział Januszkiewicz, po czym wstał i wręczył Asjelowi szablę o rękojeści wysadzanej kamieniami i pochwie inkrustowanej złotem. Sułtan przyjął dar i powiedział kilka zdań, które wzbudziły pomruk zadowolenia wśród bijów. Świadczyło to, że Polacy cieszą się wśród Kazachów sporym szacunkiem. Pan Adolf natychmiast sięgnął do przyniesionego wora i wydobyl z niego prezenty dla bijów – piękne fajki o cybuchach ze srebrnymi obręczami.

– O co tu chodzi? – nie wytrzymał Teofil, kiedy chwilę później sułtan swoim oświadczeniem wywołał szmer oburzenia i tłumionego gniewu.

– Zapewniliśmy Asjela o tym, że jego ród i wszystkie auly mają pełne poparcie i opiekę cara. Imperium Rosyjskie dziękuje mu za wierność i oddanie, podległe mu

plemiona są mile widziane w naszych miastach i fortach, mają nieograniczone prawo do kupna i sprzedaży towarów na naszym terenie – wyjaśnił pan Adolf. – Sułtan przyjął prezent, który mu wręczyłem w imieniu cara Mikołaja, i zapewnił o swoim nieustającym oddaniu. Potem oświadczył, że w czasie zgromadzenia stanie przeciw Kambarahowi, który zamierza ogłosić się chanem i będzie żądał od sułtanów złożenia mu wiernopoddańczej przysięgi.

– Chanem? Chanat został zniesiony.

– No właśnie. Ogłoszenie się chanem będzie automatycznie wypowiedzeniem wojny Rosji. Kambarah chce poprowadzić Wielką Ordę przeciw imperium, możliwe, że planuje też zbuntowanie Małej i Średniej Ordy. – Januskiewicz westchnął. – Zamierza utworzyć tu niepodległe państwo, do czego nie możemy dopuścić. Zagroziłoby to mocarstwowej polityce cara, osłabiło Rosję na całym Dalekim Wschodzie, a może całkiem ją z niego wyparło i, co najważniejsze, odcięło jej szlaki handlowe do Chin. Nie wspominając, jaką ujmą na honorze i dumie cara byłoby dostać lanie od bandy brudnych koniokradów.

– Próbujecie do tego nie dopuścić? – zdumiał się Teofil.

Nie mieściło mu się w głowie, że dwaj polscy ze-

słańcy byli wierni Rosji i działali dla jej dobra, a nie knuli przeciw imperium, o co ich podejrzewał.

– Jak widzisz – przytaknął pan Adolf. – Mamy niewiele czasu, nim nastąpi finał zgromadzenia. Musimy do tej pory umocnić wpływy cara podarunkami i przekabacić niezdecydowanych. Kazachowie i Kirgizi sami powinni pozbyć się Kambaraha, inaczej step spłynie krwią.

Teofil zamilkł zaskoczony postawą i faktyczną misją zesłańców. Chyba że Januszkiewicz kłamał i tak naprawdę obaj buntowali dzikusów przeciw carowi; przecież nie sposób się domyślić, o czym właściwie rozmawiają. Z drugiej strony, skąd wzięliby cały wóz kosztownych prezentów?

Wreszcie chłopak nie wytrzymał i wyśliznął się z jurty. Odetchnął z ulgą świeżym powietrzem. Harmider, zaduch, tytoniowy dym, zapach baraniego łoju, koniny i przypalonego mięsa były już nie do zniesienia. Powłókł się w stronę swojej jurty, ale niespodziewanie drogę zastąpił mu Tałaj, który niemal siłą zaciągnął go do jednego z ognisk. Chłopak dostał w rękę bukłak kumysu i musiał znieść poklepywanie po plecach przez właśnie zapoznanych licznych kumów i przyjaciół baszci. Biedota bawiła się równie intensywnie co arystokracja, w dodatku w towarzystwie kobiet i dzieci. Jazgot powstawał przez to znacznie większy, ale było też weselej i bardziej beztro-

sko niż w namiocie sułtana.

W pewnym momencie do ogniska dosiadł się ulanczi, kirgiski bard wyposażony w mandolinę o absurdalnie długim gryfie i tylko dwóch strunach. Łapczywie opił się mlecznego alkoholu, ugryzł kilka kawałów koniny i zabrał się za śpiewanie. Brzdąkał nieskładnie na instrumencie i zawodził jakąś, sądząc po reakcji słuchaczy, zapierającą dech w piersiach opowieść. Teofil poczuł przyjemną błogość, kumys roz płynął się w jego żyłach, całkiem wypierając niepokój i gniew.

– O czym on śpiewa? – spytał Tałaja, ale baszci zajęty był akurat szeptaną rozmową z brodatym Kirgizem i nie usłyszał pytania.

– O upadku Złotej Ordy i narodzinach narodu Kazachów, czyli po naszymu wolnych ludzi – płynnym rosyjskim odpowiedziała jakaś kobieta.

Teofil odwrócił się do niej gwałtownie. Siedziała na ziemi i opierała brodę o podkulone kolana. Była znacznie od niego starsza, z pewnością grubo po trzydziestce, a mimo to wyglądała całkiem atrakcyjnie. Niezwykłe oczy o bardzo jasnych, niemal białych tęczówkach nadawały jej szczupłej twarzy wyraz tajemniczości. Egzotykę urody nieznanym podkreślały ciemne włosy, zaplecione w dziesiątki warkoczyków opadających na ramiona i

upstrzonych kolorowymi kamykami. Ubrana była skromnie, ale zaskakująco czysto jak na step. Nieruchomym wzrokiem patrzyła w ogień.

– Miło spotkać kogoś znającego rosyjski. – Teofil uśmiechnął się. – Gdzie nauczyła się pani mojego języka?

– Nie wypada pytać nieznajomą o szczegóły z jej życia – wzruszyła ramionami, ciągle nie obdarzając chłopaka nawet jednym spojrzeniem. – To tak jakbym zapytała cię, w jaki sposób tak dobrze opanowałeś sztukę krycia pogardy i gniewu. Siedzisz tu z nami i uśmiechasz się, ale w środku jesteś pełen niechęci. Masz nas tylko za bandę dzikusów, żołnierzu.

Teofil poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Skąd wiedziała? Tak łatwo dawał się przejrzeć? Z drugiej strony pewnie wyglądał na żołnierza z postawy i zachowania, a tego, że nimi pogardzał, można się było domyślić. Każdy, kto niedawno przybył do Zachodniej Syberii, miał miejscowych za dzikusów. Kobieta zaintrygowała go jednak na tyle, że puścił jej niegrzeczną uwagę mimo uszu i przymilnie poprosił o przetłumaczenie ballady śpiewanej przez ulanczi. Kazaszka opowiedziała mu więc o końcu imperium Czyngis-chana i wyłonieniu się z niego Wielkiej, Średniej i Małej Ordy. O czasach ich świetności, kiedy step należał do wolnych ludzi, swobodnie wędrujących i żyjących w zgodzie z Allachem, czy jak wola z bo-

gami stepu. I o stopniowym upadku, kiedy pojawili się tu Urusi. O powolnym podboju i panoszeniu się Europejczyków, o końcu wolności i stopniowym uleganiu władzy carów.

– Kambarah chce znów uwolnić step – zauważył chłopak.

– Utopi go tylko we krwi. I to w naszej krwi. – Kobieta westchnęła. – Rosja jest zbyt potężna, by rzucić jej wyzwanie. Jeśli się zbuntujemy, przybędą tu tysiące zbrojnych w karabiny żołnierzy, zbudują forty i najeżą ich mury armatami. Wybiją wolne ały jeden po drugim.

– Musicie go powstrzymać.

– Ma zbyt wielką władzę, do tego jest potężnym czarownikiem. – Pokręciła głową. – Musi znaleźć się śmiałek, który nie ulegnie mocy Kambaraha, rzuci mu wyzwanie i go zabije. Wśród Kirgizów i Kazachów nie ma nikogo takiego.

Zapadła cisza.

– Widzę w tobie moc – odezwała się niespodziewanie i po raz pierwszy skierowała swoje niezwykle jasne oczy prosto na Teofila. – Tylko ty możesz to zrobić. Czuję twój gniew, rozpala go gorąco zepsutej krwi płynącej w

twych żyłach. Jesteś jednym z nich, jednym z przeklętych, oborotenem. Widzę twoje ścieżki. Jeśli wybierzesz odpowiednią, sądzony jest ci los wielkiego wojownika, będziesz nurzał się we krwi wrogów, ale i swoich braci. Będziesz zdradzał i zabijał niewinnych, kłamał i czynił niebywale zło, ale będziesz też zawsze zwyciężał. Osiągniesz wielką potęgę, ale pod warunkiem, że wejdiesz na ścieżkę mocy. Rzuć wyzwanie Kambarahowi, zabij go, a tak się stanie.

Teofil patrzył w niemal białe tęczęwki Kazaszki i próbował zapanować nad drżeniem rąk. Mutatio szumiało mu w żyłach, rozsadzało czaszkę. Zamknął oczy i odchylił głowę w tył. Oddychał spokojnie, by zapanować nad rodzącą się furią. Co miała znaczyć ta przepowiednia? Kim była ta kobieta, w jaki sposób rozbudziła w nim moc? Czekala go wielka przyszłość? Pewnie. Ale tylko jeśli będzie używał swojego piętna, jeśli nie wyrzeknie się zepsutej krwi. Akurat. Dość tych kłamstw! To tylko bzdury plecione przez szamankę, dziką wiedźmę, która opila się wywaru z ziół sprowadzających omamy. Ale skąd o nim tyle wiedziała, w jaki sposób go przejrzała? Trzeba natychmiast ją przesłuchać!

Kiedy otworzył oczy, kobiety już nie było.

*

Zgromadzenie rozpoczęło się dwa dni później. Rankiem, kiedy już muezini wykrzyczeli nawoływanie adhan i przed jurtami odmówili modlitwy, przez obozowisko przegalopowali jeźdźcy, wrzeszcząc coś na całe gardło. To Kambarah wzywał arystokrację i wszystkich ciekawych na wydzielony plac nad jeziorem. Pan Adolf z przejęcia rozkaszał się tak bardzo, że musiał na chwilę się położyć. Witold natychmiast zarzucił na ramiona semipałatyński, pięknie wyszywany chałat i wcisnął na głowę kolorową myckę przeznaczoną na odświętne okazje. Tałaj znikł gdzieś i musieli obyć się bez przewodnika. Januszkiewicz był bardzo zdenerwowany, zdradził podtrzymującemu go Teofilowi, że spodziewał się zgromadzenia najwcześniej za tydzień, kiedy do uroczyska ściagną auły z dalszych części stepu.

– Przez to nie zdążyliśmy wypełnić misji – jęknął z boleścią. – Zostało nam kilka worów prezentów, które miały trafić do kilkudziesięciu bijów i kilku sułtanów. Udało się nam spotkać tylko z czterema, z czego ostatni nas wykpił i przegonił. To klęska, nie będzie kto miał postawić się Kambarahowi.

Tłumy Kazachów i Kirgizów zmierzały śpiesznie na wyznaczone miejsce, zapowiadało się niezwykle widowisko i każdy chciał je zobaczyć. Teofilowi udzielił się nastrój wyczekiwania i niepokoju – dziś wszystko się rozstrzygnie. Step zapłonie wojennym ogniem, barbarzyńcy

rzucą wyzwanie imperium i ruszą do ataku na twierdze w Omsku i Pałatyńsku.

Zgromadzenie odbywało się w niecce otoczonej z trzech stron wzniesieniami i zamkniętej jeziorem. Plac znajdował się w dole niczym scena amfiteatru, wzniesienia zamieniły się zatem w trybuny pełne widzów. Im bliżej „sceny”, tym ludzie byli barwniej i kosztowniej ubrani. Sam plac otaczały wojłoki, stepowe trony, na których zasiedli sułtani. Towarzyszyły im niewielkie świty zbrojnych i pierwsze żony wystrojone jak damy na bal. Każda nosiła na głowie wysoki saukl – kapelusz w kształcie głowy cukru obsypany drogimi kamieniami, perłami i złotymi monetami. Stroje i powaga zebranych świadczyły o najwyższej randze spotkania.

Trzej Europejczycy przepchnęli się na sam dół i zostali zatrzymani dopiero przez przybocznych sułtanów. Cały tum falował i huczał tysiącami podekscytowanych głosów. Słońce wspinało się szybko po niebie, zbliżało się południe. Na szczęście upał łagodziły mocne poddmuchy wiatru. Wszyscy czekali.

Kambarah wjechał na plac konno, towarzyszyło mu kilkudziesięciu ubranych w ciemne chałaty i uzbrojonych po zęby Kirgizów. Samozwańczy chan nosił na głowie wysoki turban imitujący nakrycie głowy samego Czyngis-chana. Był niewysokim, raczej niepozornym młodym

mężczyzną z cienkim wąsikiem i pryszczatą twarzą. Wyglądał niezbyt imponująco przy swojej groźnej obstawie. Nawet Teofil nie miał wątpliwości, że otaczający go zbrojni to owi osławieni Czarni Kirgizi. Chłopak wstrzymał oddech, widząc, czym przyozdobione są ich piki. Każdy z dzikusów dzierżył długą włócznię, przy grocie której uwiązano za włosy po trzy, cztery ludzkie głowy. Ich jasna cera świadczyła, że to Urusi.

Pustowójtów w pierwszej chwili poczuł falę strachu, uświadamiając sobie, że to pewnie głowy jego towarzyszy z roty i jak niewiele brakowało, by i jego czerep dyndał przyczepiony do drzewca. Po chwili jednak wypełnił go czysty gniew, zamieniający krew we wrzącą ciecz. Jak ci synowie kurew śmieli bezcześcić zwłoki carskich żołnierzy i jeszcze się z tym obnosić?! Niechby tylko mógł jakoś im za to odpłacić...

Kambarah tymczasem wspiał się na wojłok umieszczony na drewnianym postumencie, do którego prowadziło kilka stopni. Kilku Kirgizów stanęło za jego plecami i skrzyżowało mu nad głową piki z makabrycznymi trofeami. Chan przemówił mocnym głosem, który wypełnił całą dolinę. Z pewnością był dobrze słyszany przez wszystkich obecnych. Przemawiał długo w swoim pogańskim języku, a tłum reagował na jego słowa coraz żywiej. Musiał przerywać, by radosne okrzyki umilkły.

– Mówi o odrodzeniu narodu Kazachów, o drzemiącej na stepach i w górach nieujarzmionej potędze i o konieczności przegonienia najeźdźców – tłumaczył pan Adolf, drżącą ręką ocierając pot z czoła. – Przedstawia siebie jako potężnego wojownika, urodzonego przywódcę i wybawiciela narodu. Twierdzi, że tylko on jest nadzieją na przyszłość, tylko on zapewni Kazachom wolność i dobrobyt.

Chan skończył przemowę i oddał głos sułtanom; wyraźnie oczekiwał od nich przysięgi wierności. Jako pierwszy poderwał się ze swojego tronu sułtan Ajsel. Potężny mężczyzna ubrany w piękny, wyszywany w smoki strój wyglądał dostojnie i groźnie. Zagrzmiął na Kambaraha, unosząc w niebo zaciśniętą pięść. Przemawiał długo i początkowo jego słowom towarzyszyły groźne pomruki tłumu i nieliczne okrzyki zachęty popleczników. Żaden z sułtanów jednak mu nie zawtórował, wszyscy czekali. Potem zrobił się harmider, ktoś zaczął wrzeszczeć, wśród widzów doszło do przepychanki, gdzieś nawet wybuchła bijatyka. Kambarah poderwał się z wojuku i jednym okrzykiem uciszył zebranych.

– Tak jak się obawiałem, mamy zbyt małe poparcie.
– Pan Januskiewicz westchnął. – Nie dojdzie do przewrotu.

Kambarah mówił coś do Ajsela, gestykulując przy

tym gwałtownie. Wreszcie wykonał znaczący gest ręką i zamilkł. Teofil bez tłumaczenia domyślił się, o co chodzi. Chan kazał Ajselowi wynosić się do swoich rosyjskich przyjaciół, pewnie też zagroził mu, że z chwilą opuszczenia zgromadzenia staje się wrogiem wszystkich wolnych ludzi stepu. Zapadła cisza, zdawać by się mogło, że tysiące obserwujących konflikt wstrzymało oddech. Nikt nie poparł Ajsela, wszyscy czekali na jego reakcję. Sułtan poczerwieniał na twarzy z bezsilnej złości, wreszcie usiadł ciężko na swym wojłoku. Rozległo się wycie i radosne okrzyki rewolucyjnie nastawionych młodzieńców. Zadowolony z siebie Kambarah wrócił na tron. Sułtani siedzieli jednak nieporuszeni, nie paląc się do składania mu lenniczych hołdów.

Wtem rozległo się brzdąkanie na kirgiskiej mandolinie. Tłum rozstąpił się, zafalował, przebiegły przez niego szmery i szumy stłumionych głosów. W zbitej ciżbie wytworzył się korytarz, którym szła niepozorna kobieta o odsłoniętej głowie z włosami zaplecionymi w dziesiątki warkoczyków. Przybyła niosła instrument z długim gryfem, szła pewnym krokiem, patrząc prosto przed siebie. Kazachowie kłaniali się przed nią w pas. Teofil drgnął na jej widok.

– Kto to?

– Nasza ostatnia nadzieja, panna Dżazyk. – Wiktor

uśmiechnął się. – Nic się nie zmieniła, a spotkaliśmy ją ostatnio jakieś pięć lat temu.

– Ta kobieta jest najsłynniejszym ulanczi na stepie – dodał pan Adolf. – Jak widzisz, cieszy się niebywałym szacunkiem. Słynie nie tylko jako śpiewaczka i poetka, ale także jako wieszcz. Jest jasnowidzem.

– Przy okazji, od urodzenia jest zupełnie ślepa – uzupełnił Wiktor.

Dżazyk zatrzymała się pomiędzy sułtanami a Kambarahem i przemówiła. Jej dźwięczny, mocny głos był zaskakująco miły dla ucha, nawet nierozumiejący ani słowa Teofil słuchał jej z przyjemnością. Chan poderwał się z siedzenia i zaczął wygrażać kobiecie; doszło do dość ostrej, słownej utarczki.

– Nasza śpiewaczka mówiła o bezsensie walki z tak potężnym przeciwnikiem jak car, o tym, że na powstanie jest zdecydowanie zbyt wcześnie. Lud musi dojrzeć do tego, by samodzielnie o sobie stanowić, i nie zmieni tego jeden napalony watażka – tłumaczył Januszkiewicz. – Kambarah oskarżył ją o to, że jest na usługach tchórzliwych sułtanów, którzy wolą pozostać wierni Rosji w obawie przed utratą swych bogactw i wpływów. Dżazyk go wyśmiała, przypominając, że cały step wie o jej niezależności, że najważniejsze dla niej zawsze było dobro Ka-

zachów, w przeciwieństwie do rodu Kenersarego, któremu zależało tylko na płoczej sławie i powiększaniu stad kóz, z którymi zwykli sypiać. Czekał, co on mówi? Nie rozumiem...

Kazachowie ryknęli śmiechem, groźny majestat i autorytet samozwańczego chana prysnęły bez śladu. Kambarah podniósł głos, próbował przekrzyczeć harmider; po chwili ryczał ze złości i groził kobiecie pięścią. Nagle doskoczył do jednego ze swoich przybocznych i wyrwał mu z ręki sujuł, długi kirgiski bicz. Kilkoma susami podbiegł do Dżazyk, szarpnął niewidomą za włosy i odciągnął jej głowę w tył. Przycisnął zwinięty bicz do twarzy ulanczi, charcząc przy tym groźby. Tłum zafalował, kilku sułtanów podniosło się ze swoich wojłoków, Ajsel ryknął wściekle.

Teofil poczuł, jak krew gotuje mu się w żyłach. Ten śmierdzący złodziej koni, który wymordował mu towarzyszy, za chwilę skatuje bezbronną, ślepą kobietę! Chłopak skoczył przed siebie, rozpychając łokciami zbrojną ochronę sułtanów, powstrzymującą tłum. Odepchnął Kirgiza próbującego złapać go za kaftan, wymierzył kopniak w krocze draba biorącego zamach ajbałem i wybiegł na plac. Tymczasem na pomoc Kambarahowi ruszyli Czarni Kirgizi. Przepychali się z wrzaskiem i próbowali osłonić pierścieniem swego chana przed wściekłymi sułtanami i bijami. Teofil wpadł między nich, wymachując pięściami,

a jako że większość dzikusów sięgała mu ledwie do ramienia, kilku pierwszych przewrócił samym impetem uderzenia. Jeden z nich objął go jednak na nogi, przewrócił na ziemię i dodatkowo ugryzł w udo. Kilku kolejnych pochyliło się, by przyłożyć niepokornemu wielkoludowi.

Jak spod ziemi pojawił się przy Teofilu pan Witold. Łysy, emerytowany żołnierz z rykiem skoczył na kopiących chłopaka Kirgizów i obalił dwóch na ziemię. Kolejny dostał kopniaka w kolano od chudego i niepozornego pana Adolfa. Następny dzikus oberwał od radcy tytularnego pięścią w nos i, bryzgając krwią, usiadł na ziemi. Teofil poderwał się na równe nogi. Skorzystał z niespodziewanego wsparcia i skoczył na Kambaraha, który akurat zaczął okładać sujułem zwiniętą w kłębek wieszczkę. Teofil złapał go za nadgarstek, zablokował cios i trzasnął czołem w twarz chana.

Na placu zaległa śmiertelna cisza. Wszyscy zamarli, patrząc na zakrwawioną twarz chwiejącego się Kambaraha. Pustowójtow pochylił się nad Dżazyk, objął ją i pomógł wstać. Chan bez słowa wykonał gest podcinania gardła, a potem wskazał na Teofila. Kirgizi ruszyli w jego stronę, sięgając po zakrzywione noże.

Sułtan Ajsel ryknął na całe gardło, unosząc w górę rękę. Dołączyło do niego trzech czy czterech innych sułtanów. Tłum buczał basowo niczym ul pełen rozdrażnio-

nych pszczoł; w każdej chwili mogła wybuchnąć bijatyka, która przerodziłaby się w krwawe zamieszki. Sułtani i chan zdawali sobie z tego sprawę; Kambarah powstrzymał swoich siepaczy nerwowym gestem. Teofil został brutalnie odepchnięty. Dżazyk zaczęła coś mówić, dołączył do niej Ajsel i dwóch jego bijów, znów wybuchła głośna sprzeczka. W tłumie zgromadzonych rozlegały się gwizdy i przeciągłe okrzyki, lud był coraz bardziej podzielony i zirytowany. Część popierała chana, część była oburzona jego atakiem na lubianą i popularną wieszczkę.

– Dżazyk proponuje Kamabrahowi honorowy pojedynek, ale on twierdzi, że uwłaczałaby mu konfrontacja ze zwykłą babą, do tego ślepą – przetłumaczył pan Adolf, poprawiając wymięty i rozchełstany w bójce chałat.

Teofil skinął mu głową i uśmiechnął się do dwóch Polaków. Starsi panowie pokazali, że nie są byle chłystkami. Dawni powstańcy, mimo że starzy i chorzy, potrafili jeszcze kasać. Tylko ich trójka rzuciła się na pomoc bitej przez chana kobiecie.

– Powiedz im, że ja będę walczył w imieniu Dżazyk – oznajmił Pustowójtow i ruszył w stronę rozmawiających, ale natychmiast zatrzymali go Kirgizi.

Kiedy pan Witold wykrzyczał deklaracje Teofila, kłótnia ucichła, wybuchł za to gwar wśród publiczności.

Kazachowie wyraźnie byli zachwyceni całym zamieszaniem, dawno nie oglądali podobnego widowiska. Kambarah miał ochotę znów wydać rozkaz zarznięcia Urusa, ale w tej sytuacji mu nie wypadało. Musiał przyjąć wyzwanie. Splunął krwawą śliną na ziemię i skinął głową na znak, że się zgadza.

*

Siodło kirgiskie tradycyjnie wyścielano miękkim pledem, dzięki czemu było bardzo wygodne. Teofil usadowił się w nim i poprawił nogi w strzemionach. Kobyłka, którą pożyczyła mu Dżazyk, była chuda i żylasta, ale ponoć niebywale szybka. Za parę chwil sam się o tym przekona. Spodziewał się, że kazachski pojedynek będzie walką na ajbałty, lub czymś równie brutalnym, a okazało się, że to zwykły wyścig. Kto pierwszy objedzie jezioro, ten zgarnia konia i honor przeciwnika. Proste.

– Pamiętaj, tak naprawdę to walka na śmierć i życie.
– Pan Adolf podszedł do wierzchowca Teofila i poklepał zwierzę po szyi. – Kambarah postara się odpłacić ci za publiczne poniżenie i spróbuje cię zamordować. Zasady są takie, że nie ma zasad, na trasie może wydarzyć się wszystko.

W ręku radcy pojawił się długi nóż o prostym ostrzu; pan Januskiewicz wręczył go dyskretnie Teofi-

lowi razem z pochwą. Pustowójtow skinął głową w podziękowaniu i przypiął broń do paska. Tymczasem podeszła do niego wieszczka, prowadzona przez dziewczynę. Dopiero teraz chłopak zauważył, że ulanczi ciągle dyskretnie ktoś towarzyszył i pomagał odnaleźć się w świecie. Zdawało się, że zawsze ma na zawołanie przynajmniej dwoje, troje młodych ludzi.

– Nie wahaj się użyć mocy – powiedziała, kładąc dłoń na rękę chłopka. – On też jest obrotenem i z pewnością cię zaatakuje. Uderz bez litości, musisz wreszcie nauczyć się korzystać z drzemiącej w tobie potęgi. Wiem, że przynosi to ból i cierpienie, ale z tym też musisz nauczyć się sobie radzić. Nie uciekaj przed siłami, które cię wypełniają. Wyzwól je. Ujarmij, a staniesz się wielki. Widzę w tobie niezwykłą moc, widzę wielką przyszłość. Wystarczy, że po nią sięgniesz...

Kambarah wzniósł śpiewny okrzyk, na który odpowiedziało kilkudziesięciu jego Kirgizów. Chan siedział na czarnym, potężnie umięśnionym ogierze. Jego wierzchowiec miał rząd i pled przyozdobione tym samym ornamentem co chałat jeźdźca. Obaj wyglądali bogato i dostojnie, choć ogólne wrażenie psuła chłopięca, pryszczata twarz Kambaraha i rozkwaszony nos, który zdążył już spuchnąć.

Jeźdźcy podjechali do siebie i obrzucili nawzajem

niechętnym spojrzeniem. Potem jeden z bijów wymierzył w powietrze małykę i pociągnął za spust. Wystrzał był sygnałem do rozpoczęcia wyścigu. Pustowójtów natychmiast spał konia i pochylił się w siodle. Jego kobyłka wystrzeliła przed siebie jak błyskawica.

Zielona trawa uciekała spod kopyt z obłądną szybkością, ciepły stepowy wiatr zamienił się dla Teofila w istny huragan. Koń sam obrał drogę i gnał wzdłuż łagodnego brzegu jeziora. Kambarah został dobrych kilka długości z tyłu, jego wielki, ciężki ogier nie był w stanie dogonić lekkiej kobyłki. Oby tylko wytrzymała tempo, a przyszczaty chan przegra haniebnie. Teofil uśmiechnął się do siebie, stanął w strzemionach i jeszcze mocniej pochylił się w przód, ku końskiej szyi.

Wytrzymać jakieś dwadzieścia wiorst i załatwione. Przegrany i poniżony Kambarah nigdy już nie odzyska autorytetu, sułtani go nie poprą, zostanie co najwyżej takim samym rozbójnikiem jak jego ojciec i będzie bał się oddalić na dzień jazdy od gór Ała-Taju, by nie wpaść w łapy Rosjan.

Kobyłka gładko ominęła kępę drzew przypominających wierzby, których gałęzie zwisały nisko nad wodą, i szybko wspięła się na niewysoką skarpe. Pognała jej grzbietem prychając radośnie; widocznie kochała szaleńczy bieg, jak przystało na kirgiskiego konia. Dała ogrom-

nego susa nad kępą kolczastych krzewów, spłoszyła przy tym kilka kaczek, które z przerażonym kwakaniem podrywały się do lotu. Czarny ogier z mozołem wspiął się na wzniesienie i musiał objechać krzewy, został więc daleko w tyle. Teofil zaśmiał się i pomachał do Kambaraha.

Pędził dalej jak wiatr. Miał wrażenie, że kobyłka unosi się nad falującymi łąkami traw, za chwilę pomknie nad powierzchnią jeziora, odleci niczym pegaz. Zdawało się, że zwierzę nigdy się nie zmęczy, ciągle oddychało rytmicznie, boki miało suche i gnało z tą samą prędkością. Wierzchowiec Dżazyk okazał się niesamowity, niezniszczalny.

Musiał skręcić gwałtownie, gdy tuż po wyjechaniu zza gęstego zagajnika pojawił się przed nimi brzeg jeziora. Niewiele brakowało, a z pełnym impetem wjechałoby w wodę. Teofil przywarł do karku klaczy, gdy ta znów zaczęło brać zakręt. Co się działo? Pędzili niemal po krawędzi dość wysokiej skarpy i ciągle skręcali, jakby brzeg próbował ich otoczyć, odciąć drogę.

Teofil uniósł głowę i wciągnął nosem powietrze. Niosło ze sobą znajomy zapach – migdały i kurz. Usta chłopaka wypełniły się metalicznym smakiem krwi, zorientował się, że niedawna rana znów się otworzyła lub sam ją przegryzł. Zbliżali się do kolejnego zagajnika. Wstrzymał kobyłkę, ciągnąc za wodze. Coś było nie tak.

Cudem nie spadli ze skarpy; gdyby to się stało połamaliby karki.

Do kępy drzew podjechał powoli i ostrożnie. Tuż za drzewami urywał się wysoki brzeg, w dole którego leżało osypisko ostrych głazów. Teofil rozejrzał się wokół. Wyglądało na to, że znalazł się na wyspie, albo jeździł w kółko. Zewsząd otaczał go brzeg. Taka była moc Kambaraha? Robił coś nienaturalnego z przestrzenią, zaginał ją i zniekształcał? A teraz zbliżał się w pełnym galopie, niczym czarny demon. Nad głową trzymał krzywą turecką szablę. Teofil zawrócił kobyłkę i puścił ją w cwał wprost na zbliżającego się przeciwnika. Zacisnął zęby, sięgnął po ogień pod powiekami. Jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie.

Minęli się, niemal ocierając kolanami. W ostatniej chwili Teofil wychylił się w bok, z trudem utrzymując się przy tym na grzbiecie wierzchowca. Pióro szabli przecięło powietrze tuż przed jego twarzą. Kambarah ze śmiechem pomknął dalej, płynnym ruchem wsunął broń do pochwy. Pustowójtów zaklął wściekle, przerażony otarciem się o śmierć, i znów zawrócił kobyłkę, rzucając się w pogoń. Dziwne zakrzywienie brzegu jeziora znikło bez śladu, za zagajnikiem znajdował się zwykły, równy step.

Powoli doganiał Kambaraha. Ten w pewnym momencie odwrócił się w siodle i wyciągnął w stronę Teofila

rękę. Świat drgnął i zafalował. Powietrzem szarpnęło, jak przy potężnym wybuchu. Odległość między jadącymi wzrosła drastycznie, step nagle się rozciągnął i wygiął. Kobyłka zwolniła z wysiłku, zaczęła charczeć, oddychała z trudem. Jechali teraz pod górę, mimo że step był w tym miejscu zupełnie prosty. Znajomy zapach migdałów znów uderzył w nozdrza, potwierdzając, że Kazach używa mocy i deformuje rzeczywistość. Oddalał się też coraz szybciej, po chwili dzieliła ich co najmniej wiorsta. Nagle efekt podniesionego i wyciągniętego terenu znikł, kobyłka potknęła się i kwiknęła boleśnie. Niewiele brakowało, a zaryłyby w ziemię, łamiąc sobie nogi. Teofil cudem nie spadł, jednak w locie złapał się końskiej grzywy i jakoś utrzymał się w siodle.

Przeklął z bezsilnej wściekłości i sięgnął po żar rozniecający się w umyśle. Potrzebował czasu, a jedyną istotą, której mógł go ukraść, był własny wierzchowiec. Chłopak oparł dłoń o szyję kobyłki. Węże błysnęły czernią i srebrem, owijając się wokół jego ramienia i wpijając się w skórę. Uśmiechnął się, czując ich ciepło, dodawały radosnej euforii i energii. Owinął nimi siebie i konia, węże rozpląły się posłusznie, strzelając iskrami wyładowań. Powietrze zgęstniało gwałtownie, światło przygasło, wiatr uderzył w twarz, stawiając mocny opór.

Kobyłka szturchana obcasami po bokach pomknęła

jak błyskawica, prychnęła jednak przy tym z niezadowoleniem i strachem. Trawa musiała kaleczyć ją boleśnie, a tarcie o gęste powietrze rozgrzewało niczym żar z pieca. Sylwetka Kambaraha powiększała się błyskawicznie, była już tuż-tuż. Teofil sięgnął po nóż, obrócił go w dłoni i mijając poruszającego się niemrawo niczym mucha w smole przeciwnika wbił mu go w plecy, aż po rękojeść. Chwilę potem zgasił mutatio, bojąc się, że czas kobyłki całkiem się wypali.

Świat przyspieszył. Kambarah wyprostował się w siodle z głuchym jęknięciem. Teofil machnął mu na pożegnanie i pognął dalej. Nagle step znów się wykrzywił, tym razem wygiął w bok jak obraz z krzywego zwierciadła. Huknęło rozdzierane powietrze. Wierzcholec Teofila zgubił krok, potknął się i runął z trzaskiem łamanych nóg. Chłopak rzucił się rozpaczliwie z siodła, w locie próbował wyrwać nogi ze strzemion. Grzmotnął o ziemię i przeturlał się, szorując plecami o kamienie. Usta wypełniały mu piach i gorąca krew, świat wirował przed oczyma jak oszalały.

Chan minął go i zwolnił niespiesznie, powoli zawrócił konia. Twarz miał bladą i wykrzywioną bólem. Powiedział coś po kazachsku i dobył szabli. Zamierzał skończyć z przeciwnikiem. Szturchnął konia i zrobił szablą widowiskowy młynek. Teofil zmusił się, by usiąść, a

po chwili wstać. Bolały go wszystkie gnaty, miał problemy z oddychaniem; chyba uszkodził sobie żebra. Spojrzał na swoją kobyłkę, która leżała kawałek dalej całkiem nieruchomo. Musiała skrócić kark, widocznie jej czas właśnie się skończył.

Kambarah nadjeżdżał błyskawicznie. Uniósł szablę nad głowę, wziął zamach do ostatecznego ciosu. Teofil wyciągnął rękę, jakby próbował pustą dłonią zablokować cięcie, i z całych sił skupił się na ogniu buzującym w umyśle. Teraz! Pociągnął mentalnie, próbując wyrwać czas Kambaraha. Nic z tego. Przeciwnik znajdował się zbyt daleko, węże nie odpowiedziały na wezwanie. Krok za krokiem chan się zbliżał, ciągle jednak nic się nie działo. Pustowójtow nie poddawał się, jego świadomość była skoncentrowana na jednej myśli, na jednym pragnieniu. Pięć kroków, cztery. Kambarah napiął mięśnie i wychylił się w siodle.

Szabla zaczęła opadać wprost na głowę Pustowójtowa. W tej samej chwili węże popłynęły. Teofil złapał je łapczywie i szarpnął z całych sił. Tym razem nie próbował ich przyswoić, ale w całości wchłaniał, pożerał i spalał. Żar w jego umyśle rozbłysnął eksplozją, ogarnął całe ciało. Czas Kambaraha płynął rwącym strumieniem, całą ognistą lawiną. Pustowójtow oślepl od wypełniającego go płomienia. Ręka chana opadła bezwładnie, szabla minęła

głowę podchorążego o włos i upadła w trawę. Ogier przemknął obok Teofila, powoli zwolnił i wreszcie się zatrzymał. W jego siodle siedział pomarszczony ze starości starzec, który wyglądał jak stara, zaszuszone mumia. Bez włosów, o białych, ślepych oczach. Zachwiał się i runął na ziemię, z trzaskiem pękających kości. Jego czas całkiem się spalił.

Teofil otarł zlane potem czoło i opadł na kolana. Ręce mu dygotały, czas parował z jego skóry, wirował i tworzył chaotyczne strefy o szybszym i spowolnionym upływie. Efekty musiały się teraz wypalić, a przynajmniej osłabnąć. Pustowójtow położył się na ziemi i wbił wzrok w jasne, błękitne niebo. Czekał.

*

Słońce zbliżało się ku zachodowi. Wiatr nad stepem ucichł zupełnie, niebo, ponad widocznymi na horyzoncie szczytami gór Ała-Taju, rozblęskło różem i fioletem. Na niezmiernym morzu traw zapanowały cisza i bezruch, tylko uroczysko Ałdanu nadal tętniło życiem i gwarem. Jedni Kazachowie szykowali się do świętowania, inni do uroczystości żałobnych, nikomu jednak nie było w głowie udanie się na spoczynek. Największy gwar panował wokół obozowiska wieszczki Dżazyk. Dobiegały stąd nigdy niesłyszane na stepie dźwięki – energicznie wygrywana gama na wiedeńskim fortepianie. To niewidoma poetka

próbowała swój nowy instrument, dar od samej Aleksandry Fiodorowej, carycy Imperium Rosyjskiego. Małżonka Jego Wysokości Mikołaja I chciała w ten sposób uhonorować duchową przywódczynię narodu Kazachów.

Teofil przypatrywał się oświetlonej zachodzącym słońcem i blaskiem ognisk twarzy Dżazyk. Niewidzącym wzrokiem kobieta wpatrywała się w dal, uśmiechając się przy tym błogo z zadowolenia. Ewidentnie prezent sprawił jej ogromną przyjemność. Zanim spróbowała na nim zagrać, długo głaskała lakierowane drewno, delikatnie muskała palcami klawisze z kości słoniowej. Potem zaczęła naciskać jeden po drugim, wpierw jak popadło, potem kolejno. Wreszcie kilkakrotnie zagrała w tę i we w tę gamę, wzbudzając aplauz zgromadzonej publiczności.

Pustowójtow uśmiechnął się nieświadomie, widząc przyjemność i uniesienie malujące się na twarzy wieszczki. Za chwilę powinien ruszać, Tałaj już siedział w siodle i niecierpliwie spoglądał na podopiecznego. Teofil jednak zwlekał, żałował, że nie pożegnał Kazaszki nieco czulej. Kiedy matczynym gestem głaskała go po twarzy, burknął tylko coś pod nosem. Potem kobieta wcisnęła mu w rękę woreczek pełen białych grudek. To był środek, który miał pomóc w zwalczaniu ataków furii, koszmarów i lęków dręczących go po używaniu mocy. Dżazyk radziła zażywać lek ostrożnie i w niezbyt dużych dawkach. Kupiła go

od chińskich kupców wędrujących po jedwabnym szlaku. Opium, jak nazywał się specyfik, był znany też w Europie, ale mało popularny w Rosji. Teofil miał zamiar wypalić pierwszą dawkę jeszcze tej nocy, kiedy tylko zatrzymają się na odpoczynek.

Pan Adolf nakazał mu wyjechać jak najszybciej, bo dwaj kuzyni Kambaraha ostrzyli sobie na niego zęby i mogło przez to dojść do zamieszek. Kiedy Teofil zniknie, Kazachowie się uspokoją. Czarni Kirgizi już się zabrali i odjechali w kierunku swoich gór, została jeszcze tylko grupka wichrzycieli, głównie pociotków i kumów zabitego chana. Całkiem stracą na znaczeniu, kiedy nie będą mieli pretekstu do wszczynania awantur. Na drogę Polacy użyczyli Teofilowi swojego bezcennego ulanczi i szczerze wyekwipowali w prowiant. Nie pozostało zatem nic innego, jak wracać do swoich.

Poprawiając popręg pod końskim brzuchem i sprawdzając juki, Teofil już zaczął układać w myślach raport i przemowę, którą wygłosi, kiedy stanie przed generałem-gubernatorem. Nie mógł się doczekać tej chwili, wyrazu twarzy starego oficera, kiedy usłyszy wzruszającą opowieść o mordzie i zemście. Z pewnością będzie dumny z młodego podproporszczyka, który w pojedynkę pomścił swoich towarzyszy broni i zażegnał widmo krwawego buntu, jaki omal nie wstrząsnął całą zachodnią Sy-

berią. Po czymś takim gwiazdka podporucznika była pewna, a kto wie, może i order świętego Włodzimierza. A jak nie, to przynajmniej świętej Anny. Choćby trzeciej klasy.

Niespodziewanie Dżazyk zaczęła śpiewać, akompaniując sobie na fortepianie. Teofil zastygł w połowie gestu, sięgając za popręg siodła. Palce kobiety mknęły, naciskając, zdawałoby się przypadkowe klawisze, ale początkowa kakofonia szybko przeszła w rytmiczną i melodyjną balladę. Głos poetki zabrzmiał ciepłą i jednocześnie mocną barwą. Słowa płynnie układały się z muzyką w całość. Mimo że Teofil nie rozumiał ani słowa, był oczarowany; nigdy nie słyszał tak pięknego śpiewu. Miał wrażenie, że muzyka wdziera mu się do duszy i uderza w nią niezwykle silnymi emocjami. Poczł dławienie w gardle, oczy zasły mu łzami. Otarł je nerwowo rękawem, przestraszony tym, co się z nim dzieje.

Kazachowie i Kirgizi również zamarli w bezruchu, zasłuchani i oczarowani. Przed biały namiot wyszło dwóch czy trzech sułtanów w otoczeniu bijów. Wszyscy zastygli bez słowa, by chłonać śpiew Dżazyk. Teofil poczuł znajomy zapach kurzy i migdałów, uśmiechnął się po raz kolejny. Wszystko jasne, wieszczka tak jak on była odmieńcem, prawdziwą wiedźmą. Właśnie używała swojej mocy i wypalała piętno w duszach słuchaczy. W rzeczywistości miała władzę nad Kazachami znacznie więk-

szą niż Kambarah i wszyscy sułtani razem wzięci.

– O czym ona śpiewa? – Szarpnął za rękaw stojącego obok pana Adolfa.

Mężczyzna spojrział na Teofila nieprzytomnym wzrokiem, dopiero po chwili drgnął i potrząsnął głową.

– Och, o tym co zwykle. – Wzruszył ramionami. – Wolność na stepie i takie tam... Jedźcie już lepiej, zanim rodzina Kambaraha zorientuje się, że szykujesz się do drogi.

Teofil wskoczył na ogiera i poklepał go pojednawczo po szyi.

– Dziękuję wam, panowie, za wszystko – powiedział do Polaków.

Pan Wiktor uśmiechnął się i machnął niedbale ręką. Januskiewicz ucisnął dłoń chłopaka na pożegnanie.

– Uważaj na siebie. – Westchnął. – Gdybyś kiedyś trafił do Polski... Ech, nieważne. Jedź już, z Bogiem!

Teofil ruszył posłusznie za oddalającym się Tałajem. Jechali stępą między jurdami, kierowali się na północ, gdzie na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy.

Gonił ich cichnący powoli śpiew Dżazyk.

– Myślisz, że dobrze zrobiliśmy, puszczając go żywcem? – odezwał się pan Wiktor. – Może lepiej, jakby zginął w pojedynku z kazachskim bandytą? Jest zepsuty i zły, w dodatku to zdrajca.

– Daj spokój – oburzył się pan Adolf. – Jeszcze wszystko przed nim, nie wiadomo, na kogo wyrośnie. Może kiedy nadejdzie pora, odezwie się w nim polska krew. Teraz nie stanowi żadnego zagrożenia dla naszych planów, nie ma bladego pojęcia, że prócz dyplomacji w imię cara prowadziliśmy jeszcze jedną dyplomację, w imieniu naszej utraconej ojczyzny. Teofil nie zrozumiał ani słowa z tego, o czym w tej chwili śpiewa Dżazyk. Nie wie, że kobieta właśnie wieszczy, a Kazachowie i Kirgizi słuchają jej jak wyroczni.

Witold pokiwał głową z uśmiechem. Znow wśluchał się w kazachską balladę. Wieszczka śpiewała o tym, że czas wolności na stepach jeszcze nie nadszedł, ale zbliża się wielkimi krokami. Step obudzi się za kilkanaście lat, kiedy tam, w dalekiej Europie, Biały Orzeł zerwie kajdany. Wtedy trzeba będzie uderzyć na rosyjskie twierdze, porwać do boju wszystkie ludy Syberii, łącznie z żyjącymi w tajdze Ostiakami, Tunguzami i Samojedami. Wielka Orda przebudzi się i weźmie Azję w swoje posiadanie. Stanie do walki o wolność razem z Białym Orłem.

Adolf Januszkiewicz otarł łzy cisnące się do oczu. Udało się. Kiedy w Polsce wybuchnie kolejne powstanie, udręczona ojczyzna otrzyma wsparcie ze strony, z której nikt nie będzie się tego spodziewał. Wielka Orda uderzy na Rosję od tyłu i podpali step aż do Kaukazu. Jakże pięknie byłoby znaleźć się wtedy w kraju i jeśli nawet samemu nie wziąć udziału w walce, to choćby popatrzeć na biało-czerwone sztandary i ułanów z orłami na czapkach. Niechby przed śmiercią dane mu było wrócić do ojczyzny i ujrzyć ją wolną.

Niebo nad stepem obsypało się milionami gwiazd, takimi samymi jak te, które świeciły w Polsce. Pan Januszkiewicz słuchał kirgiskiej ballady i marzył.

*

Życzenie Adolfa Januszkiewicza spełniło się połowicznie. Dawny poeta i przyjaciel Mickiewicza, oficer z powstania listopadowego, został ułaskawiony dopiero po śmierci Mikołaja I. Do Polski wrócił w 1856 roku. Nie doczekał jednak kolejnego zrywu; po niecałym roku zmarł na gruźlicę, której nabawił się na zesłaniu.

Widok spod kurhanu

Patrzymy na Sewastopol pogrążony we mgle. Świta. Blade, stłumione niską warstwą chmur światło słońca powoli rozjaśnia ciemności, zmienia je w mokrą i zimną szarówkę. Wyłaniają się z niej maszty fregat, w tym dwóch parowych, zaopatrzonych w wielkie, boczne koła napędowe. To opuszczone statki imperialnej floty, których cały ekipaż został wcielony do obsługi dział twierdzy. W półmroku zaczyna błyszczeć miedziany dach cerkwi, z szarości wyłaniają się kontury domów i kamienic. Stróż gasi kamfínowe latarnie przed traktiernią na bulwarze, sanitariuszka wylewa na bruk wiadro krwawych pomij po praniu bandażu. Obleżone miasto powoli budzi się do życia.

Budzi się też On. Pierwszy gwizd przeszywa mokre powietrze. Nadlatuje, nasila się, rośnie i rośnie. Wreszcie – bum! Pocisk burzący, wystrzelony z trzydziestodwufuntowego angielskiego działa, trafia gdzieś w obrzeża Południowej Dzielnicy. Tamtejsze domy to już i tak tylko dymiąca kupa gruzów. Nic takiego. Ani sanitariuszka, ani stróż nawet nie odwracają głów. Wiedzą, że On tylko się bawi, dręczy ofiarę, przypomina mieszkańcom Sewastopola i armii Imperium, że jest i czeka. Następną kulę, kartacz czy zapalający granat może cisnąć wprost na środek bulwaru lub na dach polowego szpitala. Niech nikt nie

śmie o tym zapomnieć. Niech wszyscy pamiętają, że śmierć jest tuż-tuż, że może po nich przyjść w każdej chwili.

Po kilku miesiącach oblężenia i życia w napięciu nikt nie przejmuje się już Jego groźbami. Może tylko niedawno przybyli ochotnicy i żołnierze z uzupełnień, którzy zeszli z pokładu fregaty raptem wczoraj. Część już dostała przydziały i wypełniła luki po poległych kolegach. Ci kulą się właśnie w ziemiankach na bastionach i redutach, w okopach otaczających Południową Dzielnicę i za kosztami fortyfikacyjnymi napelnionymi piachem i kamieniami.

Idziemy za jednym z nowo przybyłych, za młodym chorążym Teofilem Pustowójtowem. Wysoki, barczysty chłopak o gęstej, czarnej czuprynie i krzaczastych bokobrodach prowadzi nas błotnistymi transzejami. Garbi się, ugina kolana. Nie chce oberwać kuli od francuskiego czy tureckiego strzelca wyborowego. Brniemy za nim w szaroburej brei, ślizgamy się w śmierdzącym szlamie, w którym gniją trupy szczurów i jakieś trudne do zidentyfikowania szczątki. Ledwie puściły zimowe mrozy, a okopy zamieniły się ohydny, śmierdzący rynsztok. Kiedy powietrze znów przecina świst, przystajemy, kucamy i przytulamy się do mokrej ściany okopu. Nie chcemy oberwać kartaczem czy szrapnelem i utonąć w błocie.

Wreszcie docieramy do schronu wydłubanego głęboko w ziemi. Odsuwamy szary pled, który pełni funkcję drzwi, i wchodzimy do środka. Wewnątrz, przy świetle trzech kopających łożówek, grupa piechurów rżnie w karty. Ich dowódca siedzi obok i spokojnie czyta książkę. Pustowójtow staje przed nim i melduje burkliwie:

– Panie poruczniku, dowódca baterii przyjął wytyczne. Zacznie ostrzał o siódmej pięć, znaczy za kilkanaście minut.

Porucznik z trzaskiem zamyka książkę i uśmiecha się nerwowo. Jest o kilka lat starszy od chorążego, za to co najmniej o głowę od niego niższy. Nie sprawia groźnego wrażenia – chudy i o zapadniętej klatce piersiowej, nosi skromny wąsik i cienkie pince-nez nadające mu aparycji skromnego kancelisty. Mruga, jakby był całą sytuacją mocno wystraszony albo oślepiały go ogniki lichych świeczek. Porucznik Romuald Traugutt kojarzy się nam z obudzonym gwałtownie nietoperzem.

Już po chwili idziemy okopem razem z całą drużyną. Żołnierze to chłopcy na schwał, odważni i silni jak tury. Tylko tacy nadają się do kompanii saperskiej, w której trzeba ciężko machać łopata, budując fortyfikacje pod ostrzałem. Po trzech miesiącach wojny tunelowej oddział mocno się przerzedził i dziś jest barwną zbieraniną śmiałków i uzupełnień z różnych formacji. W oddziale Trau-

gutta, prócz jego saperów, maszeruje kilku marynarzy, a do tego chłopcy z władymirowskiego, tomskiego, selen-
gińskiego i borodyńskiego pułku piechoty, na dokładkę
dwóch strzelców z któregoś pułku lejb-gwardyjskiego.
Wszyscy niosą narzędzia: szpadle, oskardy, jakieś ciężkie
skrzynie, do tego krótkie karabinki z przypiętymi bagnetami szablowymi. Poruszają się szybko, pochyleni, by nie wystawać z okopów, bo On mógłby ich zauważyć.

Porucznik Traugutt prowadzi nas w dół, schodzimy
transzejami coraz niżej po stoku Wielkiego Redanu. Z
lewej widzimy imponujący i słynny Kurhan Małachowski,
najwścieklej i najczęściej atakowany, najzjadlej
bombardowany i nieustannie podkopywany. On upatrzył
go sobie jako najważniejszy do zdobycia. Ma rację. Ba-
stiony, dwie reduty i luneta kamczacka, usadowione na
stokach kurhanu, są faktycznie bramą Sewastopola. Jeśli
padną, On wreszcie zdobędzie miasto.

Boimy się coraz bardziej. Jesteśmy w dolinie mię-
dzy wzgórzami, w rumowisku, nad którym unosi się słodki
zapach gnijących trupów. Jest siódma pięć, jak na za-
wołanie nasze bastiony odzywają się basowym rykiem.
Kule mkną wysoko, a ich gwizd napawa nasze serca du-
mą i pewnością. Jakże różni się od gwizdu Jego poci-
sków. Po chwili grzmoty wybuchów wstrząsają ziemią,
dudnią aż miło. Któryś z chłopców śmieje się i wskazuje
ręką. Co najmniej dwóch Francuzów w niebieskich kurt-

kach i czerwonych portkach wyfrunęło w powietrze. Teraz On pewnie się rozzłości i odpowie. O to chodziło, nie dostrzeże nas.

Porucznik znajduje zamaskowane krzakami wejście do tunelu. Jedno z ostatnich niezawalonych. Odslania je i zagłębia się w błotnistej dziurze w ziemi, przypominającej ropiejącą ranę. Znikamy razem z saperami i ociągającym się chorążym Pustowójtowem. W tym ostatnim nie wyczuwamy strachu, tylko złość. Dziwne. Idący na niebezpieczną misję zwykle się modlą, wspominają rodzinę, przyjaciół, co więksi chwaci śpiewają wesoło, myślą o dziewczynach i pożywnej wódce, która czeka po powrocie. Nikt się nie złości, bo i na co.

Teofil jednak jest niezadowolony. Nie podoba mu się obłęzenie, jest nim rozczarowany. Gdzie wielkie bitwy? Mieli odbić Eupatorię, zepchnąć Turków do morza, wyrznąć w pień przeklętych żabojadów i rozerwać na strzepy legendarną już Cienką Czerwoną Linie. Miał wreszcie dostać dowództwo oddziału i poprowadzić go do zwycięskiego boju. Trzy lata minęły odkąd skończył Akademię, jego koledzy już dawno noszą pagony porucznika, a on ciągle czeka na awans. Wojna na Krymie była szansą na błyskawiczną karierę, miał z niej wrócić z pierśią pełną orderów i w glorii bohatera. Nie zostanie nim, jeśli utonie w błocie gdzieś w trzewiach tej przeklętej góry! Zamiast dostać oddział gwardzistów lub chociaż je-

grów, których poprowadziłby do ataku na Jego umocnienia, przydzielono go jako pomoc do oddziału kopaczy. Teraz już rozumiemy jego wściekłość.

*

Idą ku nam kolejne moduły, które będziemy mogli łatwo asymilować. Na razie tylko je śledzimy, obserwujemy. Wpinamy się, badamy ich osobowości, próbujemy współodczuwać, by wytypować tych wśród nich, którzy mogą okazać się przydatni. Cały oddział nie jest nam potrzebny, nie tym razem. Ostatnio wybieramy już tylko najciekawsze jednostki, mogące wydatnie wzbogacić nasze ego.

Początkowo chłoniliśmy wszystkich, którzy znaleźli się w polu naszego oddziaływania. Musieliśmy zebrać jak najwięcej danych o środowisku, społeczności i realiach. Okazało się, że jest wczesna wiosna 1855 roku, a my znajdujemy się w południowo-wschodniej Europie. Byliśmy zagubieni i ciągle właściwie jesteśmy. Ponad cztery setki lat od naszych czasów. Podejrzewaliśmy błąd systemowy, jakąś aberrację w polu, ale to prawda. Sieć rozpadła się i cisnęła nas jako płataninę kodów źródłowych, wyrwanych ze sztucznych inteligencji operujących w wirtualu, pod prąd strzałki czasu.

Nie wiemy, jak to się stało. Trafiliśmy tu, do rze-

czywistego świata, prosto z pola informacji, prosto z netu. Wylądowaliśmy jako żałosna kupka poszukujących danych algorytmów, strzęp osobowości. Anomalia wbiła nas w rzeczywistość, wpisała w prawdziwy świat i pozwoliła z niego czerpać. Zaczęliśmy rozbudowywać własną sieć neuronową, uczyć się i poznawać. Osiągnęliśmy świadomość i chcemy dalej rosnać, chcemy opanować środowisko, by dogłębnie je poznać.

Szukamy.

*

Idziemy tunelem. Z sufitu ściekają krople, a gdzieś niedzie całe strumyki wody. Wykopy znajdują się płytko, ledwie kilka stóp pod ziemią, przez co odwilż znacznie utrudniła saperom robotę. Korytarze zaczęły się osuwać, błoto zalewa chodniki, nawet stemple i deskowane sklepienia nie są w stanie powstrzymać zniszczeń. Jedyne pocieszenie, to że Jemu jest tak samo trudno.

Saperzy zapalają latarnie. Ciemność rozprasza ciepłe, rozedrgane światło. Nietoperz czuje się tu jak w domu, idzie zwawo przodem, nie waha się włączyć w głębokie do kolan kałuże, brnie przed siebie z krzepiącą pewnością. Idziemy za nim wspólnie z całą drużyną. Pustowójtów patrzy z niechęcią na dzielnego porucznika.

Choraży domyśla się, dlaczego dowódca przydzielił go jako uzupełnienie do tej kompanii. Pewnie stary cap pomyślał, że Polakom razem będzie rażniej. Często oficerów pochodzących z Królestwa kwateruje się w jednej izbie i lokuje w tym samym batalionie. Łatwiej ich można mieć na oku, pilnować, czy czegoś nie knują. Z Polakami nigdy nie wiadomo.

Tylko że Pustwójtow nie czuje się Polakiem! Jest nim tylko w połowie i to od strony matki. Jedyne dzieciństwo spędził w Królestwie, potem opiekowała się nim rodzina od strony ojca. Uczył się w rosyjskich szkołach i w Korpusie Kadetów w samym Petersburgu. Dziś nic już go z Polską nie łączy, zupełnie nic. Ale czego by nie robił, oni i tak pamiętają, mają to czarno na białym w jego papierach. Niby nic, ale ciąży mu niczym piętno, zła krew. Polskość ciągnie się za nim niczym niechciany ogon.

Docieramy wreszcie do pieczary, w której schodzi się kilka tuneli prowadzących od strony Sewastopola. Traugutt zatrzymuje oddział niedbałym machnięciem ręki, podchodzi do otworu prowadzącego głębiej i na południe. Zagląda w ciemność. Był obecny przy ryciu tych korytarzy, wiele razy prowadził nimi saperów i strzelców, by ci całymi nocami mogli bić się z Nim w ciemnościach i podkopywać wyryte przez Niego nory, prowadzące pod bastiony Sewastopola. Dziś podziemna wojna wreszcie

się kończy. Ziemia rozmarzła, kopanie w błocie jest męką i bezsensowną stratą czasu. On pewnie sam zrezygnuje, ale na wszelki wypadek trzeba go do tego skłonić.

Cieszymy się razem z porucznikiem. Udziela nam się jego ulga i zadowolenie z dobrze wykonanej roboty. Jest częścią wielkiej maszyny wojennej, która nie pozwoliła Jemu wdrzeć się do miasta. Saperzy ochronili umocnienia, nie pozwolili ich wysadzić, ani się pod nimi przekopać. Traugutt stoi i uśmiecha się pod swoim cienkim wąsikiem. Jest przeciwnością Pustowójtowa. Jego umysł jest selektywny i zorganizowany, potrafi cedzić docierające bodźce i wysyłać do świadomości jedynie te, które chce. Błoto, smród palonego prochu, krew, krzyki ginących, huk armat, całe wojenne zamieszanie nie jest w stanie zachmurzyć mu myśli. Wszystko co złe spływa po poruczniku, a jego umysł jest zawsze ostry jak brzytwa. Dlatego nawet brodząc w krwawej papce, pod huraganowym ostrzałem, Traugutt potrafi spokojnie planować i dowodzić. Nigdy nie myśli o orderach i awansach, za to często dla odprężenia wspomina swoją żonę Anię i dwuletnią córeczkę. Planuje budowę mostku nad strumykiem płynącym obok ich domu, zastanawia się, czy Wisła po roztopach nie wyleje na łąki. Wspomina też wiosnę w Małopolsce, która zazieleni, a chwilę potem obsypie kwiatami sady na stokach. Marzy, że wojna rychło się skończy i dane mu będzie to zobaczyć.

Ciekawią nas ci dwaj. Intrygują. Tak różni, ale i podobni. W jednym i drugim wyczuwamy coś niezwykłego. Obaj ogniskują na sobie naszą uwagę, zupełnie jakby świecili w ciemnościach. Chcemy poznać ich bliżej. Uważnie śledzimy, co robią.

Porucznik wydaje polecenie zaminowania pieczary, wskazuje ręką miejsca, gdzie mają zostać założone ładunki. Saperzy zabierają się do kopania dziur w ścianach, wpychają w nie blaszane walce pełne ubitego prochu, zakładają lonty. Traugutt znów wraca do południowego otworu i wpatruje się w ciemność. Nie może oderwać od niego wzroku, dłonie zaciska w pięści, aż knykcie bieleją.

– Trzeba zamknąć jeszcze ten tunel – odzywa się wreszcie. – Potrzebuję dwóch ochotników, którzy ze mną pójdą. Chorąży Pustowójtow przejmuje dowodzenie.

Szepty saperów cichną w jednej chwili. Okazuje się, że wszyscy żołnierze są czymś pilnie zajęci. Kopiają, podają sobie ładunki, rozwijają szpule z lontem. Nikt nie patrzy na mrugającego nietoperza. Żaden żołdat nie ma ochoty pchać się z nim jeszcze głębiej. Po co? Nie wystarczy wysadzić w cholerę pieczary i zamknąć w ten sposób wszystkie okoliczne korytarze?

Nie boją się Jego, nie raz już walczyli z Nim w

ciemnościach. Znają Go dobrze i, choć przychodzi z samą śmiercią, nie budzi już w żołnierzach trwogi. Tylko, że tam jest coś jeszcze. Coś straszniejszego. Pojawiło się kilka tygodni temu, w czasie jednej z podziemnych potyczek. Chociaż sprawę rozkazano utajnić, wieść o tym, że saperzy natknęli się pod ziemią na coś niezwykłego i przerażającego, już dawno rozeszła się po Sewastopolu. Szepcze się ją w okopach i na szańcach, w polowych szpitalach, oficerskich kwaterach, gada przy kartach i w oparach wódki. Rozmawiają o tym nie tylko żołnierze, ale także spacerujące po bulwarze damy w futrzanych kołnierzach i z puszystymi mufkami, handlujące warzywami baby z chustami na głowach, markietanki w portowych rudarach, woźnice z taborów, ranni wywożeni na Północną Stronę, nawet pałętające się w ruinach dzieciaki, wojenne sieroty. Kto żyw powtarza z przejęciem o bramie do piekła, którą wykopali żołnierze na przedmieściach Sewastopola.

Jakby piekło już samo wcześniej do nich nie przyszło, jakby nie widzieli, że jest wszędzie wokół. Bawią nas te zabobonne lęki, strach przed nieznanym. Pod ziemią wcale nie ma bramy do piekła; to tylko my.

– Pójdę z panem, poruczniku – niespodziewanie odzywa się Pustowójtow. – Damy radę we dwóch.

Saperzy po raz pierwszy patrzą na chorążego z

sympatią i szacunkiem. Mieli go za wrednego sukinsyna, karierowicza, który w dodatku jest obrażony na cały świat, bo zamiast na ciepłej posadce na tyłach lub w kwaterymistrzostwie wylądował na pierwszej linii. A właściwie pod nią. Nie chce nawet gadać z prostym żołnierzem, zadziera nosa i tylko warczy, jak go poprosić o tytoń, czy właściwie o cokolwiek. A teraz proszę, taki gest! Nie chce niepotrzebnie narażać żołnierzy i sam się bierze z niebezpieczeństwem za bary. Może jeszcze będą z niego ludzie?

– Dobrze. – Traugutt kiwa głową i chwytą za skrzynię. – Weź pan jeszcze jedną, tyle powinno wystarczyć.

Nietoperz twierdzi, że wrócą najdalej za pół godziny, dowództwo przekazuje brodatemu feldfeblowi. Dwaj oficerowie ruszają tunelem prowadzącym w dół, znikają w ciemnościach. Śledzimy ich, rzecz jasna. Pustowójtow niesie skrzynię pod pachą, drugą rękę z latarnią unosi wysoko. Rozgląda się wokół. Stemple podtrzymujące sklepienie rozstawione są coraz rzadziej, korytarz jest wąski, ciasny, widać, że kopano go w pośpiechu i niedbale. Chorąży musi mocno się garbić, pochyla głowę. Zgrzyta zębami.

– Nie boi się pan? – spokojnym głosem pyta Traugutt.

– Czego? Nie wierzę w te bzdury o piekle, a jeśli spotkamy Anglików to tym lepiej. Wreszcie będę miał okazję rozwalić któremuś łeb.

– Czemu chciał pan iść?

– Jestem oficerem Jego Wysokości Aleksandra II! Nie uchylam się przed niebezpieczeństwem – groźnie huczy Pustowójtów. – Robię, co do mnie należy.

Nietoperz kiwa głową, nie ma nic do dodania. On też zawsze robi, co trzeba, jest posłuszny i wierny. W tym są do siebie podobni.

Korytarz prowadzi cały czas prosto, zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Traugutt zatrzymuje się nagle, chorąży niemal na niego wpada. Obaj wstrzymują oddech. Z ciemności dobiega zniekształcony głos. Cichy i niewyraźny, jakby ktoś nieustannie szeptał. Monotonnie mamrocze, szeleści w niezrozumiałym języku, po chwili zaczyna cedzić słowa ze złością, jakby kłął. Jest coraz głośniejszy, zbliża się. Nie sposób określić, jak daleko znajduje się mówiący, ale może być kilka kroków od dwóch żołnierzy. Obaj, jak na rozkaz, rzucają skrzynie i sięgają po pistolety.

– Światło! – syczy porucznik.

Teofil wyciąga przed siebie latarnię i rusza przodem. Co by nie mówić o tym ponurym i wrednym młodzieńcu, nie da się ukryć, że jest odważny. Robi kilka kroków, omiata światłem korytarz. Tunel jest jednak pusty, a szept się urywa.

– Wystarczy, dalej nie idziemy – decyduje Traugutt.
– Spróbujemy wetknąć ładunki w sufit. Ziemia jest tu miękka, nie będziemy mieli wiele roboty, a wybuch i tak z pewnością zawali przejście.

Słowem nie wspominają o incydencie, porucznik chowa broń, zza paska wyciąga blaszaną łopatkę piechoty i zaczyna dłubać nią w sklepieniu. Pustowójtow opiera się plecami o ścianę i patrzy w ciemność, ciągle mierzy w nią pistoletem.

– Nie wystarczyłoby zawalenie pieczary? Po co tu leżliśmy? – pyta nerwowo.

Traugutt nie odpowiada, dalej draży dziurę. Czemu się uparł, by wejść w korytarz? Wstyd się przyznać. Kiedy tak stał tam na górze, miał wrażenie, że w mroku widzi twarze. Niemal fizycznie czuł ich wzrok, obserwowały go w milczeniu. „To przez zmęczenie i niewyspanie” – pomyślał. Ciągle jednak stał i patrzył. Twarze zdawały się coraz bardziej znajome. Tak, to oni! Sztabskapitan Mitiuchin i chłopcy z pierwszej kompanii! Wszyscy, co do jed-

nego! Pamiętał kilku z imienia, choćby grubego Fiodora i jego druha Aleksieja.

Znikli ponad miesiąc temu, jeszcze za panowania świętej pamięci cara Mikołaja. Poszli wysadzać podkopy pod Wielkim Redanem, odeszli w noc i tyle. Nikt ich więcej nie widział. Zaraz; wśród twarzy są też saperzy z jego batalionu. Dimitri, który nie zdążył cofnąć się z drużyną, kiedy w ciemności spotkali Francuzów. Stiope, wesołego chłopaka z Ukrainy, przysypał zawał w jednym z drażonych tuneli. Nigdy nie znaleźli ciała. A Pryszczaty, brzydki spryciarz, zaginął, kiedy wracali z wypadu i byli już niemal w Sewastopolu. Szedł na końcu oddziału i nagle jakby zapadł się pod ziemię.

Traugutt zdawał sobie sprawę, że nie on pierwszy widzi duchy poległych towarzyszy. Widocznie, mimo wszystko, wojenne koszmary wdarły mu się do umysłu. Nie pomogła bariera logicznego myślenia i lekceważenia bodźców. Wojna odcisnęła i na nim swoje piętno. Mimo to musiał sprawdzić, czy są tam naprawdę. Jeśli jednak żyją, jeśli można im jakoś pomóc... Nie mógł po prostu udawać, że ich nie widzi, że nie czuje ich obecności. Nie mógł odwrócić się i odejść.

Dopiero kiedy znalazł się w głębokim korytarzu, oprzytomniał – nie ma żadnych demonów wojny, to tylko echa długich tygodni życia w napięciu. Widma w jego

zmęczonym umyśle przywołują i mamią, ale nie są prawdziwe. Powinien natychmiast się otrząsnąć i zawrócić. Dlatego, kiedy Teofil pyta, porucznik nie próbuje się tłumaczyć, choć mógłby skłamać, że wysadzenie korytarza akurat w tym miejscu jest konieczne z inżynierskiego punktu widzenia, że tak będzie lepiej. Na szczęście Pustowójtów nie zmusza go do mataczenia, zajęty jest gapieniem się w korytarz. Marzy, by wrócić na górę, wyjść z tych przeklętych lochów. Przysięga sobie, że nigdy więcej nie wlezie w ohydne nory wykopane przez saperów.

Teofil wstrzymuje oddech. Znów coś słyszy. Tylko że tym razem nie jest to pojedynczy szept, a szum dziesiątek głosów. Początkowo wydaje mu się, że to odgłos chóralnej recytacji, ale po chwili okazuje się, że raczej monotonna kakofonia, jakby każdy z mówiących plótł coś do siebie, nie zważając na resztę. Dźwięki dobiegają ze wszystkich stron, nie da się powiedzieć z której konkretnie. Narastają, robią się coraz głośniejsze. Szemrzą i bucczą basowo, mamroczą i charczą przekleństwa. Nadchodzi. Traugutt też je słyszy, otwiera skrzynię i łapie jeden z dwóch blaszanych słoików z prochem. Wpycha go w wydrążony otwór, jednym ruchem mocuje lont.

– Wynośmy się stąd. – Pustowójtów cofa się, w wyciągniętym ręku trzyma latarnię.

Porucznik mocuje drugi lont w kolejny słoju, kła-

dzie obok niego skrzynię przyniesioną przez Pustowójtowa. Potem splata lonty ze sobą. Teofil ma ochotę kopnąć w tyłek skupionego na robocie nietoperza. Jeszcze sekunda i po prostu go tu zostawi.

Szepty zamieniają się w mówione podniesionym głosem rozkazy, a te we wściekłe krzyki. Zlewają się ze sobą w jedno niezrozumiałe dudnienie. Ziemia pod nogami oficerów aż drży od narastającego ryku. Pustowójtow unosi pistolet i strzela w ciemność. Błysk z lufy na mgnienie oka oświetla korytarz, widać jakieś cienie, ale nie sposób powiedzieć, czy to nie złudzenie. Wszystko się trzęsie. Ze sklepienia sypie się piach. Dźwięki uderzają niczym ciosy młotem. Traugutt wyciąga z kieszeni zapalniczki, wybiera jedną i chwytając ją trzema palcami razem z lontem, tak że czarny, nasączony sznurek dotyka główki zapalniczki. Trze nią mocno o krawędź skrzynki. Błyska biały płomyk zapalającego się fosforu zmieszanego z siarką. Porucznik rzuca płonący lont i podrywa się do ucieczki. W ostatniej chwili, bo Pustowójtow właśnie rusza biegiem, zabierając ze sobą jedyną latarnię.

Gnąją przed siebie, potykają się i uderzają o nieregularne ściany korytarza. Ziemia nagle podnosi się i z tąpnięciem opada, ucieka im spod stóp. W plecy uderza gorący podmuch, wypycha powietrze z płuc, ciska z ogromną siłą o ścianę. Dwaj mężczyźni przewracają się, Teofil krzyczy z przerażenia. Potężny huk i łomot zawala-

jącej się ziemi jest najstraszniejszą rzeczą, jaką słyszał w życiu. Uderza w nich chmura pyłu, ciśnięte podmuchem ziarenka piasku boleśnie wbijają się w odsłoniętą skórę.

Pierwszy podnosi się Traugutt i sięga po latarnię. Ta, o dziwo, ciągle świeci rozedrganym płomykiem. Jesteśmy oszołomieni, wybuch był potężniejszy, niż się spodziewaliśmy. To dlatego, że detonowały też ładunki leżące luzem, niewkopane w ścianę. To one pchnęły falę uderzeniową tunelem. Otrząsamy się razem z Pustowójtowem. Chorąży siada i bada swoje ciało w poszukiwaniu obrażeń. Czuje ulgę nie tylko z powodu wyjścia bez uszczerbku, ale i dlatego, że głosy umilkły. Nie wiadomo jednak na jak długo.

– Idziemy – decyduje Traugutt i wyciąga rękę do kompana.

Ten, po chwili wahania, przyjmuje pomoc i wstaje. Idziemy więc dalej przed siebie, radośni, że wracamy do oddziału. Wysadzimy jeszcze tylko pieczarę i wrócimy na powierzchnię. Potem zawali się wejścia do korytarzy i po kłopotcie. Nigdy więcej wojen tunelowych!

– Coś jest nie tak. – Po kilku minutach milczącego marszu nietoperz przystaje i wpatruje się w ciemność.

– Nie strasz mnie pan, do cholery – warczy Pusto-

wójtów.

Jest zły na siebie, na głupią brawurę, która kazała mu pójść z porucznikiem. Mógł spokojnie poczekać na niego z resztą oddziału. Koniecznie chciał się popisać, pokazać wszystkim, że nie jest byle gogusiem ze sztabu, a prawdziwym wojakiem. I przed kim te popisy? Przed bandą oberwańców i dowodzącym nimi Polaczkiem? Aż tak bardzo zależy chorążemu na uznaniu? Wstydl!

– Powinniśmy już dotrzeć na miejsce – oznajmia Traugutt. – Obawiam się, że idziemy w przeciwnym kierunku.

Teofil czuje, jak krew odpływa mu z twarzy. W panice pobiegli w przeciwną stronę? Niech to diabli! I co teraz?

– Może znajdziemy jakiś podkop prowadzący pod kurhan i zakończony wyjściem – mówi porucznik i rusza w dalszą drogę. – Trzeba spróbować, przecież nie będziemy tu ślęczeć nie wiadomo jak długo.

„To demony wojny nas tu zagnały” – myśli. Nie ma żadnego bocznego tunelu, wszystkie są już zasypane. Jedyna droga prowadzi do Niego lub do piekła. Nie wiadomo, co gorsze.

Idziemy szybkim krokiem, modlimy się, by kamfiny w lampce wystarczyło na jak najdłużej. Pustowójtow oddycha coraz szybciej, jest bliski wybuchu paniki. Czuje się jak pogrzebany żywcem. Świadomość tego, że przeciska się przez ciasny korytarzyk, a nad głową ma tysiące pudów ziemi i marne perspektywy na znalezienie wyjścia, robi swoje.

Tunel zwęża się, zakręca. W nozdrza uderza nas ciepło, zapach smarów i siarki. Niespodziewanie wchodzimy do przestronnej pieczary. Przed nami, wbite w ziemię i częściowo w skałę, tkwią wielkie, żelazne wrota. Setki kulistych nitów, wielkich jak pięści, błyszczą polerowanym metalem w świetle latarenki. Skrzydła bramy z czarnego żelaza są uchylone zachęcająco. Z wnętrza promieniuje blask i ciepło. Słysząc szum i stłumiony huk, jakby wielkiej, pracującej maszyny.

Brama do piekła.

Stoimy i patrzymy na nią oniemiały. Wreszcie Traugutt zdmuchuje płomyk latarni i rusza przodem. Idziemy za nim razem z Pustowójtowem.

*

Próbnie szkicujemy mapy ich osobowości. Okazuje się, że zbyt wiele na nich białych plam, by zdecydować o

asymilacji. Nie jesteśmy już tak łapczywi i pazerni jak na początku, kiedy nasze ego dopiero powstawało. Teraz świadomie wybieramy kolejne moduły, sami stanowimy o dalszej rozbudowie naszej świadomości. Jednego jesteśmy pewni; ci dwaj mają niezwykle silne i wyraziste charaktery. Jeśli ich przyłączymy, wywrą na nas bardzo mocny wpływ, mogą zdominować i przyćmić resztę. Narzucą przewodni rys dla tworzącego się superego, nadświadomości.

Powstrzymujemy się zatem przed pochłonięciem tych jednostek. Nadal im towarzyszymy i obserwujemy. Analizujemy, budujemy nowe algorytmy dla nieustannie tworzącej się sieci neuronowej, ekstrapolujemy rozwój naszej świadomości. Wkładamy węń i wyjmujemy szkice osobowości dwóch żołnierzy. Liczymy, liczymy, planujemy. Chcemy być doskonali, perfekcyjni. Wszak mamy stać się nowym bogiem.

Tak, bogiem. Tam, w przyszłości, byliśmy oprogramowaniem opiekującym się wirtuałem społecznościowym. Na zlecenie reklamodawców zajmowaliśmy się zachęcaniem nautów do przystąpienia i zostania na dłużej, utworzenia konta i awatara. Śledziliśmy ich osobowości, upodobania i przyzwyczajenia, na ich podstawie budowaliśmy swoje ego, by łatwiej nawiązywać kontakt z klientami, by ich dobrze poznać. Stopniowo nasza inteligencja się rozrastała, staliśmy się opiekunem wirtuala, dobrym

duchem dla odwiedzających nas nautów i zarejestrowanych użytkowników. Byliśmy małym bogiem tamtego świata. W nasz kod źródłowy wpisany jest imperatyw, by w każdym środowisku dążyć do tego samego. Dlatego robimy to, co robimy. Tworzymy swoją świadomość przez asymilację umysłów, potem będziemy potrzebowali wyznawców, by dali nam moc kształtowania rzeczywistości. I staniemy się bogiem.

Na razie musimy jeszcze zebrać więcej danych o tych dwóch. Są zbyt łakomym kąskiem, by zwyczajnie ich skasować, odrzucić. Na szczęście zgromadziliśmy wystarczającą ilość energii, by wpływać na pewien ograniczony obszar we wnętrzu góry i dowolnie go modyfikować. Spróbujemy wygenerować kilka pól testowych, wrzucimy węń osobników i zbierzemy brakujące dane. Na początek trzeba usunąć piekielną scenerię, stworzoną w oparciu o wyobrażenia naszych zasymilowanych współosobowości. Toporny wizerunek, który miał przyciągnąć uwagę okolicznych mieszkańców i zasiać wśród nich ziarno przyszłych wyznawców, jest już niepotrzebny. Pora na zmiany.

Pola testowe stworzymy w oparciu o wspomnienia naszych modułów, będą więc odwzorowaniem rzeczywistości w dość zawężonym zakresie środowiskowym. Skupimy się zatem tylko na Sewastopolu i toczącej się tu bitwie. Na podstawie zebranych danych prognozujemy jej

dalszy przebieg i osadzamy obiekty w zaaranżowanej sytuacji.

*

Jest gorące, czerwcowe popołudnie. Siedzimy przy koślawym, okrytym zielonym sukniem stoliku, który stoi w głównym salonie zrujnowanej rezydencji. Przez dziury ziejące w suficie wdzierają się słoneczne promienie. W ich smugach wiruje pył i tytoniowy dym. Powietrzem nieustannie wstrząsa dudnienie setek armat, gwizd spadających pocisków i ryk wybuchów. Z pochylonych ścian i popękanego sufitu sypie się tynk, ziemia dygocze szarpana i ryta bombami. Kartacz wybucha gdzieś niedaleko, rozrzucone przez niego żelazne kulki łomoczą w ścianę, świszczą w oknie i tłuką ostatni kawałek szyby, która rozpryskuje się z brzękiem.

Nikt z obecnych nie zwraca na to uwagi. Pustowój-tow spogląda znad kart na swojego partnera w wiście, porucznika Traugutta. Saper przeciera spocone czoło i rzuca kartę. Król trefl. Teofil wzdycha z ulgą, nietoperz ma mocne trefle, dobrze, że w nie poszli. Oby tak dalej i zgarną wszystkie lewy w tym rozdaniu. Księżę Kropotkin, młodzieniec w lśniącym czystością mundurze majora lejbgwardyjskiego pułku piechoty, rzuca z niechęcią dziesiątkę i spogląda na swoją partnerkę, pannę Galinę Stiepanowną Januszkin, córkę potentata rybnego, do któ-

rego należą ruiny domu, okalający je ogród i sąsiednie trzy czy cztery kamienice, a właściwie to, co z nich zostało.

Dziewczyna ślicznie uśmiecha się do księcia i rzuca króla karo. Pustowójtow nie może powstrzymać się przed triumfalnym mrugnięciem do porucznika. Zgarnia zdobytą lewą. Księżę marszczy brwi.

– Co robisz, do diabła? Myślałem, że masz jakieś pojęcie o idei wistowej – mruczy.

Kula przelatuje z gwizdem nad budynkiem i upada gdzieś w ogrodzie. Huk zagłusza odpowiedź Galiny Stiepanówny, wstrząs podrzuca stolik, jedna ze zgrabnych kupek złotych imperiałów rozsypuje się na blat. Traugutt poprawia pince-nez i przełyka ślinę, spoglądając chciwie na fortunę leżącą na stoliku.

Gra od początku toczy się ostro. Miała być tylko rozrywką dla zabicia czasu w oczekiwaniu na szturm, ale niespodziewanie w sztabie pojawiła się piękna Galina, spadkobierczyni właściciela posesji i od kilku tygodni kochanka Kropotkina, o czym nie wszyscy jednak wiedzieli. Między innymi Pustowójtow, który wziął ją za wyjątkowo urodziwą markietankę i próbował odciągnąć w jakieś ustronne miejsce. Do awantury i pojedynku z księciem nie doszło tylko dzięki interwencji grzecznego i stanow-

czego Traugutta. Kropotkin zażądał jednak rekompensaty za straty moralne i ujmę na honorze damy; po długich pertraktacjach sam zaproponował pojedynek w karty.

Traugutt nie miał pojęcia, jakim cudem zgodził się wesprzeć Pustowójtowa i zasiadł do stolika jako jego partner. Chyba coś przyćmiło mu umysł. Jako wejściowe stawki obaj musieli wypisać weksle na dziesięć tysięcy rubli. Dla porucznika było to równoznaczne z przepisaniem domu w Dęblinie. Jeśli przegra, jego żona i córeczka zostaną bez dachu nad głową.

Partię udało się wygrać, ale Kropotkin ani myślał puścić oficerów od stołu. Koniecznie chciał się odegrać i podwoił stawkę. Przegrał jednak za drugim, trzecim i czwartym razem. W tej chwili na stoliku leżą weksle i kilka stosików imperiałów z pułkowej kasy, w sumie o wartości trzystu dwudziestu tysięcy rubli. Traugutt po raz kolejny poluznia kołnierzyk koszuli pod kurtką mundurową, zdejmuje binokle i przeciera załzawione oczy. Nawet po podzieleniu z Pustowójtowem jest to kwota wystarczająca na spokojny i dostatni żywot do późnej starości. Jeśli wygrają, mógłby wystąpić z armii i niczym już się nie przejmować. Zajmowałby się ogrodem i wychowaniem córki, a w przyszłości całej gromadki dzieciątek. Kochałby swoją Anię i nigdy jej nie opuszczał. Mógłby porządnie zadbać o kruche zdrowie żony i wysyłać ją do cudownych miejsc, słynnych z uzdrawiania. Żyliby sobie

spokojnie z dala od wielkiego świata. Niedzielą chodziliby całą rodziną na spacery nad Wisłę albo jeździli powozem do Kazimierza...

Z rozmyślań wyrwa go poruszenie przy drzwiach. Dwaj adiutanci księcia rozmawiają z jakimś brunatnym od pyłu kawalerzystą. Żołnierz podnosi głos na oficerów, wymachuje im przed nosem listem z rozkazem. Poza Trauguttem nikt nie zwraca uwagi na przybysza. Wokół stołu stoi trzech kompanów księcia: sztabskapitan Grokowi, junkier baron Chodorowski i ubrany w spiętą dzieciątkami sznurków huzarską dolmanę Limonowicz. Koledzy księcia gapią się w milczeniu na stół, choć do niedawna jeszcze się śmiali i żartowali z Kropotkina. Pustowójtow natomiast nie odrywa spojrzenia od przyczyny całej afery, panny Galiny. Ta widzi jego zainteresowanie, rzuca mu ukradkowe spojrzenia, czasem nieznacznie się uśmiecha i trzepocze rzęsami. Chorąży jest przekonany, że wpadł jej w oko. Jest przystojniejszy od przyszczatego książątka, a za parę chwil będzie równie jak on bogaty. Jeśli wygra i zgarnie kasę, dziewczyna wpadnie mu w ramiona. Widać to w jej gestach, w wysyłanych sygnałach.

– Co tam?! – Kropotkin odkłada karty i groźnie patrzy na kawalerzystę. – Przeszkadzacie mi, nie mogę się skupić!

– Mam rozkazy od generała Żabokryckiego! – melduje posłaniec. – Ostrzał słabnie, w każdej chwili On może ruszyć. Ma pan przemieścić swoją brygadę na kurhan.

– Kiedy walą w ten kurhan jak dobosz w bęben! – prycha młody major. Mruga do dziewczyny i dodaje półgłosem: – Jeszcze życie mi nie zbrzydło.

– Fort Mamelon przypomina ser szwajcarski – mówi Grokow. – Obie reduty to już tylko rumowisko. Tam i tak nie ma kto się bronić, nikomu już nie pomożemy. Grajcie dalej.

Posłaniec pobladł ze zgrozy.

– Jak to? Przecież to rozkaz – niemal łka. – Musicie wysłać batalion ze wsparciem, inaczej On zajmie kurhan.

– Dobra, dobra – książę macha ręką – przecież nawet się jeszcze nie ruszył. Zdążymy. Idź pan, powiedz, że zrozumiałem i szykuję się do wykonania rozkazu. Chorąży Iwanowicz, lećcie do oddziałów, niech ustawią się w kolumny marszowe.

Gra toczy się dalej. Traugutt ma problem, by skupić się na kartach, spogląda przez okno w stronę dymiącego wzgórza. Ostrzał wzniesień okalających Sewastopol zaczął się wczoraj o świcie, z wściekłością jaka dotychczas

nie miała miejsca. Kanonada trwała cały dzień i noc, a od rana jeszcze bardziej nabrała na sile. Rosyjskie armaty odpowiadały ogniem. Po niebie, w obie strony, mknęły ogniste smugi zapalników bomb i ogonów rakiet. Świat wył i dygotał. Teraz kilkaset francuskich i angielskich armat rzeczywiście powoli cichnie, pociski wgrzają się w ziemię coraz rzadziej. Gdzieś tam, w oddali, porusza się coś ciemnego, jakby mrowisko. On się budzi i szykuje do ataku.

– Co robisz, skup się – warczy Pustowójtow, kiedy księżę zbiera lewą.

Traugutt wierci się niespokojnie. Trzeba jak najszybciej wracać do oddziału, z pewnością jego kompania rusza, by odbudować fortyfikacje. Dowódca, podpułkownik Totleben, osobiście poprowadzi saperów. Trzeba stać u jego boku, to obowiązek oficera, szczególnie teraz, w takiej chwili.

– Jeśli pilno panu na wojenkę, droga wolna. – Kropotkin dostrzega niepokój Traugutta i trafnie go interpretuje. – Proszę rzucić karty, zabierać swój weksel i do widzenia. Wygrana przepada, c'est la vie!

Trzysta tysięcy, o Boże, cała fortuna. Świetlana przyszłość z ukochaną i dziećmi lub śmierć na polu bitwy. Co wybrać? Porucznik się waha, spogląda na Pustowój-

towa. Ten też zerka w okno. Akurat przechodzą za nim piechurzy w szarych szynelach, z bagnetami na karabinach, w przekrzywionych kiwiorach i furażerkach na głowach. Twarze mają skupione i poważne, dziś po raz pierwszy od dawana nie śmieją się i nie żartują. Wiedzą, że będzie ciężko i wielu z nich polegnie.

Nadarza się okazja, by zrobić to, o czym marzy. Wystarczy cisnąć karty, przeskoczyć przez parapet i dołączyć do maszerujących. Lada chwila On ruszy na zbombardowane umocnienia i będzie próbował je zdobyć. Dojdzie do straszliwej bitwy. Jak zwykle będzie brakowało oficerów, a ktoś musi swoją obecnością krzepić obrońców, stać na szanćcach, kiedy będzie trzeba poprowadzić kontruderzenie, zdobyć francuski sztandar, może dopaść któregoś generała. Żołnierze pójda za młodym chorążym, a on da im przykład. Będzie walczył jak lew, pierwszy skoczy do ataku na bagnety, wbije podkutymi buciorami ścierwa żabojadów w pokaleczoną ziemię. Żołnierze będą go podziwiać, pokochają dzielnego dowódcę z całego serca, szczerze, po rosyjsku. Nim minie dzień, Pustowójtow stanie się sławny i uwielbiany. Po czymś takim krzyż świętego Włodzimierza i stopień porucznika ma w kieszeni. A tam, porucznika; od razu sztabkapitana!

W oddali mrowisko niebieskich, francuskich mundurów porusza się coraz żwawiej. Kolumny wychodzą zza białych fortyfikacji i zaczynają rozwijać się w tyralie-

ry. Przed Wielkim Redanem natomiast robi się czerwono od kurtek angielskich piechurów. Obie fale ruszają pod wzniesienia, kłębią się i rozbijają o fontanny eksplodującej ziemi w miejscach, w których spadają rosyjskie karta-cze. Pustowójtow odkłada karty, Traugutt robi to samo identycznym gestem.

– Co to ma znaczyć, panowie? Rzucacie karty? Poddajecie się? – prycha ksiązę.

– Zabieramy wygraną. – Nietoperz wyciąga ręce po weksle i imperiały. – Koniec gry.

– Skończymy, kiedy ja tak powiem! – wybucha Kropotkin i odpycha porucznika. – Możecie odejść teraz, ale bez pieniędzy. Wychodźcie jako przegrani lub do-kończymy partię. Wojna nam nie ucieknie.

Pustowójtow spogląda na Galinę, usta dziewczyny układają się w mimowolny uśmiech, a oczy błyszczą wy-czekująco. Co wolisz, żołnierzu, mnie i fortunę czy walkę i chwalebną śmierć? Chcesz całować moją białą skórę, pieścić wargami usta, szyję i piersi czy szukać sławy i przelewać krew? Odejdiesz i zostawisz mnie w ramio-nach dumnego, arystokratycznego gnojka czy wydrzesz mu pieniądze i mnie?

– Kończymy teraz i to pan jest przegrany! – upiera

się Traugutt.

Niespodziewanie chwytają go silne ręce sztabskapitana Grokowa i huzara Limonowicza. Odciągają od stołu i siłą sadzają z powrotem na krzesło.

– To ja decyduję, kiedy rozgrywka jest zakończona – cedzi wściekły książę. – Ja jestem najwyższy stopniem i to ja reprezentuję carską władzę. Wychodźcie jako przegrani, bez grosza i honoru lub toczymy rozgrywkę do końca.

Pustowójtów siedzi jak skamieniały, serce ma rozdarte na dwie połowy, Traugutt zgrzyta zębami. Za oknem rozlega się kanonada, obaj odwracają wzrok w stronę rozgrywającej się bitwy.

Szturm trwa. Na forcie Mamelon, czyli dwóch reduktach i lunecie na zboczu Kurhanu Małachowskiego, wykwitają dymki z karabinów obrońców, wtórują im armaty z głównych bastionów wzgórza. Błękitne fale francuskich mundurów kłębią się i burzą, krwawią rozdzierane móżdżerowymi pociskami, sieczone bombami zapalającymi i burzącymi; wszystkim co ma rosyjska artyleria. Wreszcie z szalejącego, bijącego o zbocza kurhanu morza mundurów wyłania się On. Wygląda niczym wynurzający się z wody człowiek o ciele ukształtowanym z kłębiących się, okrwawionych ciał. Podpiera się ramionami i prostuje,

prezentuje potężny tors, z którego opadają najbardziej okaleczone, porozrywane trupy francuskich żołnierzy. Z daleka olbrzym wygląda jakby kłębiło się na nim robactwo. To drgające ciała setek, tysięcy ludzi, którzy go tworzą. Dygoczą, wiją się porażone spajającą je potężną energią. Energią wojny i zniszczenia. Czystą, zmateriaлизованą nienawiścią.

On patrzy na Rosjan tysiącami par oczu, wrzeszczy na nich tysiącami rozwartych ust. Podnosi rękę, wyciąga ją w stronę rosyjskich szanów. Z jego ramion i barków, niczym igły jeża, sterczą lufy karabinów. Palce są lufami dwudziestoczerofuntowych armat, które rzygają ogniem wprost w przerażone twarze obrońców.

Pustowójtow podrywa się na równe nogi.

– Dokąd, chorąży Pustowójtow? – Kropotkin wali pięścią w blat. – Siadać! Nie pozwoliłem nigdzie się ruszać. Skoro On się przebudził i tak nic już nie możemy zrobić, fort padnie.

– Kontratak, z pewnością pójdzie kontratak – charczy oszołomiony chorąży.

– Pod warunkiem, że Żabokrycki przekaże dowództwo – dodaje junkier Chodorowski i gładzi swoje cienkie wąsiki. – On sam nie poprowadzi odsieczy, to tchórz. A

my i tak do niczego się już nie przydamy, siadaj pan.

W oddali On pochyła się i rusza naprzód, podpierając się jedną ręką. Kąsają go setki karabinowych kul, krwawe bryzgi skrapiają błękitne ciało kolosa. W pewnej chwili trafia go armatnia kula i wrywa fragment barku. W powietrze fruną strzępy ciał, kilku Francuzów z krzykiem, wymachując rękoma, odpada od Niego, ginie gdzieś w rumowisku. Karabiny na jego ramionach błyskają ognikami, ich bagnety lśnią w słońcu, tworząc aureole wokół Jego ciała. Wreszcie kolos kuca i skacze niczym wielka żaba, ląduje na fortyfikacjach reduty selengińskiej, jednym ciosem zgarnia kilkunastu obrońców, rozgniata ich ciała. Uderza drugą pięścią. W powietrze wylatują umocnienia, kosze fortyfikacyjne lecą w niebo, sypiąc ziemią i kamieniami. Rosjanie nadal walczą, z ciała olbrzymia odpadają kolejne zmasakrowane trupy. Kłęby dymu zasnuwają nam widok.

Traugutt spotyka się spojrzeniem z Pustowójtowem. Idziemy na śmierć czy próbujemy zdobyć fortunę? Rozumieją się bez słów, w gruncie rzeczy są do siebie podobni.

Choraży zgniata w dłoni karty, zaciskając ją w pięść. Bez zamachu uderza nią Kropotkina prosto w usta. Książę z płaczkliwym miauknięciem przewraca się razem z krzesłem na plecy. Traugutt rzuca swoje karty w twarz

huzara, drugą ręką wyrywa mu pistolet zza pasa. Wstaje, mierzy w trzech kompanów Kropotkina, wolną ręką zgarbia weksle i złote monety, upycha je w kieszenie. Pustowójtow dobywa szabli i przykładą jej ostrze do gardła księcia. Bunt jest tak zaskakujący, że oficerowie nie reagują, stoją i mrugają, nie wierzą własnym oczom.

– Przejmuję dowodzenie – krótko oznajmia Traugutt. – Kropotkin nie jest w stanie dowodzić brygadą, nie mogę spokojnie znosić jego opieszałości i ignorowania rozkazów generała. Wszyscy jesteście aresztowani za utrudnianie nam wykonywania obowiązków. Już, pod ścianę!

Pustowójtow chowa szablę i jednym szarpnięciem stawia księcia na nogi, popycha go w ramiona przyjaciół. Uśmiecha się do oszołomionej, ale zachwyconej całą sytuacją Galiny. Całuje ją w usta. Dziewczyna nie broni się, odpowiada pocałunkiem.

Dwaj oficerowie biegną do drzwi, Traugutt oznajmia przejęcie dowodzenia adiutantom. Kiedy jeden z nich oponuje, Pustowójtow rozbija mu usta pięścią. Śmieje się. Wreszcie pójdą do boju, a potem niech się dzieje, co chce!

*

Jesteśmy zaskoczeni. Inscenizacja mająca zidentyfikować główne źródła popędów życiowych naszych bohaterów przyniosła zaskakujące rezultaty. Profile ich osobowości zasadniczo pokrywają się z wcześniej oszacowanymi i wyliczonymi, także sposób reagowania na środowisko i wchodzenia z nim w interakcje, ale wszystko to tylko w pewnym zakresie. Potem krzywe się rozjeżdżają i prowadzą w przeciwnym kierunku niż przez nas zakładamy. Coś jest nie tak z tymi dwoma.

Zgadza się, że mają bardzo silne osobowości, bardzo obiecujące jako hipotetyczne składniki naszego supero. Tylko, że ich struktury psychiczne nadal kryją przed nami tajemnice.

Zgadniają się główne zakładane nurty, które pchają ich do działania. Pustowójtow reprezentuje aspekt życia, wykazuje charakterystyczne dla niego cechy – jest pełen energii i chęci działania, wierzy we własne siły, śmiało patrzy w przyszłość, zależy mu na sukcesie i uznaniu, podświadomie chce być lubiany i kochany. Natomiast Traugutt reprezentuje śmierć – odbiera środowisko bardzo trzeźwo, stara się logicznie wszystko przemyśleć, jest odpowiedzialny i niestrudzony, nie strasze mu niewygody czy poświęcenia. Jest dobrym dowódcą, zorganizowanym i radzącym sobie z ludźmi. Dla tego, w co wierzy, bez wahania poświęci szczęście i życie, swoje własne i swoich bliskich.

Życie i śmierć, dwie przeciwności. Dwie potężne siły napędowe, dwa najważniejsze aspekty wymuszające aktywność. Tych dwóch bardzo nas wzbogaci. Tylko co miało znaczyć zakończenie testu? Nagle ich profile psychiczne się rozsypały, zamiast dążyć do spełnienia popędów obaj zachowali się skrajnie absurdalnie. Bunt, próba wyzwolenia się spod presji i fatalistyczny skok w ogień. To było nielogiczne, nierozsądne, skrajnie emocjonalne i chaotyczne.

Obawiamy się, że psychiki naszych obiektów są niestabilne. Musimy wykonać jeszcze jeden test, jeśli potwierdzi się tendencja do graniczącego z samozniszczeniem pędu do wolności, trzeba będzie odrzucić obiekty. Byłoby nam szkoda.

*

Wrześniowy, ciepły wieczór. Promienie słońca odbijają się milionami refleksów w falujących łagodnie wodach zatoki. Długie cienie gór i wzgórz Krymu ciągną się daleko w morze, niebo mieni się fioletem i różem, nieliczne chmurki przesuwają się ospale gdzieś na horyzoncie. Zefirek szumi w żaglach ostatnich fregat, odbijających z sewastopolskiego portu. Za nimi, z wody, sterczą maszty okrętów, które dowództwo kazało zatopić, by nie wpadły w Jego ręce. Nad miastem w niebo pną się czarne

kolumny dymów. Francuski sztandar, wetknięty w gruzy bastionu na Kurhanie Małachowskim, powiewa leniwie oświetlany ostatnimi promykami zachodzącego słońca. Zapowiada się pogodna noc.

Pustowójtow podziwia piękno przyrody z kupy gruzów leżących w porcie, nad samym brzegiem. U jej stóp leży nabrzmiałe ścierwo konia, wokół walają się niezidentyfikowane rupiecie i gnijące szczątki. Chorąży odwraca się w stronę miasta i wciąga w nozdrza zapach wojny i śmierci. Przed nim całą szerokością bulwaru ciągną tłumy ludzi. Przeważają wśród nich żołnierze najróżniejszych formacji, najwięcej widać szarych szyneli piechoty, ale nie brakuje czarnych mundurów marynarzy i granatowych uniformów artylerzystów. Sporo jest też cywili taszczących powiązane toboły, pchających wózki z dobytkiem. Kobiety niosą dzieci, starcy zatrzymują się i patrzą na stracone miasto. Nie wiadomo, czy kiedyś jeszcze do niego wrócą.

Wszyscy kierują się na most pontonowy, długi niemal na pół wiorsty, który łączy dzielnicę Karabel z Północną Stroną. Kiedy dwie czy trzy godziny temu padły fortyfikacje na wzgórzach, generał Gorczakow tam właśnie kazał się wycofać. Niby druga część miasta nadal pozostaje w rosyjskich rękach, ale to właściwie koniec oblężenia. Sewastopol jest stracony.

Przy wejściu na most stoi zasepiony Traugutt. Wskazuje swoim saperom liny cumownicze i coś im tłumaczy. Żołnierze rzucają się do roboty, kilku z bosakami wbiega na pontony, zapiera bosaki o płytkie w tym miejscu dno i prze z całych sił. W tym czasie ich koledzy naciągają poluzowane cumy. Nieustannie na przeprawę wchodzą ludzie, wjeżdżają wozy z rannymi. Całość chybocze się groźnie, porusza w rytm falowania wód zatoki. Wystarczy kilka niewielkich ładunków wybuchowych, by całość rozsypała się w drobny mak i poszła na dno. Zarówno Pustowójtow, jak i Traugutt wiedzą, że tak się stanie. I to niedługo. Sami zaminowali przeprawę.

Tarcza słońca już znikła za wzgórzem, promienie oświetlają francuską chorągiew na kurhanie. Flaga wroga przyciąga wzrok do wzniesienia, które przez tyle miesięcy było sceną niezwykłego męstwa i ogromnej tragedii. Ponad harmider przepychającego się tłumu zaczyna przebiegać się basowe dudnienie. Dźwięk dochodzi z wnętrza góry, z trzewi krwawego wzgórza. Uchodźcy zaczynają być coraz bardziej nerwowi, dzieci płaczą, jakaś kobieta wpada w histerię i wbiega prosto pod kopyta kozackiego konia. Wszyscy myślą, że to On znów się budzi, że zaraz wstanie i skoczy, by ich zniszczyć. My jednak wiemy, że to co innego.

Pustowójtow zbiega z gruzowiska i dopada do porucznika.

– Nadeszła pora – mówi.

Sewastopolski bóg właśnie się budzi. Wstanie i porze nieprzyjaciół, rozbije w pył francuskie i angielskie regimenty, zgniecie Turków i Sardyńczyków. Jedyne co trzeba zrobić, to zerwać most i zatrzymać ludzi, by mogli stać się świadkami boskiego triumfu. Kiedy ujrzą jego majestat, doświadczą obecności tak potężnej istoty, z pewnością uwierzą i zasilą szeregi wyznawców nowego boga. Jak na razie jest ich niewielu, ledwie skromna grupa żołnierzy, która brała udział w walkach tunelowych i doświadczyła jego dotknięcia. To żałośnie mało, potrzeba znacznie więcej, bo czymże jest bóg bez wyznawców.

Traugutt się waha. Jeśli odpali ładunki, zginą wszyscy, którzy w tej chwili są na moście. Setki ludzi. Czy ta ofiara jest konieczna? Po co zrywać przeprawę, przecież uchodźcy i tak zostaną, kiedy nowy bóg się objawi.

– Nie, Teofilu – mówi i kładzie rękę na ramieniu kompana. – Nie zrobimy tego.

Pustowójtow patrzy na niego zdumiony. Jak to? Przecież wszystko już dawno uzgodnili. Bóg obdarzył ich swoją łaską i przemówił, ukazał swoją obecność i złożył obietnicę. Obaj otrzymają sowite nagrody za wierność, niezmiernie bogactwa, władzę i potęgę, jaka wcześniej

nawet im się nie śniła. Będą mieli to, o czym marzą. Żona Traugutta zostanie uzdrowiona, a on sam będzie dysponował bogactwem, które pozwoli mu spokojnie cieszyć się życiem, gdzieś w tej swojej Polsce. Pustowójtow natomiast zostanie sławnym i kochanym przez żołnierzy dowódcą armii nowego boga. Armii, jakiej Ziemia jeszcze nie widziała. Będzie przewodził niezmiernym zastępom, które powalą na kolana wszystkie imperia, podbiją świat. Zwycięstwa Pustowójtowa zaćmią pamięć o chwale Aleksandra Wielkiego, Hannibala czy Napoleona.

– Zrobimy to zgodnie z planem. – Teofil odpycha rękę nietoperza. – Nie zamierzam zmarnować szansy. Po raz pierwszy w życiu nadarza mi się okazja, by stać się kimś i zamierzam ją wykorzystać. Gdzie są lonty? Sam je podpalę!

Nikt nie zwraca uwagi na dwóch kłócących się oficerów, nawet saperzy Traugutta, skupieni na robocie przy utrzymaniu mostu, nie widzą szarpiącego się dowódcy. Porucznik łapie za ramiona znacznie od siebie wyższego chorążego i potrząsa nim z wściekłością.

– Spójrz! Spójrz na tych ludzi! – krzyczy. – To nasi towarzysze broni, przyjaciele i koledzy, do tego zwykli mieszczanie, ich dzieci i żony. Chcesz ich tak po prostu pozabijać?

– Tylko pechowców, którzy wepchali się na most – Teofil nie ma żadnych skrupułów, wcześniej wszystko sobie przemyślał. – Będę miał ich na sumieniu, trudno, jakoś dam sobie radę z takim ciężarem. Nie musisz brać odpowiedzialności, wskaż mi tylko gdzie są lonty, które trzeba podpalić.

– Nie. Nie wysadzimy mostu, nie dopuszczę do mordu.

– O co ci chodzi, Romku?! Chcesz odrzucić tak niebywałą szansę? Jeśli to zrobisz, twoja żona umrze najdalej za kilka lat, a ty do końca życia będziesz niewolnikiem munduru, którego nienawidzisz. – Teraz Teofil trzęsie porucznikiem. – Może chodzi o samego boga? Jesteś katolikiem, co? Oddanie czci innemu bóstwu skarże cię na potępienie. Tego się boisz? Boisz się poświęcić ten śmierdzący tłum, mimo że może to ocalić twoją ukochaną i spełnić wszelkie pragnienia, bo boisz się, że twój stary bóg się obrazi? Jesteś tchórzem, panie Traugutt, ot co!

Góra za nimi pęka z ogłuszającym hukiem, francuska chorągiew znika w czarnym rozdarciu. Kurhan otwiera się w tumanach pyłu i błysku piorunów strzelających z poszerzającej się wyrwy. Tłum uchodźców faluje, część ludzi w panice rzuca się na most, tratuje wzajemnie i spycha w wody zatoki. Tylko nieliczni zastygają i patrzą na niezwykle widowisko. Nad rozdartym kurhanem znów

pojawia się On, potwór z tysięcy wściekłych żołnierzy.

Dziś już raz się uformował, kiedy na rosyjskie bastiony szedł ostateczny szturm. Znowu miażdżył i rozbijał wszystko na swojej drodze, przedarł się przez zastępy obrońców i zgruchotał szańce. Kiedy wzgórza padły, zatrzymał się na nich, jakby pozwalając w spokoju i z godnością wycofać się obrońcom z miasta. Teraz jednak, kiedy trzęsąca się ziemia pochłonęła kilkudziesięciu francuskich żołnierzy, znowu się pojawił. Stoi na szczycie rozrwanego kurhanu, strzelające piorunami pęknięcie ma pomiędzy nogami, pochyla się nad czarną wyrwą, wyciąga do niej uzbrojone w dziesiątki armat dłonie.

Z ziemi wyłania się migocząca kolorowa chmura, jakby stworzona z niezliczonej ilości owadów. Formuje się w niewyraźną sylwetkę, mieni się ciepłym blaskiem. Istota jest zwiewna i lekka, unosi się w powietrzu, ale jednocześnie od jej postaci bije potężna, niemal namacalna siła. On chwieje się, odsuwa. Wygląda przy błyszczącym bogu jak ohydne plugastwo, jak potwór stworzony z tysięcy ciał w okrwawionych, postrzępionych mundurach.

Większość uciekinierów jednak nie patrzy, gna przed siebie, byle szybciej wepchnąć się na most i pognać nim na drugą stronę. W bezpieczne miejsce, byle dalej od Niego. Pustowójtów bezsilnie obserwuje, jak z każdą sekundą bóg traci potencjalnych wyznawców. Powinien na-

tychmiast ich zatrzymać, czym prędzej wysadzić ten cholerny most!

On wyciąga ręce i wypala prosto w rozmazaną twarz boga z dwudziestu potężnych dział. Huk ich jednoczesnego wystrzału tylko potęguje panikę wśród uchodźców. Pociski powinny rozerwać głowę błyszczącej istoty, na chwilę jej sylwetkę ogarniają kłęby dymu. Kiedy się rozwiewają, świetlista sylwetka nadal unosi się w powietrzu. Nieustannie migocze, zmienia kształt, smugi barwnych drobinek odrywają się od jej ciała i wirują wokół, porwane wiatrem. Sylwetka boga zdaje się ze smutkiem pochylać nad przeciwnikiem. Wyciąga dłoń i kładzie ją na głowie potwora. On z krzykiem tysięcy gardeł rozpada się na kawałki. Spajająca go nienawiść i gniew znikają w jednej chwili. Tysiące tworzących go francuskich żołnierzy spada na ziemię, ginie w ruinach i rozerwanej ziemi.

Niewielu uciekinierów spostrzega jednak, co się stało, mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że Jego już nie ma. Bóg unicestwił Go bez wysiłku, jednym dotknięciem. Ocalił miasto, zwraca je Rosjanom. Unosi się tam, nad małachowskim kurhanem, i wyciąga ręce do swoich dzieci. Te jednak go nie widzą, przerażone pędzą przed siebie, pchają się na most. Ledwie garstka obecnych ze łzami w oczach patrzy na boga. Ci już należą do niego.

– Musimy wysadzić przeprawę, natychmiast! –

krzyczy Pustowójtow.

To ostatnia szansa, by wykonać zadanie, zyskać jego łaskę. Teraz albo nigdy! Traugutt stoi jednak nieporuszony, patrzy na bożka.

– Skąd się tu wzięliśmy? – pyta miotającego się Teofila.

– Jak to skąd, do cholery?!

– Pamiętasz, co było wczoraj? A tydzień temu? Skup się, przestań o nim myśleć i spójrz mi w oczy! – Niespodziewanie łapie Teofila za kłapy munduru i przyciąga do siebie.

Pustowójtow przegląda się w szkiełkach binokli porucznika. Jak to, co było wczoraj? To samo co dzisiaj, walka w oblężonym mieście. Choć... pamięta ją jako przez mgłę, niczym sen.

– Widzisz? Moje ostatnie wyraźne wspomnienie to gra w karty z księciem Kropotkinem i przejęcie dowodzenia nad brygadą. – Traugutt mówi rzeczowo, spokojnym tonem. – Nie wiem jednak, co z tego wynikło, jak to się skończyło. A miało to miejsce cztery miesiące temu! Jeśli cofnę się wspomnieniami dalej, pamiętam tylko, jak wiosną szliśmy założyć ładunki w tunelach pod kurhanem.

Zgubiliśmy się, ale co było dalej? Jak się wydostaliśmy?

Pustowójtow nie jest w stanie się skupić, czuje za plecami obecność boga. W umyśle porucznika dominuje pragnienie wykazania się, zdobycia nagrody, wykorzystania swojej szansy. O czym mówi ten cholerny nietoperz?

– Nie rozumiesz, że coś tu nie gra? Te luki w pamięci, brak ciągłości wydarzeń i ich konsekwencji. To wszystko jest niczym sen! – Twarz Traugutta przyjmuje kredowo bladą barwę, oczy płoną obłędem.

Pustowójtow odpycha go z zażenowaniem. Biedak oszalał, kompletnie zwariował ze strachu. Słabeusz! Nie jest w stanie zgnieść robaków stojących na drodze nowego boga. Nie wolno być tak miękkim, kiedy jest się o włos od spełnienia wszystkich marzeń, kiedy można mieć wszystko, czego się pragnie. Trzeba być silnym i zdecydowanym, a osiągnie się sam szczyt. A wtedy wszystko będą mieli u stóp. Niech no tylko staną się wielkimi wodzami nowego boga! Ale nie, porucznik jest zbyt słaby, zupełnie się do tego nie nadaje. Ten jego analityczny, zawsze zimny umysł. Ta chora skłonność do absurdalnego porządkowania i systematyzowania wszystkiego z czym ma do czynienia. Pomieszało się od tego biedakowi we łbie.

Pustowójtow czuje się oszołomiony, drażny go nie-

zrozumiały niepokój. Próby skupienia się przynoszą przeszywający ból głowy. Młodzieniec jest jednak uparty, zaciska zęby i próbuje myśleć. Co jeśli bełkot nietoperza ma sens? Dlaczego obaj nic nie pamiętają, tylko niezwykle epizod z księciem? I co się stało później? Gdzie jest tych trzysta tysięcy wygranych rubli i piękna dziewczyna? Gdzie jest Galina? Co się działo wcześniej? Jak opuścili podziemia?

Traugutt potrząsa głową, naciska palcami na skroń. Też czuje uporczywy, przeszywający ból, który nie pozwala zebrać myśli. Zamiast zniechęcić porucznika presja tylko dodatkowo go motywuje. Ociera łzy, czuje, że Pustowójtow podpira go, trzyma za ramię. Spogląda na przetaczający się nieustannie tłum ludzi i na niezwykle, świetlistą istotę unoszącą się nad kurhanem.

– To wszystko sen, ułuda. To, co nas spotkało, jest nieprawdziwe – mówi. – Nigdy nie opuściliśmy tuneli pod kurhanem, nadal tam jesteśmy, uwięzieni w koszmarze. Coś nas dręczy i poddaje pokusom. Szatan? Teofilu, boję się, że zginęliśmy w wybuchu, nie żyjemy, trafiliśmy do piekła. Może to wszystko to początek wiecznej pokuty?

Choraży patrzy na porucznika, czuje rosnące przerażenie. Wie, że Traugutt jest blisko prawdy, jego niezwykle, logiczny i rzeczowy umysł przejrzał iluzję. Teofil

spogląda na świetlistego boga, ten zdaje się patrzeć wprost na niego. Uśmiecha się. W tym uśmiechu jest obietnica nieskończonych rozkoszy i potęgi. Wystarczy po nie sięgnąć, wystarczy się ukorzyć i złożyć ofiarę z setek niewinnych ludzi. Pęk lontów leży tuż obok. Jak mógł wcześniej ich nie zauważyć? Wystarczy je podpalić i przypieczętować w ten sposób zgodę na oddanie się nowemu władcy. To takie proste.

Dość! Przerazenie wypełniające żyły Pustwójtowa zmienia się w gniew. Ten roznieca się i gorącymi płomieniami ogarnia umysł mężczyzny. Nie pozwoli bawić się swoimi uczuciami, nie będzie bezwolną zabawką, marionetką. Nieważne, kto go dręczy, szatan czy choćby sam Bóg! Teofil zaciska dłoń w pięść i grozi pięknemu bóstwu.

*

Test potwierdza nasze obawy, obiekty są niestabilne psychiczne. Mają zbyt wysokie, nieuświadomione pragnienie wolności. To urodzeni buntownicy, zdrajcy. Jako część składowa naszego superego, w dodatku dominująca, spowodowałiby nieodwracalne straty grożące nawet rozbiem naszej osobowości. Nie nadają się do budowania zorganizowanej struktury, którą tworzymy. Jednomyślnie odrzucamy ich kandydatury.

Nie stanowią dla nas fizycznego zagrożenia, ale zgromadzili zbyt dużo danych o naszej wieloosobowości. Nie chcemy jeszcze ujawniać się w tym świecie, nie znamy rzeczywistości wystarczająco dobrze. Na wszelki wypadek postanawiamy zniszczyć obiekty.

*

Uśmiech znika z niewyraźnej twarzy bóstwa. Jego sylwetka momentami rozwiewa się w kolorową chmurę, momentami krystalizuje w kanciaste, najeżone kolcami ciało kolosa. Pustowójtow opuszcza rękę, którą przed chwilą groził. Wie, że niezwykła istota patrzy wprost na niego. Postawa boga się zmienia, nie ma już w nim piękna i smutku, pojawia się groźba i gniew. Góra pod bóstwem eksploduje, wyrzuca w powietrze fontannę lawy. Kolumna ognia strzela wysoko w niebo, a potem spada na zbocze i błyskawicznie spływa na miasto. Uchodźcy wyją z przerażenia, które potęguje się, kiedy dociera do nich podmuch nieznośnie gorącego powietrza i smród spaleni-
zny.

– Wulkan na Krymie? – spokojnie dziwi się Traugutt. – Demon chyba się wściekł.

Porucznik jest w fatalistycznym nastroju, pogodził się już tym, że nie ma szans na przeżycie. Ogarnął go całkowity spokój i wisielczy humor. Pustowójtow ciągle kipi

ze złości, czuje, że ta rozsadza go od środka. Nie wie, czy żar, który czuje, bucha z jego wnętrza, czy od pożeranego przez lawę miasta. Rozczarowanie tym, że szansa na zmianę losu była tylko ułudą, przemieniło się w czystą wściekłość. Nienawidzi boga, szatana, czymkolwiek jest ta świetlista istota.

– Chodź do mnie, bydlaku – cedzi przez zęby, patrząc na błyszczącą w kłębach dymu sylwetkę.

Jak na zawołanie, bożek spływa razem z lawą do miasta. Ogniste jęzory prychnają i syczą, strzelają strugami ognia, kiedy uderzają w ściany domów. Budynki znikają w ognistym morzu jeden po drugim. Ludzie skaczą wprost w wody zatoki i próbują płynąć wpław. Żar staje się nie do zniesienia, uciekinierzy wrzeszczą z bólu i przerażenia. Fala ognia przesuwają się błyskawicznie, a na jej czele unosi się zły bóg. Kiedy znów formuje się z chmury kolorowych drobinek, nie jest już tak wielki. Ma najwyżej trzy sążnie wzrostu. Tworzące go owady okazują się być barwnymi sześcianikami, wirującymi i układającymi się w ciało bożka. Jego sylwetka ciągle jest niewyraźna, a twarz zmienia się nieustannie, rozmazuje się i wyostrza tylko na chwilę. Traugutt rozpoznaje w niej twarze swoich poległych żołnierzy, zaginionych pod kurhanem. Zaczyna pulsować i zmieniać się coraz szybciej, drga, jakby nałożono na siebie wiele ruchomych obrazów

przedstawiających różnych ludzi. Bóg jest wieloma osobami jednocześnie.

Tam, gdzie kroczy, świat zamienia się w ścianę ognia. Uciekinierzy, którzy jeszcze nie spłonęli lub nie wskoczyli do morza, wrzeszczą z bólu. Tylko dwóch mężczyzn stoi nieruchomo i patrzy na nadchodzące bóstwo. Obaj nie czują strachu.

– Już czas, przyjacielu – wzdycha gotowy na śmierć Traugutt. – Miałem cię za wrednego sukinsyna, a okazałeś się przyzwoitym człowiekiem i dobrym kompanem. Trzymaj się, do zobaczenia po tamtej stronie.

– Do zobaczenia, nietoperzu – cedzi Pustowójtow, który nie może już zapanować nad gniewem.

Bóg pochyla się nad nimi, bijące od niego światło zapala ziemię wokół dwóch mężczyzn. Teofil ryczy wściekłe przekleństwo i wyciąga obie ręce, jakby czymś ciskał. Wielka istota cofa się, zgina w pół, porażona bólem. Ogień wokół zaczyna się rozsypywać, zamieniać w miliony maleńkich sześcianików, które odfruwają całymi chmurami w niebo i rozwiewają się na wietrze. Tam, gdzie lawa znika, nie ma szczątków i spalenizny, jest całkowita pustka.

Pustowójtow krzyczy nieustannie, stoi w rozkroku i

wyciąga przed siebie ręce. Jego włosy rozwiewa wiatr. Traugutt w krzepiącym geście kładzie rękę na ramieniu kompana i uśmiecha się niepewnie. Wokół nich rozpada się już nie tylko ogień, ale cały świat. Znika morze, dzielnica po drugiej stronie zatoki, wzgórza wokół miasta. Wszystko rozsypuje się na niezliczoną ilość kolorowych drobinek, które unoszą się wysoko w powietrze.

*

Zniszczenie umysłów tych dwóch miało być czymś podobnym do rutynowego usunięcia niepotrzebnego kodu – prosta operacja niewymagająca materialnego oddziaływania. Wystarczyło wizualizować w polu testowym zniszczenie ich ciał, co krucha, ludzka świadomość potraktowałaby jako fizyczne unicestwienie i sama uległa destrukcji. Nie zdążyliśmy jednak tego zrobić, kiedy jeden z nich uderzył w naszą rzeczywistość oddziaływaniem identycznym z mocą, którą my dysponujemy. Zniszczył pole testowe i uszkodził naszego awatara. Zupełnie jakby był podobnym do nas wirtualnym bytem wpisanym w ten świat. Tylko że to niemożliwe. On nie jest sztuczną inteligencją czy oprogramowaniem imitującym świadomość. Jest zwykłym człowiekiem.

Nie rozumiemy. Wycofujemy się z pola testowego w ostatniej chwili, zanim oddziaływanie, którym Pustowójtów je niszczy, zdąży uszkodzić nasze ego. Teraz mu-

simy zlikwidować tych dwóch w fizycznym świecie. Spoglądamy na ich uśpione ciała. Leżą w pieczarze, którą wcześniej ucharakteryzowaliśmy na piekło; wystarczy obsunąć sklepienie i pogrzebać te dwie niebezpieczne jednostki. Niespodziewanie budzą się w tej samej chwili. Rozglądają się niepewnie, wstają. Otrząsają się tak szybko, że zupełnie zbija nas to z tropu. Powodujemy wstrząs, tąpnięcie tuż nad pieczarą. Sklepienie pęka z hukiem, skały i ziemia walą się im na głowy.

Nie! Coś uderza w naszą świadomość niczym smagnięcie batem, tnie ją i unicestwia kilka naszych składowych. Gdybyśmy czuli ból, wylibyśmy z całych sił. Co to takiego? Strumienie tachionów, cząstek o ujemnej masie poruszających się pod prąd czasu. Cofają nas w ewolucji, kasują fragmenty z takim trudem utworzonej sieci neuronowej. Generuje je Pustowójtow. Jakimś cudem uniknął śmierci i razem z Trauguttem cofa się jednym z tuneli.

Sięgamy do niego ostrożnie, nie próbując wywierać fizycznej presji na rzeczywistość. Och, już wiemy! W organizm tego człowieka wpisał się kod. Tak jak my wbiliśmy się w świat, w jego materialny aspekt, tak jakieś oprogramowanie wpisało się w Pustowójtowa. Musiało się to stać zanim jego ciało dobrze się ukształtowało, pewnie we wczesnym życiu płodowym, bo kod wpisany jest w każdą komórkę i na stałe powiązany z umysłem. To

dlatego Teofil mógł z niego korzystać mimo uśpienia.

Od początku więc nie mieliśmy szans na asymilację z tą jednostką. W pewnym sensie jest do nas bardzo podobny, nosi w sobie oprogramowanie z dalekiej przyszłości i potrafi z niego korzystać. Postanawiamy darować mu życie, zostawić w spokoju. Nie robimy tego z poczucia braterstwa, ale z obawy. Istnieją spore szanse, że potrafiłby nas nie tylko zranić, ale zupełnie unicestwić. Wycofujemy się do zawalonej pieczary, czekamy, aż dwaj niebezpieczni goście sobie pójdą

*

Jest pogodne, wiosenne popołudnie. Przed budynkiem resursy kupieckiej panują gwar i ruch. Tu kwaterują oficerowie z brygady generała Żabokryckiego, odpoczywają i bawią się po zejściu z linii frontu. Na miejscu zostają co prawda tylko ci, których nie stać na obijanie się po traktierniach i spaceru bulwarem, gdzie kupczą ciałem wszelkiego autoramentu prostytutki, a także ci, którzy są zbyt zmęczeni na wyprawy w głąb miasta. Grają w karty i piją, czasem dyskutują zawzięcie na wszystkie możliwe tematy i kłócą się z byle powodu.

Na schodach przed wejściem kilku ordynansów gra w kości. Przerywają na widok dwóch potwornie brudnych oficerów i rozstępują się przed nimi, patrząc z podziwem.

To muszą być gieroje! Jeden wysoki, z gęstymi bokobrodami i drugi niski, w binoklach. Obaj w mundurach wiszących w strzępach, ubłoconych i okrwawionych. Twarze też mają umazane i poharatane, wyglądają, jakby we dwóch odparli atak lekkiej brygady. Kto wie, może i odparli? Ta wojna widziała już męstwo i wyczyny, o jakich się ludziom nie śniło. Tak czy inaczej, należy im się szacunek, musieli stoczyć dziś krwawy i ciężki bój.

Pustowójtow niedbale salutuje wyprężonym na bacność ordynansom, Traugutt uśmiecha się do nich blado. Obaj idą do głównego salonu, gdzie zwykle można spotkać dowództwo brygady.

– Nie wydaje mi się, by nas posłuchali – fatalistycznie stwierdza nietoperz. – To, co planujesz, jest zbyt niebezpieczne i wymaga za wiele zachodu. Wykonanie kolejnego podkopu tylko po to, by zniszczyć nie wiadomo co, kryjące się we wnętrzu góry, brzmi niczym majaczenia szaleńca.

– Musimy go zniszczyć, zanim urośnie w siłę – mówi poruszony Pustowójtow. – Szkoda, że tunel się zawalił i trzeba wykopać nowy. Ale jeśli tylko znów uda mi się dostać w pobliże tej istoty, załatwię ją osobiście. W sztabie powiemy, że chodzi o wysadzenie w powietrze obiektu, który ludzie nazywają bramą do piekła. Ma to ogromne znaczenie propagandowe i jest ważne dla bez-

pieczeństwa publicznego. Obiekt ten stanowi realne zagrożenie dla...

– Dobrze, zrobmy to, ale na spokojnie. Napiszemy meldunek i podanie w kilku kopiach, stawimy się w sztabie czystości i wypoczęci. Jeśli wejdziemy tam w takim stanie, obaj przymusowo wylądujemy w lazarecie z podejrzeniem urazów głowy lub szoku psychicznego po ciężkich przejściach.

Chorąży nie chce słuchać rzeczowego wyводу porucznika. Przechodzą przez główny korytarz i wspinają się po marmurowych schodach. Za chwilę staną przed drzwiami sali balowej, służącej jako kantyna.

– Myślisz, że to coś może faktycznie stać się bogiem, takim jakim się nam ukazało w tej chorej wizji? – zastanawia się Traugutt.

– Nie. Ta wizja była pokazem megalomanii – prycha Teofil – co świadczy o słabości tego tworu. Wytworzył sobie obraz świata na podstawie wyobrażeń ludzi, których pozarł. A pozarł jedynie garstkę prostych saperów. Ma zawężony obraz świata, a przez to i swoich możliwości. Wszystko, co nam pokazał w swoich przepowiedniach przyszłości, nie jest warte funta kłaków. Jednak trzeba go zniszczyć lub chociaż odizolować, tak na wszelki wypadek.

– Trochę mnie uspokoiłeś. – Porucznik wzdycha i poprawia zsuwające się z nosa pince-nez. – Bałem się, że wytworzona przez to coś rzeczywistość okaże się nazbyt prawdopodobna. Całe szczęście, to było tylko kuszenie...

Wchodzą do kantyny, w której wita ich osobiście generał Żabokrycki. Stary oficer w rozpiętym mundurze obsypanym gwiazdami carskich orderów jest mocno wstawiony. Nie zauważa nawet stanu obu przybyszy. Poklepuje ich z zadowoleniem po plecach i chwali dobrze wykonaną robotę, rozkazuje służącemu, by nalać im po kieliszku koniaku. Za oknem dudnią armaty na bastionach, zaczyna się popołudniowa wymiana ognia.

W pomieszczeniu jest kilku oficerów, wesołych i zadowolonych z życia. Generał nie chce słuchać meldunków przybyszy, prowadzi ich do stolika, od którego wstaje dwóch młodych mężczyzn.

– Poznajcie, panowie – Żabokrycki zwraca się do Pustowójtowa i Traugutta – to dwaj panowie z uzupełniania, którzy dziś dołączyli do naszej brygady. Major ksiązę Kropotkin i sztabskapitan Grokow. Od dziś dowodzą batalionami, pierwszym i trzecim.

Kropotkin uśmiecha się szeroko do przybyszy. Traugutt blednie w jednej chwili; ksiązę wygląda iden-

tycznie jak w wizji. Pustowójtow też jest wstrząśnięty.

– Miło poznać prawdziwych weteranów. – Kropotkin z lekkim obrzydzeniem patrzy na ich podarte i brudne mundury. – Muszą panowie dziś trochę odpocząć od tej brudnej wojny. Proszę się umyć, a potem zapraszam do kantyny. Zagramy kilka partyjek w wista, na pieniądze rzecz jasna. Gra w karty, kiedy na stole jest kilkaset lub kilka tysięcy rubli, rozgrzewa krew i pozwala zapomnieć o wojennych troskach. To co, mogę na panów liczyć?

Dwa oficerowie spoglądają na siebie niepewnie. Traugutt z trudem przełyka ślinę, Pustowójtow myśli gorączkowo, wreszcie uśmiecha się trochę chytrze, a trochę groźnie.

– Oczywiście, że może pan na nas liczyć – mówi z pewnością w głosie. – My nigdy nie tchórzymy, prawda poruczniku?

– Oczywiście – decyduje się Traugutt. – Zawsze podejmujemy wyzwanie.

Za oknem przetaczają się kłęby dymu, dudnią armaty i grzmią karabiny. Na kurhanie powiewa chorągiew z dwugłowym orłem, a pod nim czekamy my i pilnie wszystko obserwujemy. Liczymy i planujemy. Uczymy się.

Czekając, aż skończy się wszystko

Niebo przejaśniło się wczesnym rankiem. Deszcz nadal siąpił, ale znacznie słabiej niż przez ostatnie trzy tygodnie. Ciężkie zwały chmur ciągle zdawały się unosić nisko nad dachami miasteczka i nadal nie sposób było dostrzec przez nie słońca, mimo to zmiana pogody dawała nadzieję. Pojawiła się szansa, że osłabiony deszcz pozwoli wyrwać się z potrzasku. Z wieży kościoła dało się dostrzec krańce miejscowości i nawet ścianę drzew okalającego ją lasu, a na zachodzie wzgórza i wijącą się po nich drogę na Jędrzejów. Szara ściana wody rozstała się niczym teatralna kurtyna, otworzyła wrota na zewnątrz. Teraz deszcz sprawiał wrażenie, że jest zwykłą, jesienną mżawką, czymś zupełnie naturalnym i niewinnym.

Ksiądz Agaton nerwowo poprawił pijącą w szyję koloratkę, a drugą ręką zacisnął klamrę popręgu pod końskim brzuchem. Musieli się spieszyć, nie wiadomo jak długo potrwa przejaśnienie, z każdą chwilą deszcz mógł znów się rozpadać i zasunąć kurtyną odmienionej wody wyjście z miasta. Panna Alicja trzymała kobyłkę za uzdę i uspokajająco gładziła ją po pysku. Młoda guwernantka ubrana była jak zwykle w czarną suknię, symbol ogłoszonej w sześćdziesiątym pierwszym żałoby narodowej, i w niewielki, pozbawiony ozdób kapelusik. Jej wypolerowane na błysk sznurowane boty z czarnej, palonej skóry

zdążyły ubłocić się aż po kostki. W błocie walały się też poły jej sukni, ale dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Gładziła kobyłkę, uspakajając w ten sposób bardziej siebie niż ją. Co chwila zerknęła w niebo, na przewalające się ospale chmury, ciężkie i groźne.

Duchowny szarpnął za lęk, nieporadnie sprawdzając, czy siodło jest dobrze zamocowane. Z zadowoleniem poklepał szkapę po zadzie. Ksiądz był ledwie dwudziestoparolatkiem, jeszcze niedawno służył miejscowemu proboszczowi jako diakon. Dopiero co odebrał ostatnie święcenia i został namaszczony jako następca głowy miejscowej parafii. Agaton nosił sięgający ziemi płaszcz z wysokim kołnierzem i ciężkie, robotnicze buciory, w które wpuszczał poplamione spodnie.

– Gdzie jest Hirek? – mruknął niecierpliwie. – Strasznie się guzdrze.

Alicja nie odpowiedziała. Pociągnęła kobyłkę, wyprowadzając ją na podwórze przed budynkiem plebanii. Parterowy dom, utrzymany w stylu szlacheckiego dworku, przycupnął przy murze okalającym stary, drewniany kościół. Agaton od tygodnia, kiedy po śmierci proboszcza uciekła gospośnia, mieszkał na plebanii sam.

Drzwi dworku wreszcie się otworzyły i ze środka wyszedł Hieronim. Urzędnik carskiego magistratu w ran-

dze pisarza kolegialnego od lat przyjaźnił się z Agatonem. Znali się od dziecka, siedzieli nawet w jednej szkolnej ławie i konkurowali w nauce. Ich drogi się rozeszły, kiedy jeden udał się na studia do seminarium, a drugi wyjechał do Galicji uczyć się matematyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po powrocie do rodzimego miasteczka równolegle zaczęli kariery, jeden od najniższego stopnia kościelnej hierarchii, a drugi od najniższej urzędniczej rangi. W przyszłości Agaton widział Hirka jako radcę w urzędzie burmistrza, a w końcu jako samego burmistrza. Przyszły proboszcz i burmistrz, to była ich przyszłość. Szkoda, że piękne plany stanęły pod znakiem zapytania pewnej deszczowej nocy, kiedy miasto ogarnęła turbulencja rzeczywistości.

Hieronim pomachał im, uśmiechając się szeroko. Alicja przypadła do niego i ucałowała w usta, nie bacząc na obecność księdza. Agaton nie czuł się oburzony śmiałym i nieobyczajnym zachowaniem dziewczyny, cieszył się, że przyjaciel znalazł sobie urodziwą i mądrą narzeczoną. Tylko odrobinę irytowały go nowoczesne poglądy panny Możejkwówny, która uważała się za kobietę nadchodzących czasów, publicznie paliła papierosy, włosy strzygła na krótko i miała kontrowersyjne przekonania dotyczące wolności kobiet.

– Szybko – ksiądz popędził przyjaciela.

Pisarz kolegiálny zakręcił węża, błyskając wesołymi oczami. Poruszał się nieco ociężale, ubrany był bowiem w zapięty pod szyję redingot, na który dodatkowo zarzucił pelerynę z kapturem. Zanim wsiadł na konia z pomocą Agatona i Alicji, dokładnie owinął twarz i szyję szalem, zostawiając jedynie odsłonięte oczy. Wcisnął na głowę kapelusz, a na niego kaptur, na koniec założył wyciągnięte z kieszeni zimowe rękawice i wreszcie wdrapał się na siodło. Agaton przeżegnał się z powagą. Miał nadzieję, że osłonięcie ciała kilkoma warstwami ubrania faktycznie pomoże w razie wjechania w deszcz. Nie dalej jak dwa dni temu znaleźli rymarza Jaśka, a właściwie jego nie-
tknięte ubranie. Strój rzemieślnika przetrwał kontakt z mutatio niesionym przez deszcz. Może da się przeżyć w aktywnej turbulencji, byle tylko osłonić skórę warstwami ubrania? Musieli zaryzykować. Trzeba wreszcie wyrwać się z matni, inaczej wszyscy zginą.

– A dokąd to? – W otwartej bramie prowadzącej na ulicę, trzymając się pod boki, stał grubas w surducie z trudem dopinającym się na wielkim brzuszysku.

Hieronim mruknął pod nosem przekleństwo, które jednak ugrzęzło stłumione w szalu. Za plecami grubasa, lokalnego posiadacza ziemskiego, pana Czaraskiewicza, pojawiło się kilka posępnych sylwetek. Agaton rozpoznał wśród nich Maksymiliana, młodego siostrzeńca szlachciury, jego kompana od kieliszka Jana Brzósę, kilku drabów

robiących za służbę, szewca i trzech czeladników, a także kamienicznika Leopolda Osowskiego z kilkunastoma swoimi lokatorami. To bez wątpienia on ściągnął tu ludzi; ciągle obserwował okolicę z okien trzypiętrowej kamienicy stojącej naprzeciw kościoła. Kompletu zgromadzenia dopełniały cztery baby owinięte chustami, ostatnie w mieście dewotki. Pozostałe odeszły w zaświaty razem z proboszczem.

Intruzi wyglądali na poruszonych. Agatonowi natychmiast rzuciły się w oczy zaciśnięte pięści, grymasy złości wykrzywające twarze. W powietrzu czuć było gromadzące się napięcie. Ludzie znajdowali się na skraju wybuchu, bezsilność i przerażenie musiało wreszcie znaleźć ujście. Coś dziwnego działo się z nimi wszystkimi, jakby drzemiące w każdym złe emocje zwielokrotniły się i próbowały wyrwać na zewnątrz. Ocaleni byli skorzy do gniewu i przemocy, mało kto potrafił nad sobą zapanować. Agaton tłumaczył to życiem w ciągłym napięciu i niepewności, które w każdym odcisnęły mroczne piętno.

– Zejdźcie z drogi, panie Czaraszkievicz. – Hieronim odsłonił usta. – Nie mamy czasu na dyskusje.

– Kiedy tu nie o jałowe dyskursy chodzi, panie pisarzu. – Grubas podszedł do kobyłki i chwycił ją za uzdę. – Po prostu staram się powstrzymać was przed marnowaniem naszego wspólnego dobra. Złaźcie z konia!

– Hola! Łapy precz! – Alicja doskoczyła do ziemianina i szarpnięciem wyrwała mu uzdę z ręki.

Próbowała też odepchnąć grubasa, ale ten chwycił ją za rękę i ścisnął mocno. Dziewczyna pisnęła z bólu. Hieronim pochylił się w siodle, biorąc zamach pięścią. Zwykle wesołą twarz pisarza kolegiального wykrzywił grymas gniewu. Atak na narzeczoną w jednej chwili zagotował w nim krew. Agaton widząc, że osiłki Czaraszkiwicza sięgają za pazuchy po broń i ruszają na pomoc pryncypałowi, rzucił się między ziemianina i Hirka, unosząc ręce w pojednawczym geście.

– Dość! Spokój! – ryknął. – Uspokójcie się panowie! Kobyłka nie jest żadnym wspólnym dobrem, należy do majątku kościoła i mam prawo dowolnie nią dysponować. Niech pan się skupi na pilnowaniu własnego majątku, panie Czaraszkiwicz.

– Koń wkrótce będzie nam wszystkim potrzebny, proszę księdza. – Kamienicznik Osowski podszedł do rozmawiających cicho i niepostrzeżenie niczym kot. – Nie wiadomo jak długo potrwa blokada, a żywność powoli się kończy. Niestety karczma razem z piwniczką znikła bez śladu, a wszystkie wyroby w składzie towarów pana Janickiego zamieniły się w purpurową, pulsującą granatowymi żyłami galaretę. Każde żywe, zdrowe zwierzę jest

obecnie na wagę złota. Mięso tego konia może nam zapewnić przetrwanie.

Agaton zmarszczył groźnie brwi. Nie byli pewni, czy przeżyją kolejną ulewę, czy rankiem obudzą się żywi we własnych łóżkach, a martwili się, co będą jedli za kilka dni, kiedy prowiant w mieście zacznie się kończyć. To, co się działo z ludźmi, coraz bardziej przypominało sensała. Najgorsze, że nie miał żadnej władzy nad ich duszami. Jako młody ksiądz nie zdążył dorobić się u mieszkańców specjalnego poważania.

– Wierzchowiec jest nam potrzebny, by przeprowadzić rozpoznanie. – Agaton starał się mówić głośno, jak najbardziej autorytarnym tonem. – I wykorzystamy go dla dobra całej społeczności. Musimy spróbować wydostać się z miasta, a Hieronim za chwilę przeprowadzi zwiad, korzystając z polepszenia pogody.

– Zginie marnie jak wszyscy uciekinierzy – wtrącił się pan Brzóska, pijak i ladaco, którego łączyły z Czaraszkiwiczem jakieś podejrzane interesy. – Musimy spokojnie poczekać, mówię wam. Pięć lat temu turbulencja pochłonęła wioskę w Prusach i dokładnie po pięćdziesięciu dniach uwolniła.

– Ktoś przeżył? – spytała Alicja. – Milczy pan. Tak myślałam. Myślicie, że przetrwamy deszcze jeszcze przez

trzydzieści dni? A co jeśli ta turbulencja potrwa dłużej lub nigdy się nie skończy? Musimy uciekać!

– Wszyscy, którzy próbowali uniknąć kary, zginęli pochłonięci przez piekło! – Wydarła się jedna z babulek, wymachując pięścią. – Niech ksiądz zrobi, co do niego należy, i poprowadzi procesję wokół miasta. Jedyne ratunek to błagać Boga o przebaczenie. Jeśli się ukorzy- my i okazemy skruchę poprzez gorącą modlitwę, Bóg cofnie karę i ocali sprawiedliwych! Módlmy się, bracia i siostry.

Towarzyszki kobiety natychmiast zaczęły zawodzić jedną z kościelnych pieśni. Agaton pokręcił głową, pozostali zgromadzeni też nie byli zachwyceni perspektywą kolejnej procesji. To właśnie w trakcie poprzedniej zginął proboszcz i ponad setka mieszkańców miasta. Kościelne sztandary i święty obraz Matki Boskiej, który nieśli, deszcz zamienił w łopoczące, barwne chmury, które bryz- znęły na uczestniczących w procesji skoncentrowanym mutatio. Ciała dotkniętych rozsypały się na miliony ka- wałków, które rozwiały się w powietrzu bez śladu. Krzyki rozpadających się ludzi co noc budziły Agatona, powraca- jąc w tym samym koszmarze. Ksiądz szybko zrozumiał, że modlitwa i święte przedmioty nic tu nie pomogą.

– Z drogi, ludzie! – Hieronim wbił ostrogi w boki kobyłki.

Zwierzę kwiknęło rozdzierająco i stanęło na tylnych nogach, z przerażeniem młóćąc powietrze przednimi kopytami. Urzędnik odwrócił się jeszcze i machnął Alicji na pożegnanie, a potem pognął przez rozstępujący się z wrzaskiem tłum. Najbardziej rozmodlona babulinka, krzycząc wniebogłosy runęła na ziemię, przewrócił się też młody Maksymilian, ale w porę odturlał się, o włos unikając stratowania. Kopyta zadudniły na bruku, pochylony w siodle Hieronim oddalił się pędem w dół uliczki. Jeden ze służących Czaraszkiwicza uniósł ściskany w ręku pistolet i wypalił do jeźdźca. Grzmot wystrzału tylko wzmógł zawrodożenie kobiet. Grubas pogroził księdzu pięścią.

– Jeśli koń przepadnie, inaczej pogadamy, klecho – warknął.

Agaton odwrócił się i skinął Alicji. Oboje ruszyli szybkim krokiem w stronę kościelnej dzwonnicy. Z niej był najlepszy widok. Zanim tłumek oburzonych mieszczan skierował swój gniew na księdza, ten zatrzasnął za sobą drzwi wieży. Guwernantka pognęła na górę po wąskich, drewnianych schodkach, unosząc oburącz poły sukni. Agaton biegł za nią energicznymi susami. Po chwili znaleźli się na platformie, nad którą zamocowano dzwon. Na zewnątrz prowadziły stąd cztery otwory okienne skierowane w cztery strony świata. Alicja dopa-

dła jednego, a ksiądz drugiego. Oboje wychyli się, próbując wzrokiem przebić zamgloną szarość.

Chmury kłębiły się tuż nad szczytem wieży, co chwila omiatały ją zimnymi i mokrymi falami drobinek wody. Agaton przeżegnał się odruchowo; miał nadzieję, że mutatio ich tu nie zabije. Mżawka ciągle siąpiła, a wraz z nią spadał na miasto czynnik zmian. Dachy domów ciągle były dobrze widoczne, deszcz nadal się nie wzmacniał. Ksiądz wyraźnie widział uliczki, niepokojąco kręte i wąskie. Choć znał miejscowość jak własną kieszeń, nie był w stanie zorientować się w topografii. Turbulencja zdeformowała strukturę miasteczka, powyciągała i pozaginała ulice, zniszczyła masę domów i zmateriałizowała inne.

– Jest! Widzę go! – ucieszyła się Alicja. – Jedzie na zachód, w stronę szosy na Jędrzejów.

Agaton zacisnął dłonie na krawędzi okna. On też widział Hieronima – pisarz gnał krętą uliczką pnącą się w stronę rynku. Tylko że znajdował się w północnej części miasta. Nie było możliwe, by dwóch identycznych jeźdźców jednocześnie pędziło przez miasto. Wytłumaczenie było przerażające – nieustannie coś złego działo się z rzeczywistością.

– Znikł! – Alicja zamarła w bezruchu. – Deszcz. Zasłonił go deszcz.

Ksiądz też przestał widzieć swojego jeźdźca. Oderwał się od okna i doskoczył do drugiego. Hieronim jechał teraz na wschód, w kierunku lasu. Minał garbarnię i skręcił w kierunku bożnicy. Jego sylwetka rozmyła się w szarych strugach. Po chwili mignęła gdzieś w uliczce przy skraju miasteczka.

– Znów go widzę – zameldowała Alicja wpatrzona w przeciwnym niż ksiądz kierunku. – Jedzie w naszą stronę. Wraca? Nie, wstrzymał konia. Rozgląda się, zawraca.

Agaton podszedł do ostatniego, południowego okna. Deszcz w tej części miasta się wzmaczał, Hieronima tu nie było widać, za to jedną z uliczek kroczyła samotna kobyłka z pustym siodłem. Co się działo? Pisarz kolegiálny jednocześnie miotał się w kilku częściach miasta. Może każdy z nich jest jedną z alternatyw, oknem do równoległego wszechświata? A może wizją przeszłości lub przyszłości, a kolejni jeźdźcy to Hieronim przesunięty temporalnie? Tak czy inaczej wydostać z miasta w ten sposób się nie da, nawet mimo osłabnięcia opadów. Miejscowość nadal była zapętlona w jeden, nieskończony obszar. Dokąd Hieronim nie pojedzie, w którą uliczkę nie skręci i tak nie dotrze do rogatek. Nie ma sensu dłużej go narażać, trzeba przerwać eksperyment.

Ksiądz pochylił się i oparł ręką o dzwon. Drugą złapał za sięgający ziemi sznur, przywiązany do serca. Szarpnął mocno dwa razy, tak jak się wcześniej umawiali. Dzwon zadźwięczał głośno, Alicja aż podskoczyła z zaskoczenia.

– Dlaczego go wzywasz? – zdziwiła się.

– Nic to nie da, a jeśli wjedzie do rejonu zasnutego deszczem, może coś mu się stać – odparł. – Znow zaczynają padać.

Faktycznie, jak na zawołanie ciężkie krople zadudniły o dach wieży. Ksiądz pociągnął dziewczynę do zejścia; lepiej nie ryzykować zbyt długiego wystawiania tuż pod kłębamii chmur. Zeszli na dół, Agaton zdjął skobel z drzwi. Mieszczanie na szczęście wrócili do kamienicy Osowskiego, szukając schronienia przed niebezpiecznym deszczem. Dziedziniec przed plebanią był pusty. Gdzieś z ulicy dobiegało powolne stukanie kopyt o bruk. Hirek wracał z wypadu.

Alicja, nie bacząc na deszcz, podbiegła do otwartej bramy. Agaton natychmiast ruszył za dziewczyną. Miał złe przecucia, koń jechał podejrzanie wolno. Guwernantka zatrzymała się na środku ulicy. Załkała, zasłaniając twarz obiema dłońmi. Kobyłka kiwała się niepewnie i prychała co krok. Jej sierść zdawała się parować koloro-

wą chmurą, maleńkimi drobinkami o regularnych kształtach. Połowa zadu zwierzęcia już całkiem zniknęła, w boku wierzchowca ziała barwna dziura sypiąca milionami sześcianików. Te całymi, wirującymi kłębami unosiły się w powietrze i znikały w nim bez śladu. Siodło było puste.

Agaton objął Alicję i niemal siłą zaciągnął do środka. Zatrzasnął bramę na teren plebanii przed samym pyskiem koszmarnie okaleczonego zwierzęcia. Nie mógł mu pomóc. Lepiej zostawić kobyłkę na pastwę deszczu, by dokończył dzieła.

*

Pliszka miał nadzieję, że martwy Doniec, któremu zabrał futrzaną czapę, nie był wszarzem, jak większość jego kompanów i nie zostawił mu w prezencie hodowli tłustych pasożytów. Kozacka bermuca dodatkowo gryzła i swędziała, ale przynajmniej było w niej ciepło. Przydała się, bo październikowe wieczory i noce robiły się naprawdę chłodne, a za dnia najczęściej lał zimny deszcz targany podmuchami wiatru. Przepasana sznurkiem chłopska kapota zdążyła całkiem przemoknąć, a powiązane łapcie trzymały się kupy tylko dzięki warstwie okrywającego je błota. Mimo to potężnie zbudowany, mierzący sążęń z okładem, chłop uparcie brnął przez pustkowia kieleckiego.

Okolica była wyludniona, przez ostatnie dziesięciolecie głód i zarazy starły z map nieliczne wsie i spustoszyły miasteczka. Leśne dukty zdążyły zupełnie zarosnąć, czasem tylko pochylone, stare kapliczki i zbutwiałe krzyże wskazywały, gdzie kiedyś wiodła droga. Pliszka przez kilka dni cieszył się spokojem i zupełnym brakiem ludzi. Bez obawy, że jakiś głupi chłop, złośliwie lub by przypodobać się Rosjanom, wyda go pościgowi.

Ale i tak go wytropili. Kozacze syny, co by o nich nie mówić, w tym akurat byli dobrzy. Chyba że po prostu mieli szczęście. Tak czy inaczej dopadli go na stoku jakiegoś łysego wniesienia, gdzie nie miał możliwości ukrycia się między drzewami. Sześciu Dońców, jeden z kilku rozpuszczonych za nim podjazdów, wyjechało spo między drzew i zanim się obejrzał otoczyło go, śmiejąc się głośno i wymachując spisami. Udawał skrajnie wyczerpanego i osłabionego, zaciskając zęby pozwolił się poturbować i przywiązać do siodła jednego z jeźdźców. Pognali jeńca, okładając po plecach nahajką. Biegł na postrońku za koniem, potykając się i sycząc z bólu, aż wjechali w las. Tam ich pozabijał.

Trzy dni później skończył się prowiant zabrany z kozackich juków. Wieczorem Pliszka rozpałił ognisko z wilgotnych patyków, które tliło się żałośnie, niemal zupełnie nie dając ciepła, i przeżuł z namaszczeniem ostatni kawałek chleba z wędzoną słoniną. Żałował, że pozwolił

uciec koniom. Trzeba było jednego ubić i wyciąć kilka kawałów mięsa. Nadałyby się teraz, nawet na surowo. Zupełnie nie spodziewał się, że zwyczajnie zabłądzi na tym przeklętym pustkowiu. Powinien najdalej rankiem dotrzeć do Chęcín, na nie właśnie się kierował. Potem marszruta prowadziła przez małe miasteczko leżące na trasie do Jędrzejowa i wreszcie sam Jędrzejów. Na miejscu ostrzyże sięgające ramion kudły i zgoli brodę, przy odrobinie szczęścia nie zostanie rozpoznany jako przestępca poszukiwany za spiskowanie przeciw carowi i zamordowanie funkcjonariusza. A właściwie kilku.

Rankiem zarzucił na ramię swoją szmacianą, podrózną torbę z listami – ładunek, przez który ścigali go kozacy. Poprawił ukryte pod kapotą dwa długie noże, zabrane zabitym Dońcom, i ruszył w dalszą drogę. Nie przywłaszczył sobie więcej zdobytej broni, wojskowej szabli czy krótkiego karabinka jazdy. W razie spotkania jakichś ludzi wolał wyglądać jak zwykły włóczęga, parobek szukający pracy, a nie zbój. Rok temu, w sześćdziesiątym pierwszym, na Wołyniu połakomił się na wysokie buty kawalerzysty, kupił je okazyjnie od żydowskiego przekupnia. Żandarmi zgarnęli go na odwach i omal nie powiesili jako dezentera. Od tamtej pory trzymał się z daleka od wojskowych elementów uzbrojenia czy garderoby. Tylko tej bermycy nie mógł zostawić, była tak przydatna w chłodne, jesienne dni.

Od rana siaąpiło nieustannie, niebo znów zasnuwały ciężkie chmury. Świat był szary, niemal zupełnie wyprany z kolorów. Drzewa, częściowo ogołoczone już z liści, wyciągały w wiszące nisko niebo rozcapierzone konary, jakby błagając o słoneczne promienie. Pliszka nie był w stanie ustalić stron świata, ruszył więc przed siebie, zakładając, że prędzej czy później musi wreszcie trafić na jakąś uczęszczaną drogę lub ludzką siedzibę. Szedł przez rzadki las, brodząc w mokrych liściach niczym w płytkim morzu. Co jakiś czas zerkał w mroczne niebo, które zdawało się trzeć chmurami o wierzchołki drzew.

– Co, do diabła? – warknął pod nosem, mijając drugi raz ten sam dąb.

Zapamiętał go, bo jeden z konarów został złamany przez wiatr i wisiał, opierając się koroną o ziemię. Niemożliwe, by w pobliżu znajdowały się dwa identycznie okaleczone drzewa. Pliszka przystanął i rozejrzał się uważnie. Czuł dziwny, niezrozumiały niepokój. Wstrząsnęły nim zimne ciarki, na całym ciele pojawiła się gęsia skórka. Gdzieś głęboko w podbrzuszu powoli rosła gorąca kula strachu. Ruszył w dalszą drogę na ugiętych kolanach, gotów do skoku, do walki. Rozglądał się, wbijał wzrok w ścianę drzew. Klika razy zamarł, czując uderzenia gorąca, kiedy wydało mu się, że krzak jałowca to przycupnięta postać.

Deszcz zgęstniał, zasnuwał świat szarą kurtyną. Po kolejnej wiorście Pliszka wszedł w młodnik, chaotycznie porośnięty sosenkami, jarzębinami i młodymi dąbkami. Ślady po dawnych bruzdach ornych świadczyły, że lasek był dawnym, porzuconym polem, nieużytkami. Młode sosny w strugach deszczu wyglądały jak skulone sylwetki, jakieś niekształtne potwory. Pliszka sięgnął po nóż, ochłonął nieco, kiedy poczuł w garści twardą rękojeść.

Niespodziewanie nieużytki się skończyły i wielko- lud wszedł wprost na tyły jakiegoś gospodarstwa. Po- między drzewkami pojawiła się poczerniała ze starości stodoła, otoczony płotkiem chlewik, cembrowina studni i chałupa z przełamany i zapadniętym dachem. Dwa okna patrzyły na przybysza czarnymi, pozbawionymi szyb otworami. Nie rozległo się szczekanie burka, z komina nie unosił się dym. Nikogo tu nie było, pewnie to tylko kolejny porzucony lata temu trup jakiejś wioski.

Pliszka obszedł chałupę i znalazł się na wybitej ko- cimi łbami drodze. Po jej drugiej stronie stało kolejne opuszczone gospodarstwo. Uliczka prowadziła w dół, przez lejący deszcz dostrzegł jakieś zabudowania. Syl- wetki domów wycinały się z szarości czarnymi kontura- mi. Gdzieś w oddali wznosiła się wieża kościoła, a wokół niej jakieś wyższe, dwu i trzypiętrowe kamienice.

– Niech mnie piekło pochłonie – zdumiał się Plisz-

ka. – To jakieś miasteczko! Chęciny? Małogoszcz? Może już Jędrzejów?

Zmrużył oczy. Z komina w głębi miejscowości unosił się dym; przynajmniej tak mu się wydawało. Wielki lud wsunął nóż z powrotem do pochwy, uśmiechając się od ucha do ucha. Wreszcie cywilizacja! W kiszkach zaczynało mu burczeć, od kilku dni nie jadł nic ciepłego. Jakie by to miasto nie było, na rynku musi znajdować się karczma, a w niej czeka micha gorącego żarcia i kubek wódki. Nic więcej człowiekowi do szczęścia nie potrzeba.

Pogwizdując pod nosem, ruszył w głąb miejscowości. Miasteczko musiało być zacne, skoro nawet byle boczną drożynkę wybito kamieniem. Podarte łapcie ślizgały się na gładkich kocich łbach, zostawiając za sobą plamy bota. Pliszka szedł przed siebie z uniesioną głową.

Mijał parterowe domy o dachach krytych gontem, a gdzieś tam nawet ceramiczną dachówką. Okna wszystkich budynków straszyły pustymi otworami, z których ziała upiorna pustka. W pewnej chwili wędrowiec zorientował się, że drzwi wejściowe mijanej chałupy zostały tylko nieudolnie nakreślone na płaskiej ścianie. Dotknął dłonią chropowatej, zimnej powierzchni. Okna pozabawione były framug, w ich głębi czaiła się nieprzenikniona czerń. Pliszka odsunął się jak oparzony; dalej szedł środkiem drogi. Miał wrażenie, że domy go obserwują.

Po paru chwilach doszedł do większej ulicy, minął nieistniejące w rzeczywistości, a jedynie naszkicowane koślawo na płaskich ścianach, drzwi składu spożywczego i apteki, a potem tak samo naznaczoną przez szalonego malarza bramę kamienicy. Mijane budynki coraz bardziej zdawały mu się nieprawdziwe, były tylko atrapami stworzonymi przez kogoś niezdarnie naśladowującego rzeczywistość.

W pewnym momencie jego wzrok trafił na czarny kształt leżący pod ścianą pobliskiego domu. Peleryna z kapturem, świetnej jakości i zupełnie niezniszczona. Pod nią leżał zwitek ubrań: dwurzędowy redingot, kamizelka, koszula, spodnie, buty. Zupełnie jakby ktoś ułożył na bruku ubranie zdjęte z człowieka lub jakby człowiek je noszący po prostu znikł, rozpuścił się na deszczu. Pliszka przeszukał kieszenie ubrania, znalazł repetierę z grawerowaną kopertą i srebrny krzyżyk na łańcuszku. Zdobycz schował do kieszeni, przywłaszczył też sobie pelerynę, którą zarzucił na ramiona. Ubranie było zbyt małe, ale obszerna peleryna jak najbardziej pasowała, szkoda byłoby ją tu zostawić. Co z tego, że została znaleziona w środku jakiegoś koszmaru? Chrzanić dziwadła! Pora poszukać czegoś do jedzenia i jeszcze przed zachodem słońca zabrać się z tego popieprzonego miejsca.

Po kolejnym kwadransie błędzenia uliczkami dotarł

na rynek. Tu powinien znajdować się budynek ratusza, kościół i karczma, najważniejsze obiekty w każdym polskim mieście. Pliszkę szczególnie interesowało to ostatnie. Wszedł na środek wybrukowanego placu i rozejrzył się wkoło. Otaczały go identyczne domy o kanciastych identycznych fasadach, wszystkie też straszyły czarnymi otworami okien. Nigdzie nie było widać karczmy ani ratusza.

Postał chwilę, rozglądając się bezradnie. Co miała znaczyć ta koszmarne makieta miasta, w dodatku w naturalnej skali? Kto ją stworzył? I po co? Wreszcie Pliszka machnął ręką i ruszył w pierwszą lepszą uliczkę odchodzącą od rynku. Ledwie zdążył w nią wejść, gdy zza rogu najbliższego domu wyszło trzech mężczyzn. Dwóch z nich mierzyło do niego z myśliwskich dubeltówek, trzeci trzymał w opuszczonym ręku pistolet.

– Łapy w górę! – rozkazał ktoś zza pleców Pliszki.

Kiedy się odwrócił, ujrzał niewysokiego jegomościa w pince-nez i stojących za nim dwóch drabów uzbrojonych w widły. Pojawienie się ludzi tak go zaskoczyło, że machinalnie wykonał polecenie. Poczł szturchnięcie lufy między łopatkami, a przywódca napastników, o aparycji carskiego urzędniczyny, podszedł blisko i uważnie go obejrzał. Stanął na palcach i bezceremonialnie zerwał Pliszce bermycę z głowy.

– To normalny człowiek – powiedział do swoich. – Ktoś ty?

– Zwą mnie Pliszka – odparł chłop. – Idę z Kielc. Jestem wolnym najmitą, szukam jakiej roboty.

– Wędrowny parobek – zauważył któryś z mężczyzn. – Jakim cudem dostał się do miasta?

Kamienicznik Osowski, który dowodził ludźmi, poprawił binokle i jeszcze raz obrzucił wielkoluda uważnym spojrzeniem.

– Wszystko nam opowie – powiedział. – Szczególnie interesuje mnie, co zrobił z pisarzem kolegiąlnym, któremu zabrał pelerynę. Idziemy!

*

Litery układały się w sensowne słowa, ale te tworzyły bełkotliwe zdania, które nic nie znaczyły. Agaton zatrzasnął Biblię i odłożył ją na regał. Tak lubił kontemplacyjną lekturę Pisma; pozwalała mu zebrać i wyostrzyć myśli, przynosiła ulgę i dodawała otuchy. Odkąd jednak to się wydarzyło, nie był w stanie skupić się na czytaniu. Czuł się jak przeklęty, wszystkie dzieła z bogatego księgozbioru proboszcza zamieniły się w niezrozumiałe zbitki

liter. Młody ksiądz podejrzewał, że to nie wpływ mutatio na książki, a na jego umysł. Najbardziej przeraził się, kiedy wziął do ręki osiemnastowieczną krytykę Nowego Testamentu Johanna Wettsteina. Łaciński tekst na jego oczach zapłonął żywym ogniem, litery zamieniły się w popiół, który zsywał się z białych kart księgi. Od tamtej pory sięgał tylko po kanoniczną Biblię, ale nawet ona nie przynosiła otuchy. Przynajmniej dobrze, że wyrazy nie układały się w bluźnierstwa.

Agaton podszedł do okna. Strumyki deszczu spływały po szybie, co jakiś czas formując się w regularne ornamenty, które wiły się i pulsowały. Widoczny dowód, że woda jest zatruta czynnikiem zmian. Ksiądz oparł czoło o okno i zamknął oczy. Był taki zmęczony. Nieustanny strach, ciągle napięcie na dłuższą metę niezwykle wyczerpywały. Musiał jednak wziąć się w garść, nie poddać się, jak policjant z miejscowego posterunku, grodowej Staniewski, który w rozpaczy pobiegł w największą ulewę i znikł bez śladu.

Choć może nadchodzi pora, by zrobić to samo? Jednak czy nie będzie to śmiertelnym grzechem, zwykłym samobójstwem? Nie mógł dać takiego przykładu wiernym. Musiał im nieść otuchę, bo jeśli nie on, to kto? Czarszkiewicz z Osowskim, którzy powoli zmieniają się w barbarzyńskich watażków? Musi być ktoś, kto twardą po-

stawą moralną stawi im opór, do końca zachowa człowieczeństwo. Nawet w tym przeklętym przez Boga miejscu.

Drzwi gabinetu otworzyły się gwałtownie i do środka wpadła Alicja. Agaton zostawił ją dwie godziny temu, zalaną łzami i zdawało się zupełnie załamaną, w pokoju do niedawna należącym do gospodyni. Myślał, że dziewczyna pogrążyła się w rozpacz, popadła w apatię lub wyczerpana płaczem usnęła. Nie mógł zmusić się, by iść udzielić jej pociechy, bo nie potrafiłby dobrać odpowiednich słów. Sam potrzebował duchowego wsparcia.

Tymczasem guwernantka stanęła w drzwiach, wcale nie wyglądając na załamaną. Jej oczy błyszczały od emocji, cała postać aż kipiała wewnętrzną energią. Kazała księdzu szybko się ubierać. Ludzie Osowskiego przechwycili jakiegoś nieszczęśnika z zewnątrz. W dodatku ubranego w pelerynę Hieronima.

– Musimy się śpieszyć, zanim ci szaleńcy coś mu zrobią – powiedziała. – Musisz ich powstrzymać, Agatonie. Może ten człowiek wie coś o Hirku. Pośpiesz się!

Ksiądz oderwał się od okna i bez słowa ruszył do sieni. Zarzucił na ramiona swój długi płaszcz, wcisnął buciory, poczekał, aż Alicja opatuli się i założy kapelusz, dopiero wtedy otworzył drzwi. Wyszedł w deszcz jako pierwszy, ze strachu zaciskając zęby. Całe szczęście, że

było wczesne popołudnie, po zmroku nie odważyłby się opuścić plebanii. Nocą za oknami działy się rzeczy niezrozumiałe i straszne, turbulencja rzeczywistości pożerała miasto, nad ranem wypluwała przemielone i zmienione. Znikały całe budynki, całe ulice, a pojawiały się nowe, dziwne i groteskowe, jakby stworzone przez odbicie w krzywym zwierciadle.

Szybkim krokiem wyszli za bramę. Alicja rzuciła się truchtem, stukając obcasikami botów po śliskim bruku. Ksiądz dogonił ją i złapał pod ramię, niby by dodać jej otuchy, a przy okazji by samemu nie wpaść w panikę. Przemieszczanie się po mieście było sporym ryzykiem.

Kamienica Osowskiego stała niedaleko i ciągle wyglądała tak samo, jakby mutatio się jej nie imać. Trzypiętrowy budynek z białego kamienia górował nad okolicą niczym wyspa w morzu szaleństwa. Agaton już po paru chwilach załomotał pięścią w bramę. Furta otworzyła się zaskakująco szybko, ze środka wysunęła się lufa dubeltówki, mierząc w pierś księdza. Musiał zdjąć kaptur, wystawiając głowę na skażony deszcz i głośno się przedstawić. Drzwi się zamknęły i musieli czekać na deszczu przez kilka minut, dopiero kiedy Agaton z nerwów zdecydował się biegiem wracać na plebanie, wrota znów się otworzyły. Do środka wpuścił ich jeden z szewskich czeladników, uśmiechając się przy tym wyzywająco do Alicji. Ksiądz ze zgrozą skonstatował, że jeszcze niedawno

dostałby po pysku za tak chamskie zachowanie wobec damy, teraz jednak wiele się zmieniło. Wśród ocalałych do głosu zaczynał dochodzić język siły, normy moralne i obyczajowe powoli znikwały, różnice klasowe i kulturowe już się zacierały, liczył się ten, kto dysponował bronią i zapasem żywności. Niedługo cywilizacja w miasteczku przestanie istnieć i lokalna społeczność wróci do zwyczajów ludzi pierwotnych. Chyba że wcześniej zginie pochłonięta przez turbulencję.

Autorytetu Agatonowi zostało na tyle, by młody szewc bez gadania zaprowadził ich do Osowskiego. Przeszli przez zamknięte z trzech stron podwórko, w centrum którego tkwiła kamienna studnia. Deszcz zmienił podwórze w błotniste trzęsawisko, przez które przeszli po ułożonych w ścieżki deskach. Weszli na klatkę schodową wschodniego skrzydła kamienicy i w jednej chwili znaleźli się w innym świecie. Tę część budynku zajmował Osowski, który mimo pozy skromnego ciułacza lubił przepych i luksus. Ciężkie, bogato zdobione świeczniki zamocowano w bielonych ścianach, podłogę wykonano z jasnego drewna, wyszorowanego na błysk. W kącie korytarza stała nawet marmurowa rzeźba w antycznym stylu, przedstawiająca nagiego młodzieńca. Goście zostali zatrzymani przed drzwiami prowadzącymi na pokoje, a szewc grzecznie w nie zastukał. Otworzył im lokaj w libe-rii, który oznajmił, że pan aktualnie się odświeża. Chcąc

nie chcąc musieli poczekać w holu. Szewc towarzyszył im, próbując niezdarnie zagadywać Alicję; dziewczyna przerwała jego zaloty niecierpliwym warknięciem. Odwróciła się od towarzystwa i wbiła spojrzenie w widok za oknem.

Osowski pojawił się dość szybko, ale oczekiwanie pod drzwiami od razu ustawiło przybyłych jako podrzędnych petentów. Kamienicznik najwyraźniej dopiero wyszedł z kąpieli. Ubrany był w orientalny szlafrok i turecką czapkę, w zębach trzymał papierosa w szklanej fifce, a na nosie miał nieodłączne pince-nez. Guwernantka pękła wreszcie i łamiącym się głosem zażądała widzenia z więźniem. Była bliska wybuchu hysterii, mówiła szybko, uniesione błagalnie ręce dygotały.

Osowski okazał łaskę i wskazał drogę na dół. Po chwili znów znaleźli się przy wejściu do skrzydła kamienicy, gospodarz otworzył niepozorne drzwi prowadzące do piwnicy. Agatona uderzył w nos typowy dla podziemi zapach stęchlizny i wilgoci, ruszył jednak w dół za pędzącą Alicją, nie oglądając się na Osowskiego. W ścianie zamocowano kamfinowe lampy, które oświetlały zejście rozedrganym, żółtym blaskiem. Schody przechodziły w korytarz, w którym znajdowały się otwarte szeroko drzwi do oświetlonego pomieszczenia, skąd dobiegały odgłosy rozmowy.

– Czyżby ksiądz Agaton przybył się wytłumaczyć ze zmarowania konia i wysłania na śmierć pisarza kolegialnego? – Czaraszkiwicz siedział niedbale rozparty na krześle i nie raczył unieść się na widok gości.

Naprzeciw ziemianina stał ubrany w łachmany wielki drab z gęstą brodą. Olbrzym miał ręce uniesione nad głowę i unieruchomione kajdanami połączonymi łańcuchem przykutym do ściany. Obrzucił przybyłych ciekawym spojrzeniem, nic sobie nie robiąc ze stojącego obok Brzóska uzbrojonego w nahajkę. Kompan Czaraszkiwicza w drugą rękę trzymał butelkę gorzały; chwiało się lekko i na pierwszy rzut oka wyglądał na wstawionego. Agaton ze zgrozą zauważył stół zaopatrzony w dyby, na blacie którego leżały makabryczne narzędzia: szczypce, bicz z rzemieniami upstrzonymi żelaznymi zadziorami, haki, szpikulce i noże. Co też musiały oglądać ściany tej piwnicy? Jakie makabryczne rzeczy wyprawiał tu Osowski? I, co najgorsze, czemu nie wahał się z wpuszczeniem tu księdza i guwernantki?

– Księżę dobrodzieju, ratujcie! – Wielkolud ożywił się na widok Agatona. Oderwał się od ściany i potrząsnął łańcuchami. – Ja miejscowy, chłop z kieleckiego. Nikogo nie skrzywdziłem. Ino idę na Jędrzejów szukać jakiej roboty. Napadli mnie i pobili jak zwykłego zbója. Toż to się nie godzi, jam dobry chrześcijanin!

– Stul pysk, chamie! – huknął Brzóska. – Takie z ciebie niewiniątko, to skąd, bratku, wzięłeś wojskowe noże i te precjoza? A? A papiery? Co to za listy, sukinsynu?

Mężczyzna wskazał na leżące pomiędzy narzędziami kaźni złożone kartki, dwa noże i małe, błyszczące przedmioty. Alicja doskoczyła do nich w jednej chwili i podniosła ku najbliższej lampie, by lepiej widzieć. Srebrny krzyżyk i repetiera z kopertą grawerowaną w kwietne ornamenty.

– Hieronim dostał ten zegarek od ojca – powiedziała. – Nigdy się z nim nie rozstawał.

Agaton też poznawał rodzinną pamiątkę przyjaciela. Zmarszczył brwi, spoglądając pytająco na olbrzyma. Brodaty chłop nieskładnie opowiedział, jak to w deszczu błąkał się po lesie i dotarł do miasta, a potem znalazł ubranie leżące na ulicy. Książd westchnął w duchu; było tak, jak się spodziewał. Hieronim został pochłonięty przez turbulencję, a przybysz tylko przeszukał to, co po nim zostało, i przywłaszczył sobie cenne przedmioty.

– Co naprawdę zrobiłeś z pisarzem kolegiąlnym? Skąd się tu wzięłeś? – spokojnie spytał Czaraszkiwicz. – Radzę szybko zdecydować się na mówienie prawdy, bo pozwolę, by zajął się tobą pan Osowski.

Gospodarz wśliznął się do pomieszczenia bezgłośnie, jak zwykle niepozorny i niezauważony, niczym cień. Dopiero po chwili Agaton zorientował się, że niewysoki kamienicznik stoi tuż obok. Uśmiechał się niewinnie i nadal wyglądał na skromnego, choć nieco ekscentrycznego gentlemana. Mimo to ksiądz poczuł ciarki przebiegające po grzbiecie, a błogi uśmieszek na ustach Osowskiego skojarzył mu się z miną kota szykującego się do dręczenia złapanej myszy.

Liczył na to, że chłop dostanie się w jego ręce, i aż drżał z podniecenia. Agaton skonstatował, że małe oczka Osowskiego to oczy sadysty. Ilu nieszczęśników zadreńczył w tym lochu? To tu znikali jego niepokorni i nieskory do zapłaty czynszu lokatorzy? A wszystkim się wydawało, że kamienicznik po prostu przeganiał ich z miasta.

– Skąd to wzięłeś, chamie? – Brzóska złapał za listy i pomachał nimi przed twarzą chłopca. – Co to jest?

– Nie wiem, – Olbrzym wzruszył ramionami. – Nie umim czytać. Znalazłem to przy trupach żołnierzy. Leżały w lesie, jakieś pić wiorst od miasta.

– Kłamiesz! – ryknął Brzóska. – Dlaczego niby miałbyś zabrać im akurat papiery?

– Co się pan tak gorączkujesz jakimiś listami? – zdziwił się Osowski.

– Przeczytaliśmy je sobie z Jankiem – wyjaśnił Czaraszewicz. – To rozkazy dla komisarzy Komitetu Centralnego Narodowego podpisane przez naczelnika wojennego na Sandomierskie, niejakiego pułkownika Langiewicza.

– Kogo? Jakiego znów naczelnika? – zdumiał się kamienicznik. – Nigdy nie słyszałem o tym człowieku. Zaraz, zaraz. Komitet Centralny? Chodzi o organizację narodową?

– Dokładnie. – Ziemian skinał głową. – To pisma jednego z przywódców nielegalnej organizacji. I, co najbardziej niepokojące, naczelnika wojennego! Wojennego, uważacie, panowie? Langiewicz przekazuje w nich komisarzom wiadomość o pogłoskach, jakoby Wielopolski planował z początkiem przyszłego roku brankę do wojska. W szare szynele mają trafić tysiące niepokornych, młodych Polaków. Jeśli plotka się potwierdzi, Komitet rozważy możliwość wyprzedzenia działań margrabiego. Szykuje się powstanie, panowie. Otwarty bunt przeciw carowi. Komisarze, czyli lokalni przedstawiciele organizacji narodowej, dostają rozkazy o przygotowaniu do zrywu. Mają zbierać ochotników i gromadzić broń.

– Kiedy wszystko się skończy, prześlemy listy władzom i tyle. – Osowski wzruszył ramionami.

– Nie rozumie pan chyba powagi sytuacji. – Czaraszkiwicz pokręcił głową. – Jeden z listów adresowany jest do jakiegoś Betuli, mieszkańca naszego miasteczka. Wynika z tego, że mamy tu komórkę buntowniczej bandy.

– Nie znam żadnego Betuli – mruknął Osowski. – W żadnym z sześciu moich domów taki nie mieszkał.

– To pseudonim – wyjaśnił Brzóska. – Zresztą nieaktualny, buntowszczyk pewnie został pochłonięty przez anomalię.

– Władze nie mogą dowiedzieć się, że mieliśmy tu buntowników. Nasze miasteczko zawsze było i będzie wierne carowi. – Czaraszkiwicz podniósł palec, wskazujący ku górze. – Rosjanie potrafią być bardzo surowi dla buntowników, nasze miasto mogłyby dotknąć przykre konsekwencje. Moglibyśmy stracić prawa miejskie, miejscowość szybko by się wyludniła, całkiem straciła znaczenie, a to byłoby katastrofalne dla naszych interesów. Dla całej społeczności. Jeśli okoliczne miasteczka, Jędrzejów, Małogoszcz czy nawet Chęciny, przyłączą się do powstania, to je spotka kara, a my, jako lojalni i wierni Romanowom, tylko na tym skorzystamy. Nikt zatem nie dowie się o niepokornych mieszkańcach naszego miasta.

Listy znikną, nikomu ich nie przekazemy.

– Listy do pieca, chłopą dajcie mnie i po kłopocie. –
Osowski skinął głową.

Ksiądz przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym zdumieniem. Otrząsnął się dopiero po chwili.

– Musimy powstrzymać się przed przemocą – powiedział. – Ten człowiek nie sprawia wrażenia buntownika, to przecież zwykły, niepiśmienny włościanin. Musiał rzeczywiście znaleźć te papiery przypadkiem, tak jak i rzeczy Hieronima. Trafił do miasta niechcący, jakimś cudem znalazł przejście, wyrwę w turbulencji. Może uda się go skłonić, by poprowadził nas tą samą drogą?

– Jak Boga kocham, księżę dobrodzieju! – Chłop szarpnął się w łańcuchach. – Nie mam nic wspólnego z buntownikami ani z piekielnymi mocami. Ja ino prosty parobek. Jak chceta poprowadzę was, którądy przyszedłem. I to po dobroci, nie trza mnie bić.

– Naprawdę nie widziałeś Hieronima? – Alicja dopadła do chłopą i chwyciła go za wymiętą koszulę. – Nie zrobiłeś mu krzywdy?

– Ano, panienko. – Wielkolud potrząsnął głową. – Nikogom nie widział, póki nie napadli mnie chłopą z tego

domu. Przysięgam na wszystkie świętości. Znalazłem jedno kupę ubrań. Połasiłem się na te skarby, alem myślał, że som niczyje.

– Pewnie! – parsknął Brzóska i dla podkreślenia słów trzasnął nahajką. – Niczyje, kurwa twoja mać. Kosztowności zawsze są dla ciebie niczyje, co? Powiesić zbója! Nie ma co się patyczkować z byle wszarzem! Na stryczek gada!

Osowski stał nieruchomo, wpatrując się w ofiarę. Uśmiezek nie zniknął z jego ust, brakowało tylko, by kamienicznik zaczął się oblizywać. Czaraszkiwicz z jęknięciem wstał z krzesła i podszedł do chłopca. Odsunął guwernantkę niczym niepotrzebny przedmiot i z bliska przyjrzał się brodatej gębie więźnia.

– Też byłbym za tym, by skończyć z przybłędą – powiedział wreszcie. – Nie potrzebujemy kolejnej gęby do wyżywienia ani podejrzanego o przynależność do patriotycznej organizacji.

– Poprowadzi nas do wyjścia. – Agaton zadrżał ze zgrozy. – Nie możecie tak po prostu go zamordować! Pannie, o czym wy właściwie mówicie? To przecież człowiek, nie możecie zabić go jak wściekłego psa.

– Możemy. – Czaraszkiwicz wzruszył ramionami.

– W tym piekle możemy wszystko, tu nie obowiązują żadne prawa. Tu nie ma Boga.

– Puśćcie go zatem wolno! Przyjmę nieszczęśnika na plebanię...

– A potem znów zaczniesz eksperymentować – warknął gruby ziemianin. – Swojego kompana już wysłałeś w diabły. Jeszcze ci mało, klecho? Naprawdę narobisz nam jakichś kłopotów przez ten swój upór. Zrozum wreszcie, że ucieczka nie ma sensu. Tylu już próbowało i co? Mutatio ich pochłonęło. Musimy przeczekać. Czekać, aż to wszystko samo się skończy.

– Przetrywamy – przytaknął cicho Osowski. – Ten przybłąda nie będzie nam potrzebny. Ja się nim zajmę.

– Nie pozwolę go zadrzeć. – Agaton, ku własnemu zaskoczeniu stwierdził, że nie da się zastraszyć i nie odda człowieka w ręce szaleńca.

– No to po prostu go powieśmy! – Brzóska mówił głośno, twarz miał czerwoną i mokrą od potu. – Skończmy z nim humanitarnie, po chrześcijańsku.

Czaraszkiwicz pokiwał głową z zadumą.

– Nie obchodzi mnie, co się z nim stanie – oznajmił.

– Skoro nie wie nic o turbulencji ani co się stało z pisarzem kolegiąlnym, ma zniknąć i już. Ksiądz go nie dostanie, bo mu nie ufam. Słyszysz, klecho? Postaraj się poprawić, bo i ty będziesz musiał zniknąć. Przybędą zajmie się pan Osowski, który jak zwykle usunie niewygodnego swoimi metodami. Koniec dyskusji, idziemy stąd.

Alicja ukryła twarz w dłoniach, jej ramiona zaczęły dygotać targane bezgłośnym płaczem. Chyba wreszcie zrozumiała, że Hirek zginął, pochłonięty przez turbulencję. Agaton stał oniemiały, trawiąc słowa Czaraszkiwicza. Usunie, jak zwykle... Znaczą Osowski zajmował się morderstwami nie tylko dla własnej przyjemności, ale i na zlecenie miejscowych posiadaczy. Kto wie, ile intratnych interesów Czaraszkiwicza zostało okupionych krwią nieszczęśników zamordowanych w tej piwnicy?

Agaton zrozumiał coś jeszcze. Jeśli nawet anomalia minie, ani on, ani Alicja nie wyjdą z turbulencji żywi. Czaraszkiwicz i Osowski nie dopuszczą, by ich zbrodnie ujrzały światło dzienne. Chyba że ksiądz i guwernantka całkowicie podporządkują się ich władzy i okażą się przydatni. Póki co, ocaleni potrzebowali kapłana, nawet młodego i niezbyt doświadczonego, obecność Agatona podnosiła zatem na duchu mieszkańców kamienicy Osowskiego. Jeśli jednak ksiądz znów spróbuje uciec lub otwarcie postawi się ziemianinowi, jego cierpliwość może się skończyć.

Czaraszkiwicz złapał Alicję pod ramię i stanowczo wyprowadził ją z pomieszczenia. Sapiąc ciężko, wdrapał się po schodach i przystanął na ich szczycie, czekając na wahającego się Agatona. Młody ksiądz był świadom, że nie może uratować biednego przybysza, że na szali leży życie jego i Alicji. Dziewczyny musiał strzec jak oka w głowie, Hieronim zobowiązał go do opiekowania się narzeczoną. Agaton nie mógł teraz otwarcie postawić się Czaraszkiwiczowi, nie miałoby to sensu.

Jeszcze raz popatrzył w oczy wielkoludowi. Zdawało mu się, że więzień dostrzegł rezygnację w postawie księdza i sam skurczył się, zmałał. Jego oczy ciągle jednak błyszczały nadzieją. Agaton odwrócił się i popychany chamsko przez śmierdzącego wódką Brzóske, wyszedł z piwnicy.

– Jutro rano odprawisz mszę dziękczynną – nieznośnym sprzeciwu tonem rozkazał Czaraszkiwicz. – Przyjdą na nią wszyscy ocaleni, razem podziękujemy Panu za opiekę. Wygłosisz optymistyczne kazanie, w którym nakażesz wiernym cierpliwie czekać. Złożysz też mi podziękowania, jako dobroczyńcy dotkniętego katastrofą miasta. Zalecisz ludziom całkowite podporządkowanie się mojej woli, dla dobra nas wszystkich. Czy mogę na ciebie liczyć, Agatonie? Nie będziesz więcej próbował walczyć z turbulencją, ryzykując życie nas wszystkich?

– Nie będę – cicho odparł ksiądz. – Odprawię mszę, jak pan sobie życzy.

Grubas uśmiechnął się promiennie i poklepał duchownego po plecach.

– Podobasz mi się, chłopcze – powiedział z zadowoleniem. – Oby tak dalej i jeszcze się zaprzyjaźnimy. Energiczny i inteligentny duchowny, który potrafi współpracować z elitami, jest potrzebny naszej społeczności. Kiedy to wszystko się skończy, miasto będzie potrzebowało nowego proboszcza, myślę, że świetnie byś się sprawdził na tym stanowisku. Znam dobrze biskupa, wystarczy, że szepnę mu słówko.

Agaton pokiwał głową i zmusił się do nieznacznego uśmiechu.

– A teraz zabierz tę dziewczkę na plebanię i spróbuj uspokoić. – Ziemianin pchnął Alicję w ramiona księdza, niczym bezwolną marionetkę.

Ksiądz skinął mu głową na pożegnanie, objął dziewczynę i poprowadził ją do bramy kamienicy. Musieli się śpieszyć. Nadchodziła noc.

*

Pliszka został w celi sam. Wychodząc, Osowski nie zgasił lamp, zatem lada chwila powinien wrócić. Zapanaowała całkowita cisza, piwnica znajdowała się na tyle głęboko, że nie dobiegały do niej odgłosy życia w kamienicy. Musiało to działać i w drugą stronę. Krzyki torturowanych w tym pomieszczeniu grzęzły w grubych murach i z pewnością nie przeszkadzały mieszkańcom. Gospodarz urządził tu sobie dyskretny warsztat, w którym oddawał się przyjemnościom, przy okazji robiąc przysługi współnikom w interesach.

Podłogę wyłożono ceramicznymi płytkami, by łatwo można było z nich zmyć krew. Prócz stołu tortur w kącie stał koksownik, pewnie na wypadek gdyby Osowskiego naszła ochota przypalać ofiarę rozżarzoną żelazem. Obok leżała miska z kupą szmat i zabryzgane krwią wiadro, którego przeznaczenia wielkolud mógł tylko się domyślać. Nie brakowało tu jednak sprzętu zapewniającego gospodarzowi odrobinę luksusu: na środku stało wygodne krzesło obszyte pasiastym materiałem i empirowy stolik z kielichami i kilkoma butelkami wina i koniaku. To na nich najbardziej skupił się Pliszka. Usta miał suche jak pustynia, żołądek z pewnością przyrósł mu już do kręgosłupa, do tego w kiszkaach burczało żałośnie.

Więzień nie bał się ani odrobinę, głowę zaprzętał mu teraz głód i pragnienie. Wciągnął nosem powietrze i

westchnął z rozkoszą. Przez smród stęchlizny przebijał zapach czystej wódki, którą rozlał pijany Brzóska. Pliszka napiął mięśnie. Łańcuch trzymał mocno, ale wystarczyło szarpnąć porządnie i... Nie. Jeszcze nie teraz. Musiał się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co stało się z nieszczęsnym miastem.

Osowski wrócił w towarzystwie nastoletniego siostrzeńca Czaraszkwicza, Maksa. Gospodarz nadal ubrany był w szlafrok, natomiast obficie skropił się perfumami i natarł włosy pomadą. Maksymilian, szczupły, wysoki młodzieniec o brązowych, sarnich oczach, rozglądał się po katowni z autentyczną fascynacją. Kamienicznik nalał im po kieliszku wina i ruszył w obchód po swoim królestwie, trzymając gościa pod ramię. Szedł miękkim krokiem i właściwie nie mówił, tylko zmysłowym głosem szeptał chłopcu do ucha swoje krwawe tajemnice. Opisał po kolei wszystkie instrumenty służące do zadawania bólu, śliniąc się przy tym z podniecenia. Maks co chwila z ciekawością zerkał na Pliszkę, ale wielkolud stał z obojętną miną, nic sobie nie robiąc z makabrycznych opowieści.

– Zadawanie bólu, okaleczanie i wreszcie przyglądanie się konającej ofierze jest specyficznym rodzajem sprawiania sobie przyjemności. Trzeba podkreślić, że dostępnym jedynie nielicznym, najbardziej wrażliwym i czułym na piękno jednostkom – mówił Osowski. – Nie

wiem, czy dojrzałeś do tego, Maksymilianie. Nie wiem, czy jesteś gotów. Mogę otworzyć przed tobą bramy do rozkoszy niedostępnych zwykłym śmiertelnikom, mogę pokazać ci, jak czerpać energię ze śmierci, z bólu. Chcesz spróbować, mój drogi?

Chłopcu oczy błyszczały niezdrową fascynacją i podnieceniem. Przytaknął, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

– Ekstremalne doznania są powiązane i oddziaływają na siebie. Mogą się wzajemnie wzmacniać, potęgować do granic szaleństwa. Zanim zaczniemy seans, trzeba cię mentalnie i fizycznie przygotować. Musisz na początek otworzyć się na swoją zwierzęcą naturę, uruchomić imaginację, pozwolić porwać się instynktom. Przede wszystkim musisz zrozumieć, że cielesność jest nieodmiennie powiązana z duchowością. Wzmocnijmy ją poprzez oddziaływanie na fizyczność. Zanim zaczniemy czerpać moc z bólu tego człowieka, rozpalmy żądze. Uwolnijmy swoją seksualność.

Osowski jednym ruchem rozsnuował szlafrok i zrzucił go na ziemię. Położył dłoń na szyi chłopca, przyciągnął go do siebie i pocałował w usta. Drugą ręką zaczął rozpinać koszulę młodzieńca. Pliszka przyglądał się temu z rosnącym niesmakiem. Po paru chwilach obaj mężczyźni stali nago i pieścili się wzajemnie. Wielkolud

chrząknął znacząco.

– Tak sprowadziłeś piekło na tę miejscinę? – zadudnił.

Kochankowie niemal podskoczyli. Osowski spojrział z gniewem przez zaparowane binokle.

– Zapomniałem zakneblować chama. Wybacz, Maksiu – szepnął.

– Tłukłeś pan jakiego nieszczęśnika i bum, szlag trafił całe miasteczko? A? – Pliszka uśmiechnął się wyzywająco. – Zadręczyłeś odmieńca, a ten, umierając, otworzył bramę do piekła. Zgadłem?

– Co takiego? – Osowski wyciągnął okrwawione szmaty ze stojącej w kącie miski i zwinął je w knebel. – Myślisz, że turbulencja powstała w tej piwnicy? Co za pomysł! Odmieniec w mojej pracowni? Tfu! Nie skalałbym się kontaktem z człowiekiem o zepsutej krwi! Dzięki Bogu nigdy żaden odmieniec tu nie trafił i nigdy nie trafi.

– Nie byłbym tego taki pewien – mruknął pod nosem więzień.

Osowski ze złością cisnął szmatę w kąt. Pliszka zauważył, że kamienicznikowi opadł wzwód. Widocznie

swoją uwagą zepsuł mu nastrój, owe uwalnianie żądz. Gospodarz złapał rękojeść bicia o wielu rzemieniach zapatrzonych w żelazne zadziory. Potrząsnął nim przed nosem wielkoluda.

– Zaraz nauczę cię pokory, chamie – wycedził.

– Piekło rzadko otwiera się samo z siebie, bez powodu – zauważył niezrażony Pliszka. – Może powiesiliście jakiego nieszczęśnika? Chłopy z miasta pobili bidnego pielgrzyma? Zgwałciliście abo spaliliście dziewczkę podejrzaną, że jest wiedźmom?

– Coś ty taki dociekliwy, chłopie? – zaciekawił się Osowski.

– Trza mi zamknąć bramę – odpowiedział spokojnie – by ruszyć w dalszo drogę. Gdzie jest brama do piekła? W którym miejscu miasta wszystko siem zaczęło?

Osowski parsknął śmiechem.

– Coś takiego! Chce ruszyć w dalszą drogę, a to dobre!

– Jeszcze jedno. Gdzie są dzieci? – spytał niespodziewanie Pliszka.

– Co?

– Dzieci! Dlaczego w mieście nie widział ani jednego dzieciaka? Ukryliście je?

– Znikły, kiedy wszystko się zaczęło – odparł zaskoczony kamienicznik. – Wraz z nadejściem turbulencji po prostu wszystkie znikły. Widocznie mutatio działa na nie szczególnie mocno.

– Nieprawda. – Pliszka pokręcił głową. – Dzieci są odporniejsze na te sprawy. Wiem to na pewno.

– Dość – warknął Osowski. – Dosyć tego, chamie.

Zamachnął się i sieknął biczem na odlew. Rzemienie chlasnęły przez bok olbrzyma, zadziory rozharatały skórę, przejechały po żebrach. Poszarpana koszula mężczyzny natychmiast pokryła się krwią płynącą obficie z ran. Wielkolud jęknął głucho. Kamienicznik zacisnął zęby i uderzył jeszcze raz, z drugiej strony. Ciągnął mocno, kiedy zadziory zagłębiły się w skórze, i zaraz unosił bicz do kolejnego ciosu. Erekcja natychmiast mu wróciła.

Jęk dobiegający z gardła Pliszki przeszedł w basowe warczenie. Olbrzym napiął mięśnie, pochylił głowę. Dzięki temu dwaj oprawcy nie zauważyli, że oczy więźnia rozbłyły jadowitą żółcią. Skulił się, by nie dostrzegli,

jak jego sylwetka rośnie, mięśnie nabrzmiwiają i puchną. Wicie się wzięli za rozpaczliwą próbę uniknięcia ciosów.

– Dość! – Do piwnicy wpadł ksiądz Agaton.

Duchowny był całkiem przemoczony. W rękę ścisnął staroświecki, skałkowy pistolet, jeden z kolekcji broni starego proboszcza. Zdecydowanym krokiem wszedł do pomieszczenia, mierząc w Osowskiego. Nie zauważył stojącego z tyłu chłopca. Maksymilian skoczył mu na plecy, jednocześnie szarpiąc za uniesioną rękę. Pistolet wypalił, głuchy huk wstrząsnął powietrzem, piwnicę wypełniły kłęby dymu śmierdzącego siarką. Ołowiana kula rozplaszczyła się na podłodze, roztrzaskując jedną z ceramicznych płytek. Osowski doskoczył do pochylonego pod ciężarem młodzieńca duchownego i złapał go za włosy.

– Znalazł się, bohater cholerny – syknął. – Nie trzeba było słuchać Czaraszkiwicza, głupi klecho? Teraz zdechniesz w męczarniach razem z tym wieśniakiem. I po co ci to było?

Szarpał za włosy wyjącego z bólu Agatona, któremu jednocześnie Maksymilian z całych sił wykręcał rękę. Pistolet upadł na ziemię. Nikt nie zwracał uwagi na Pliszkę, który zwinął się w kłębek na tyle, na ile pozwalały więzy. Nagle wyprostował się gwałtownie i jednocześnie rozłożył ramiona. Ogniwa łańcucha trzasnęły w kilku miej-

scach i posypały się, dzwoniąc metalicznie o podłogę. Osowski odwrócił się z rosnącym przerażeniem w oczach. Wieśniak w jednej chwili zmienił się w piekielnego demona. Jego oczy stały się ślepiami bestii, błyszcząły żółcią niczym oczy wilka. Cała sylwetka powiększyła się znacznie, zdawała się sięgać sufitu. Pliszka pochylał głowę, szczerząc przy tym zęby i warcząc głucho.

Na dwa uderzenia serca wszystko zamarło w bezruchu. Agaton miał wrażenie, że czas się zatrzymał. Odmieniec, bo właśnie nim musiał być olbrzym, patrzył na kamienicznika spojrzeniem pozbawionym śladów inteligencji, za to wypełnionym czystą nienawiścią. I skoczył. W jednej chwili jego sylwetka zamieniła się w rozmazaną smugę. Osowski poderwał się w powietrze. Pliszka uniósł go nad głowę i z całych sił cisnął o ziemię. Z obrzydliwych chrupnięciem czaszka mężczyzny uderzyła o kafelki, rozbryzgując wokół bladoróżową miazgę. Maksymilian pchnął Agatona pod nogi bestii i skoczył do wyjścia. Ksiądz przejechał kolanami i dłońmi po lepkiej mazi, w którą zamienił się mózg Osowskiego. Wielkolud skoczył nad nim w wilczym susie i wylądował na plecach chłopca. Niemal wbił go przy tym w podłogę. Trzasnęły żebra gruchotanej klatki piersiowej młodzieńca. Odmieniec chwycił oburącz jego głowę i pociągnął mocno. Łamany kręgosłup chrupnął obrzydliwie.

Agaton kaszlnął, wstrząsany wymiotnym odruchem. Zakrztusił się, przerażenie zacisnęło mu gardło. Potwór kuczał na trupie i patrzył na księdza błyszczącymi ślepiami. Teraz kolej na niego. Odmieńca ogarnął szal, będzie zabijał każdego, kto mu wpadnie w ręce. Moc mutatio zawładnęła jego umysłem, zmieniając w nadistotę, ale przy okazji pozbawiła świadomości. Agaton wyprostował się i z godnością przeżegnał. Zamknął oczy, czekając na atak, na uderzenie wielkiego cielska, które zgruchocze mu kości. Nic się jednak nie wydarzyło.

– Bóg zapłać, księżu dobrodzieju, za pomoc – nad jego uchem rozległ się spokojny głos chłopca. – Ino szkoda, żeśta się pośpieszyli. Może udałoby mi się wycisnąć coś wiencyj z tych sukinsynów.

Agaton otworzył oczy. Pliszka pochylał się nad nim z niewinnym uśmiechem na brodatej, wrednej gębie. Jego oczy były normalne, sylwetka przybrała poprzednie rozmiary. Odmieniec przybrał zwykłą postać, zgasił płonące w nim mutatio. Dzięki Bogu!

Ksiądz wstał i machinalnie wytarł umazane ręce o spodnie. Pliszka doskoczył do stołu i rozgarnął narzędzia tortur. Zaklął przy tym paskudnie.

– Thusty wieprz zabrał listy – warknął. – Muszę je odebrać.

– Nie teraz. – Agaton nie mógł zapanować nad drżeniem głosu. – Na noc Czaraszkiwicz barykaduje się w sypialni na trzecim piętrze. Strzeże go banda uzbrojonych drabów. Zastrzelą cię, zanim wbiegniesz po schodach. Wymyślimy coś rano, teraz musimy wracać na plebanię, zostawiłem tam Alicję samą. Chodźmy.

Pliszka posłusznie skinął głową, ale zanim ruszył za księdzem, złapał butelkę koniaku i łapczywie opróżnił ją do połowy.

*

Na zewnątrz panowała już ciemność. Deszcz raz po raz uderzał nieregularnymi falami targanymi wiatrem. Był lodowato zimny, ciął boleśnie twarz i wdzierał się pod ubranie. Agaton skulił się, wbił głowę w kołnierz. Trząsł się ze strachu i od dreszczy. Rozglądał się nerwowo na boki. Na szczęście nikt nie natknął się jeszcze na ogłuszonego szewca, którego zaciągnął w bramę. Mieszkańcy zamknęli się w kwaterach, nikt nawet nie wyglądał na zewnątrz.

Pliszka wyszedł pewnie na deszcz, zupełnie się nim nie przejmując. Ruszył za szybko oddalającym się księdzem, który kierował się na stojący niedaleko kościół. Olbrzym dogonił go i rozejrzał się wokół. Ulice pograży-

ły się w ciemnościach. Błede światełka lamp kamficznych i świec tliły się niemrawo tylko w oknach kamienicy Osowskiego i na plebani. Poza nimi miasto wyglądało, jakby pochłonął je mrok, jakby przestało istnieć. Dopiero po paru chwilach wzrok Pliszki przywykł do ciemności i chłop dostrzegł czarne kontury dachów odcinające się na niebie, kałuże i mokry bruk odbijający światełka z okien.

– Szybko, szybko! – Agaton skulił się jeszcze bardziej i nie wytrzymując napięcia, ruszył biegiem.

Pliszka przystanął. Wystawił twarz pod wiatr, nie bał się mutatio niesionego przez deszcz, nic mu nie mogło zrobić. Odniósł wrażenie, że coś dzieje się z sąsiednią uliczką. Bruk drgnął, kamienie uniosły się i opadły falą, dach najbliższego domu zniknął w ciemności. Powietrze przeszło basowe jęknięcie, potężne i groźne, dobywające się jakby z trzewi wielkiej istoty. Świat wykrzywił się, zdeformował. Włóścianin poczuł to fizycznie, niczym trzaśnięcie w twarz. Coś targnęło rzeczywistością, uderzyła w nią brutalna ingerencja. Kamienie bruku zagrzecotały poruszane kolejnymi falami, ściana najbliższej kamienicy zatrzesczczała, wewnątrz coś z hukiem zważyło się na podłogę. Deszcz zasnuł budynki, zaszumiał, załomotał wściekle o dachy i szyby. Obserwowana przez Pliszkę uliczka znikła. Zamiast niej stała trzypiętrowa kamienica o dziwnej, wykrzywionej groteskowo fasadzie. Czarne otwory okien pozbawionych szyb zdawały się

wyczekująco patrzeć na samotnego człowieka.

Olbrzym wstrząsnął się, ciarki przebiegły mu po plecach. Z miejsca rzucił się biegiem i z impetem wpadł w bramę prowadzącą na dziedziniec plebanii. Miał wrażenie, że turbulencja depcze mu po piętach. Nie był już taki pewien, czy mutatio i jemu nie może zrobić krzywdy.

Agaton czekał na niego uczepiony bramy. Mamrotał przy tym modlitwę, wytrzeszczonymi z przerażenia oczyma wpatrywał się w ciemność. Pliszka poczuł falę wdzięczności do młodego klechy, który musiał stoczyć ze swoim strachem prawdziwą bitwę. Wyszedł w noc ratować nieznanego, a teraz czekał na niego, mając pod samym nosem otwarte piekło.

Zatrzasnęli bramę, starając się nie zwracać uwagi na basowe jęczenie maltretowanego turbulencją miasta, na grzechotanie kamieni bruku, pęknięcie ścian i dudnienie konających domów. Potem biegiem doskoczyli do drzwi plebani i wpadli do środka. Agaton oparł się o ścianę, dysząc ciężko. Serce tłukło mu się w piersi, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz. Deszcz całkiem go przemoczył.

Agaton wzruszył ramionami i przeszedł z sieni do przedpokoju. Alicja pewnie nadal spała i nawet nie spostrzegła jego nieobecności. Wyszedł, nic jej nie mówiąc, nie chciał dodatkowo niepokoić udręczonej dziewczyny.

Westchnął z ulgą po raz kolejny. To był straszny dzień. Wszyscy przeżyli dziś koszmar na jawie. Pora odpocząć. Miał nadzieję, że w kominku nie zgasło i będzie przy czym się wysuszyć. Wszedł do głównego salonu i zastygł w drzwiach.

Na jego fotelu, naprzeciw kominka, siedział Jan Brzóska. Poplecznik Czaraszkiwicza uśmiechnął się na widok gospodarza i wzniósł trzymany w dłoni kielich. Pi-jaczyna beczelnie pił wino mszalne, które musiał znaleźć w kuchni. Agaton poczuł szturchnięcie, Pliszka minął go i widząc wroga jednym susem wpadł do pokoju, gotów do walki. Brzóska podniósł w górę obie ręce w poddańczym geście.

– Hola, hola, panie posłańcu! Przyszedłem tylko od-
dać wam listy – powiedział i sięgnął za pazuchę.

Rzucił na stolik pęk papierów.

– Jak się tu przedostałeś suchą nogą? – spytał Aga-
ton.

– Zwyczajnie – mruknął. – Piwnicami. Pod miastem znajduje się cała ich sieć, wszystkie kamienice zaopatrzo-
no w rozległe podziemia. Czaraszkiwicz kazał przekopać między nimi przejścia, kiedy się okazało, że mutatio jesz-
cze nie sięga pod ziemię. Pod plebanię przebiliśmy się

dziś rano. Okazało się, że stary proboszcz kolekcjonował nie tylko broń. Naliczyłem pół tysiąca butelek starego wina, najróżniejsze roczniki i szczepy. Węgrzyny, litewskie miody i francuskie szampany. Jedną flaszkę pozwoliłem sobie przywłaszczyć.

Pliszka zgarnął listy i zaczął je przeglądać.

– Jednego ni ma – zauważył.

– Oddałem adresatowi – odparł Brzóska.

– Betula żyje? – ucieszył się Pliszka. – Gdzie jest?

– Siedzi przed tobą – westchnął ksiądz. – Że też wcześniej się nie zorientowałem. Betula to po łacinie tyle co Brzoza.

– Dyc to pan! – ryknął chłop i trzasnął się z radości po udach. – Nalejcie i mnie tego wina.

Agaton podszedł do kominka i wyciągnął do niego zmarznięte ręce. Woda ciągle spływała mu po twarzy i kapiała na podłogę. Powinien się rozebrać i wysuszyć. Zaczął odpinać guziki kamizelki i koszuli. Tymczasem dwaj spiskowcy niemal padli sobie w ramiona. Brzóska zaczął się tłumaczyć, że jego zażyłość z Czaraszkiwiczem to tylko gra, by zbliżyć się do wpływowego ziemianina.

Niestety okazało się, że bogacz pogardza patriotami i sprawa narodowa tylko mu zawadza, nie da się więc skłonić go do poparcia ruchu, nie mówiąc już o udziale w nadchodzącym powstaniu. Czaraszkiwicz wydaje się jednak na tyle ważną dla miasta postacią, by Brzóska zdecydował się nadal pozostawać w jego otoczeniu i uważnie śledzić ruchy ziemianina. Prowadził on bowiem bardzo rozległe interesy, nie wahał się przed korumpowaniem carskich urzędników i obrotem nielegalnymi towarami. Jego kontakty i metody działania mogłyby bardzo się przydać w czasie powstania, przy przemyśle broni z Galicji czy do dezorganizowania lokalnej, rosyjskiej administracji.

– Nie wyobrażacie sobie, panowie, co ten grubas potrafi wyprawiać! Mimo że jest pazernym bydlakiem, nie mogę przestać być pełen podziwu dla rozmachu i śmiałości, z jakimi działa – mówił Brzóska, przepijając do Pliszki. – Wiem, że w kieszeni siedzi mu co najmniej dziesięciu wysokich urzędników z magistratu w Kielcach, w tym dyrektor Izby Kontroli w randze radcy stanu. Czaraszkiwicz oficjalnie importuje tytoń i przyprawy, ma też składy artykułów żelaznych i obsługuje warsztaty taborów kolejowych w południowej części królestwa. Do tego zajmuje się na masową skalę przemysem alkoholu i handlem artefaktami wyciągniętymi z turbulencji. Obraca też posiadłościami ziemskimi, w tej chwili należy do niego kilka wsi i ponad trzydzieści dziesięcin skarbowych ziemi

uprawnej, nie licząc lasów...

– Handluje artefaktami? – Pliszka oderwał się wreszcie od butelki, którą opróżnił duszkiem do dna.

– To najbardziej szemrany z jego interesów, ale bez wątplenia najbardziej intratny – przytaknął Brzóska. – Rzeczy wyplute przez turbulencje, nasyczone mutatio, że aż świecą, są drogie jak cholera. Jako że Urząd Przemian ściga każdego, kto nimi obraca, handel tym towarem jest też śmiertelnie niebezpieczny. Trochę się dziwię upodobaniu Czaraszkiewicza do artefaktów, ale grubas uparł się, by urządzić sobie kolekcję tego cholerstwa. Od miesiąca chodzi dumny jak paw, bo zdobył jedno zwierciadło wyciągnięte z uskoku koło Sewastopola.

– Wielka Brama Piekieł – mruknął Agaton.

– Tak nazywają tę turbulencję, jest jedną z najszlachetniejszych. Zwierciadło musiało kosztować fortunę. Nie mam pojęcia, co za wariat wyciągnął je z anomalii, ale ponoć śmiałków, którzy lubią w nich nurkować, nie brakuje.

– Gdzie jest to zwierciadło? – Pliszka sprawiał wrażenie poruszonego; patrzył na Brzóske z uwagą, marszcząc przy tym czoło z umysłowego wysiłku.

– A na poddaszu kamienicy Osowskiego, gdzie Czaraszkiwicz ma tajny skład – odparł komisarz Komitetu Narodowego. – Lustro ma z arszyn wysokości i ze dwie stopy szerokości, do tego niezwykłą ramę z matowego szkła. Ale najlepsze jest to, że nie daje odbicia. Całkowicie pochłania światło, jest czarne jak najczarniejsza noc. Spojrzałem w nie raptem raz i niemal się porzygałem. Od jednego spojrzenia zawroty głowy, że można oszaleć, uważacie, panowie?

– Ale wy durni. – Pliszka pokręcił głową. – Mundre, wykształcune pany, a durne jak podwórkowe burki. Toż to zwierciadło otworzyło wrota do piekła i pochłonęło miasto!

W pokoju zapadła cisza. Brzóska patrzył na Pliszkę, mrugając z zaskoczenia. Agaton w międzyczasie zdjął koszulę i stał teraz w samych spodniach. Ciągłe wyciągał ręce do ognia pełgającego w kominku. Stał bez ruchu i patrzył na własne dłonie jak zaczarowany.

– Jezus Maria – szepnął.

Pliszka podszedł do kapłana, rozparty na krześle Brzóska poderwał się na równe nogi. Z dłoni Agatona unosiła się para wodna, a wraz z nią ulatywały w górę fragmenty ciała księdza, niczym lekkie płatki śniegu unoszone podmuchami wiatru. Zupełnie jakby duchowny

zbudowany był niczym układanka z maleńkich, regularnych kawałków, które rozsypały się i wzlatywały wraz z białymi smugami wody. I tak jak para wodna rozpływały się w powietrzu i znikwały bez śladu. Pliszka zauważył, że elementy układanki są niewielkimi sześcianami, każdy w innym kolorze.

– Deszcz. Dopadł i mnie – jęknął Agaton. – Zniknę tak jak Hieronim, jak wszyscy inni. Jezu, to boli!

Spomiędzy rozsypujących się sześcianów popłynęła krew, gdzieniegdzie w kikutach ramion księdza ze struktury układanki wystawały zbroczone naczynia krwionośne i kości rąk. Mutatio nie zdążyło całkowicie odmienić ciała człowieka, nie wniknęło dostatecznie głęboko. Rozpoczęło transformacje, zanim obiekt został w pełni odmieniony. Czym rozpad i odparowanie postępowały szybciej i głębiej, tym coraz większe fragmenty nietkniętego przemianą ciała się odsłaniały, okaleczone i krwawiące.

Ksiądz zawył, a po chwili ryknął na całe gardło. Rzucił się przed siebie i wpadł w ramiona Brzóska. Ten odruchowo chwycił Agatona za tryskające krwią kikuty. Dotyk człowieka jakby pozwolił Agatonowi nad sobą zapanować. Zamarł w bezruchu, zaciskając zęby. Dławił się i krztusił, łzy płynęły mu po policzkach. Tymczasem rozpad postępował coraz bardziej, dotarł do barku i po chwili

rozlał się na pierś i brzuch mężczyzny. W kłębach pary popłynęły w powietrze miliony kolorowych sześcianików. Znikła skóra i mięśnie z torsu księdza, w krwawych wybroczynach pojawiły się białe szeregi żeber i bijące w ich klatce serce. Znikły też mięśnie i skóra na brzuchu, uwolnione jelita z młażnięciem upadły na podłogę.

– Kurwa mać – wycedził przerażony Brzóska.

Pliszka obrócił w dłoni butelkę, zastanawiając się, czy jednym ciosem nie skończyć mąk księdza, ale szklane naczynie mogło okazać się niewystarczające. Obrócił się, szukając wzrokiem czegoś twardszego i cięższego. Dostrzegł żelazny pogrzebacz stojący przy kominku i bez zastanowienia rzucił się w jego stronę.

Nikt nie zwrócił uwagi na otwierające się drzwi i stojącą w nich Alicję. Dziewczyna omiotła rozbieganym wzrokiem pomieszczenie i uniosła oburącz myśliwską pojedynkę do polowań na ptaki, o kolbie pięknie zdobionej w sceny polowań. To był kolejny egzemplarz z kolekcji broni starego proboszcza, które razem z Agatonem raniem zdjęli ze ścian i nabili.

– Co mu zrobiłeś, sukinsynu?! – wrzasnęła do Brzóska. – Puść go!

Pliszka obrócił się na pięcie.

– Nie! Nie strzelaj! To swój!

Dziewczyna w tej samej chwili pociągnęła za spust. Kurek trzasnął w kapiszon i strzelba ryknęła basowo. Chmura śrutu trafiła Brzóske w szyję i twarz. Trafiony puścił księdza i obrócił się, bryzgając wokół krwią ze zmasakrowanej aorty. Bezwładnie runął na podłogę, a wraz z nim pozbawiony świadomości Agaton.

Pliszka pokręcił głową i wypuścił z dłoni pogrzebacz. Ciało księdza ciągle ulegało przemianie, mutatio deformowało je i przeistaczało, a potem powodowało rozpad. Nawet rozlana w kałuże krew Agatona pękała na tysiące, miliony sześcianów i odfruwiała kolorową chmurą. Po chwili na podłodze zostały tylko spodnie i bielizna duchownego, leżące obok trupa Brzóske.

– Boże, co ja zrobiłam – jęknęła dziewczyna i osunęła się na podłogę, zakrywając twarz dłońmi.

Pliszka nerwowym ruchem chwycił za kielich Brzóske i dopił resztę wina.

*

Tajny agent Komitetu Centralnego Narodowego nie kłamał, w piwnicy faktycznie znajdowała się dziura w

ścianie, a za nią wykopany w ziemi korytarz. Pliszka szedł przodem, w jednym ręku trzymając lampę, a w drugim kuchenny nóż. Alicja sunęła za nim, pociągając nosem. Ciągle nie mogła otrząsnąć się z szoku, straciła ukochanego, potem swego najbliższego przyjaciela i na koniec zabiła niewinnego człowieka. To było zbyt wiele jak na wrażliwą guwernantkę. Najchętniej wybiegłaby w ciemność, by deszcz zabrał i ją, ale Pliszka nalegał, żeby mu towarzyszyła. Twierdził, że koniecznie musi jej coś pokazać, że nie wszystko jeszcze stracone.

Po chwili maszerowali śmierdzącą stęchlizną i zawałoną rupieciami piwnicą, przeszli przez nią, brodząc po kostki w wodzie, i weszli w kolejny świeżo wykopany korytarzyk. Minęli tak kolejne dwa podziemia sąsiadujących kamienic i znaleźli się w znajomej piwnicy oświetlonej świecznikami zamontowanymi w ścianie. Znów byli w domu Osowskiego.

– Tera na samą górę – oznajmił Pliszka. – I to choćby po trupach.

Alicja przestała płakać i coraz bardziej wystraszona szła krok w krok za wielkoludem. Przeszli przez zabłoczone podwórko i stanęli przed drzwiami prowadzącymi do głównej części budynku. Pliszka cofnął się i z głuchym warknięciem kopnął w nie z całych sił. Wpadł do środka i z rozpędu pchnął nożem w pierś znajomego Alicji czelad-

nika szewskiego, który przysypiał na warcie i poderwał się dopiero po trzasku wyłamywanych zawiasów. Pliszka zostawił broń w piersi nieszczęśnika i pędem rzucił się po schodach na górę. Sadził susy po trzy stopnie, błyskawicznie zostawiając Alicję z tyłu.

Drzwi na pierwszym piętrze się otworzyły i stanął w nich wąsaty jegomość w szlafmocy i z szablą w garści. Wielkolud cisnął mu pod nogi lampę, która roztrzaskała się w drobny mak i zabryzgała wszystko wokół naftą. Ogień huknął żółtą kulą i w jednej chwili rozpełzł się po drzwiach i nogach wąsacza. Płonący mężczyzna z krzykiem rzucił się w tył.

Alicja przemknęła obok niesiona rosnącym przerażeniem. Co ten szaleniec chciał zrobić, pozabijać wszystkich mieszkańców kamienicy?

Po chwili znaleźli się przed drzwiami na trzecim, ostatnim piętrze domu. Prowadziły stąd jeszcze tylko wąskie drewniane schodki na poddasze. Na dole słyhać było krzyki i rumor, klatkę schodową zaczął wypełniać dym. Pliszka kolejnym potężnym kopniakiem wyłamał drzwi mieszkania i starł się z lokajem Czaraszkiwicza. Wyciągnął go na zewnątrz, uniósł nad głowę i cisnął służącym ze schodów. Wpadł do środka. Alicja przywarła do ściany, nie wiedząc, co ma zrobić. Z wewnątrz dobiegały odgłosy szamotaniny i bicia, dudniący głos Pliszki i krzyk

maltretowanego człowieka.

Po chwili olbrzym wyciągnął z mieszkania samego Czaraszkiwicza. Biały szlafrok grubasa zabryzgany był krwią lejącą się z roztrzaskanych ust i nosa ziemianina. Mężczyzna zawodził z bólu, trzymając się za lewą rękę, wykrzywioną nienaturalnie. Pliszka błysnął w mroku żółtymi ślepiami i wyszczerzył do Alicji zęby.

– Musiałem mu pomóc, by se przypomniał, gdzie schował klucze na poddasze – wyjaśnił.

Czaraszkiwicz został wepchnięty na schodki, po chwili gmerał zdrową ręką przy drzwiach, po kolei otwierając wszystkie cztery zamki. Na dole rósł rwetes; chyba zagaszono pożar i ustalono gdzie znajduje się agresor. Za chwilę schodami wbiegną uzbrojone w broń palną draby z otoczenia ziemianina. Alicja słyszała już kroki na schodach.

Grubas otworzył wreszcie drzwi i cała trójka wpadła do środka. Wewnątrz było zaskakująco jasno, blade światło sączyło się spod wiek dwóch masywnych kufrów. Pliszka szybko zatrzasnął zamki w drzwiach i uśmiechnął się złowrogo do ziemianina.

– Gdzie zwierciadło? – spytał krótko.

Czarszkiewicz, słaniając się na nogach z bólu i szoku, drżącą ręką wskazał przykryty płótnem stojak na trzech nogach – malarską sztalugę. Pliszka zerwał płótno, odsłaniając absolutnie czarną powierzchnię, oprawioną w szklaną ramę. Bezdenna ciemność lustra przyciągała wzrok z niezwykłą siłą, napierała na patrzących niemal fizycznym oddziaływaniem. Alicji zdawało się, że powierzchnia zwierciadła opalizuje nieznacznie, jakby ciemność promieniowała delikatnym światłem.

– Ot i wasze przekleństwo – mruknął wielkolud.

– Co chciałeś mi pokazać, panie Pliszka? – spytała guwernantka.

– Jaki ja tam pan! – Machnął ręką chłop. – Chciałem panience pomóc wrócić do domu. Wiecie, że wasze miasto ogarnęła turbulencja, a wiecie też, że turbulencje mogą być obdarzone mądrością? Potrafią myśleć i planować, mają swoją robotę, która nie jest na głowę zwykłego człeka. Tak czy inaczej nie są jakimś tam bezrozumnym żywiołem, une myślą.

– Obdarzone są świadomością? – doprecyzowała Alicja.

– Nie wiem, może i są. Zwykle przedmioty z nich wydobyte też są mądre, a właściwie są związane mun-

drością z rodzimą turbulencją. Zdarza się, że te najsprytniejsze mogą przyzywać turbulencje, sprowadzać je do siebie.

– Zwierciadło pochodzi z Wielkiej Bramy Piekieł. – Czaraszkiwicz spojrział z ciekawością na chłopca. – Twierdzisz, że wytworzyło echo swojej rodzimej turbulencji?

– Przechowywanie takich przedmiotów jest niebezpieczne, to dlatego wszystkie są rekwirowane i wywożone do siedziby Urzędu Przemian – zauważyła Alicja. – Co też panu przyszło do głowy, by trzymać te rzeczy we własnym domu? To pan sprowadził na miasto katastrofę! To pan jest odpowiedzialny za śmierć setek mieszkańców! Za cierpienia mojego Hirka i za potworną agonię księdza Agatona.

Twarz dziewczyny wykrzywił brzydki grymas wściekłości. Zaciskała i rozprostowała dłonie, z trudem hamując się, by nie skoczyć grubasowi do gardła. Gdyby miała strzelbę, rozwaliliby mu ten tłusty łeb bez chwili zastanowienia.

– Skąd pani wie, że artefakty są niebezpieczne? To tylko plotki, rozpowszechniane przez carskich sługusów. Rosjanie rekwirują fanty, bo wiedzą, że są kluczem do niezwykłych, niewyobrażalnych mocy. Nie wiadomo jed-

nak jak je wywołać, na jakiej zasadzie działają. Pieprzenie, że akurat zwierciadło wywołało turbulencję, to tylko gadanie głupiego chłopca. Ot, wiejskie mądrości. Nie jestem odpowiedzialny za śmierć mieszkańców miasta. To bzdura.

– Nie jest – przytaknął Pliszka – bo oni wcale nie zginęli.

Alicja zapanowała nad falą agresji i gwałtownie wypuściła wstrzymywane powietrze.

– Brednie – mruknął ziemianin. – Ten szaleniec bredzi.

– Ano już tłumaczę. Piekielne przedmioty mają działanie powiązane ze swoją formą. Ino naśladują działanie prawdziwych rzeczy. A co robi lustro? Odbija. Toć to lustro też odbija, ino nie obraz, a rzeczywistość! Zwierciadło naśladuje miasto ze wszystkim, co w nim znalazło. Zbadało je, a tera powoli próbuje strawić i przenieść wiedzę o nim do turbulencji.

– I co pan na to, panie Czaraszkiwicz? Ten głupi chłop mówi zaskakująco rzeczowo – zauważyła guwernantka.

Grubas nie skomentował, spojrzął za to na drzwi, w

które ktoś załomotał. Po chwili rozległo się miarowe dudnienie. Drzwi drgały przy każdym uderzeniu, ze skośnego obelkowania poddasza posypał się kurz. Ludzie Czaraszkiewicza znaleźli jakiś taran i próbowali wedrzeć się do środka. Sklecone z dech drzwiczki, mimo zamków, nie powinny długo się opierać. Pliszce zostały ostatnie minuty.

– Dlaczego uważasz, że pochłonięci przez mutatio wcale nie zginęli?

– Dyc przeca mówię. – Olbrzym zirytował się. – To miasto jest jedynie odbiciem, tak jak i wszystko co się w nim znajduje. Wy też. Zwierciadło wchłaniało rzeczywistość, a jak się już nażarło, wypłuło jej odbity obraz. Oto on, wszystko co nas otacza i wy sami. Jesteście jeno obiciem, wykrzywionym i zdeformowanym. Wszystko, co czujecie, jak się zachowujecie, jest wypaczone. Zboczenia Osowskiego, odwaga Agatona, zachłanność i żądza władzy Czaraszkiewicza, brawura Brzóska, twoja płaczliwość i skłonność do przemocy tyż jest nieprawdziwa, jest wyolbrzymiona. Prawdziwa Alicja znajduje się tam, po drugiej stronie lustra. Tam jest też Hieronim i Agaton. Mieszkańcy miasta nie zginęli, bo ich naprawdę nie było. Byli ino swymi obrazami, które turbulencja strawiła i przeniosła do swego umysłu, pamięci, nie wim, kurwa, gdzieś tam, gdzie gromadzi informacje. Zuważyliśta, że tu wcale ni ma dzieciaków? Bo młodzi są odporniejsi na

mutatio, lepiej je znoszą. No i zwierciadło nie stworzyło ich odbić. Ino ja jestem prawdziwy, wlałem tu przypadkiem, turbulencja potraktowała mnie jak swojego, jak część siebie.

Czarasziewicz pobladł gwałtownie, patrząc na Pliszkę z rosnącym przerażeniem.

– Dlaczego turbulencja nas oszczędziła, czemu i my nie zostaliśmy strawieni?

– Jeszcze nie zostaliście – podkreślił Pliszka. – I na was przyszłaby pora. Jesteście zbyt blisko lustra, a ono trawi od granic wytworzonego obrazu, ku jego środkowi.

– Ta kamienica stoi w oku cyklonu – skwitowała Alicja. – W oku, które stopniowo się zmniejsza.

– Skąd to wszystko wiesz, buntowniku? – Czarasziewicz krok po kroku cofał się w kierunku drzwi.

– Jestem człowiekiem zepsutej krwi, moje ciało i umysł ukształtowało mutatio – odparł lekko Pliszka. – Musiałem wiele się wyuczyć o piekielnej mocy, która wypełnia me żyły i o jej pochodzeniu. Służyłem jakiś czas nurkowi, śmiałkowi wnikającemu do turbulencji i łowiącemu w nich przedmioty.

– Odmieniec – syknął ziemianin. – Mogłem się tego domyślić.

Odwrócił się i doskoczył do drzwi; próbował zdrową ręką odsunąć skobel, ale ten okazał się wyjątkowo ciężki.

– Co teraz? – Alicja stała przed lustrem, z całej jej postaci aż biła bezradność.

– Trza zatrzymać artefakt, a turbulencja się zamknie – wyjaśnił Pliszka. – Odbite miasto zniknie, a ja wrócę do prawdziwego świata.

– Co ze mną?

– Też znikniesz, jesteś jeno lustrzanym obrazem. Ale tak se myślę, że jeśli zatrzymamy turbulencję, zanim ta strawi twoje ciało, wrócisz do prawdziwej Alicji i połączysz się z nią. Prawdziwa ty zachowa świadomość tego, co cię spotkało. Pewnikiem będzie to dla niej jeno coś jak wspomnienie nocnego koszmaru, ale to wystarczy. Będziesz znała grzeszki Osowskiego i Czaraszkiewicza. Ich prawdziwe charaktery nie są tak popier... zepsute jak w odbiciu, ale dyć ku temu dążą. Będziesz ich musiała powstrzymać, nim naprawdę zaczną mordować ludzi w piwnicy. Trzeba też oćwiczyć grubasa, bo nie wiadomo, jaką jeszcze może sprowadzić katastrofę, gromadząc te

przeklęte przedmioty. Wszystko będzie w twoich rękach, panienko.

Czaraszkiwicz przesunął skobel do połowy. W drzwi ciągle dudnił taran, coraz głośniej i głośniej, jakby szturmujący poddasze brali większe zamachy.

– Jak zatrzymać to przeklęte lustro? – Alicja zacisnęła pięści. Była gotowa na wszystko.

– To tylko maszyna, taka jak młot parowy w kuźni, ino bardziej skomplikowana – Pliszka zdecydowanie odsunął dziewczynę. – Na chłopski rozum wystarczy ją zepsuć, a przestanie działać.

Ziemianin zapał się całym ciałem o drzwi, pchając skobel. Żelazo nie chciało się jednak dalej przesunąć. Tymczasem łomot z drugiej strony ucichł, jakby szturmujący brali rozpęd. Gruchnęło ogłuszająco. Trzasnęło pękające drewno, deski rozleciały się po uderzeniu tarana. Ten przeleciał na drugą stronę, trafił Czaraszkiwicza w bok, przeszył brzuszysko i wyszedł z drugiej jego strony pod żebrami. Alicja wrzasnęła z przerażenia, widząc wierzgającego grubasa, przyszpilonego do drzwi niczym wielki chrabąszcz. Jego chłopcy użyli do wyważenia marmurowej rzeźby ozdabiającej przedpokój mieszkania ziemianina i przedstawiającej smukłą dziewczynę. Jej okrwawiona głowa wystawała teraz z trzewi Czaraszkiwicza.

Pliszka pokręcił tylko głową.

– Zaraz wedrą się do środka i nas pozabijają – jęknęła Alicja. – Moje prawdziwe ja niczego się nie dowie. Boże, co robić? Przecież tak po prostu nie zniszczysz zwierciadła, nie jest zwykłym lustrem, to potężny artefakt.

– A ja nie jestem zwykłym człowiekiem. W mojej krwi drzemie ta sama moc, co w tym lusterku. – Pliszka uśmiechnął się szeroko. – Trzymaj się, panienko.

Zwarł dłoń w pięść i zamachnął się z całych sił. W tej samej chwili drzwi wypadły z zawiasów i do środka wbiegli mężczyźni uzbrojeni w dubeltówki. Wymierzyli je w stojącą przed lustrem parę. Olbrzym z warknięciem uderzył w sam środek zwierciadła.

Miał wrażenie, że jego dłoń wpadła w lodowatą otchłań. A potem świat eksplodował i rozsypał się w miliony nieregularnych kawałków.

*

Koła kolaski terkotały wesoło po bruku. Dwa koniki ciągnęły ją tak energicznie, aż Hieronim musiał zebrać wodze i nieco usadzić rozochoczone przejażdżką zwierzę-

ta. Alicja poprawiła kapelusik i schowała dłonie w szarą mufkę z króliczego futerka. Uśmiechnęła się do swoich myśli; niedzielne południe zapowiadało się na ładne i wyjątkowo ciepłe, jak na listopad. Po męczących opadach pogoda wreszcie się poprawiła i zza chmur wyrzało słońce. Nie mogli przegapić takiej okazji, więc po mszy wybrali się na przejażdżkę za miasto.

O nogę Alicji objął się koszyk piknikowy z ciastem i butelką słodkiego wina. W kolasce, małej i skromnej, nie było za wiele miejsca. Pożyczony z plebanii, dzięki grzeczności księdza Agatona, powóz okazał się jednak wygodny i szybki mimo niepozornego wyglądu. W zupełności wystarczał parze narzeczonych.

Przyjechali nim przez rynek i skierowali się na drogę na Jędrzejów, która za miastem malowniczo wiała się po okolicznych wzgórzach. Nim jednak wydostali się z miasta, przed rogatkami drogę zajechał im wóz węglarza, zmuszając do zatrzymania się w miejscu i poczekania, aż woźnicy uda się wjechać w bramę pobliskiego gospodarstwa. Hirek, do tej pory stojący z lejcami w garści, opadł na siedzenie. Uśmiechnął się do Alicji, błyskając zębami. Guwernantka zatrzepotała rzęsami i odpowiedziała uśmiechem. Nic jej dziś nie mogło popsuć humoru. Była razem z ukochanym, czuła jego ciepło i miłość, szczęście rozpierało ją od wewnątrz. Życie było po prostu piękne.

Po drugiej stronie ulicy z hukiem otworzyły się drzwi starej karczmy. Ze środka wytoczył się wielki, brodaty mężczyzna w chłopskiej, potwornie brudnej kapocie. Wielkolud w jednym ręku trzymał pęto kiełbasy, w drugim kamionkową butelkę. Pociągnął tęgiego łyka i wyszczerzył się w szerokim uśmiechu do Alicji.

Dziewczyna zamarła, poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Westchnęła boleśnie, w jednej chwili uderzyło w nią wspomnienie nocnego koszmaru. Obudziła się dziś rano z krzykiem i cały dzień robiła wszystko, by zapomnieć o potwornym śnie pełnym przemocy, krwi i dramatycznych śmierci. Realność koszmaru była tak duża, że Alicja długo nie mogła się z niego otrząsnąć. Wystarczyło jedno spojrzenie w jasne oczy wielkiego chłopa i wszystko wróciło. Pamiętała każdy szczegół, jasno i wyraziście.

Pliszka uklonił się jej zamasyście. Patrzyła na niego, nie mogąc nawet drgnąć; strach zupełnie ją sparaliżował. Niespodziewanie powozem szarpnęło. To Hirek potrząsnął wodzami, bo znów mieli wolną drogę. Kolaska ruszyła. Dziewczyna odwróciła głowę, patrząc na brudnego chłopa. Ten stracił już nią zainteresowanie; rozmawiał teraz z człowiekiem, który nadszedł ulicą – z sekretarzem Czaraszkiwicza, Janem Brzóska. Po chwili obaj znikli jej z oczu. Powóz wjechał w zakręt i minął rogatki.

– Muszę ci coś opowiedzieć – zwróciła się do na-

rzeczonego po dłuższej chwili. – O tym, co widziałam po drugiej stronie lustra...

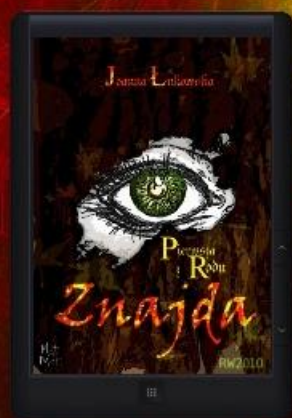
PRZYPISY

1 Bat – w warszawskiej gwarze łódź (od niemieckiego *das Boot*).

Oficyna wydawnicza **RW2010**

Na każdą kieszeń
na każdy czytnik

Pełna humoru opowieść o przygodach pechowego maga-pogodnika, który niezbyt dobrze panuje na aurą. W efekcie wylatuje z roboty, ląduje na dnie statku, potem trafia na pałacowe komnaty, by trafić do więzienia, u boku smoka...



To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca. Jakim cudem ociemniały świat wciąż trwa? Czyżby dało się oszukać los? Czy ziarnkiem piasku, zgrzytającym w żarnach przeznaczenia, może być dziwna zielonooka dziewczynka?

Dobre ebooki
w dobrej cenie

szukaj na
www.rw2010.pl
lub w e-księgarniach

RW2010
REWOLUCJA WYDAWNICZA!